Ryszard ĆWIRLEJ

Remigiusz MRÓZ

Magdalena KNEDLER

Wojciech CHMIELARZ

Robert MAŁECKI

Marta MATYSZCZAK

Marta GUZOWSKA

Olga RUDNICKA

Jakub MAŁECKI

Małgorzata ROGALA

Tomasz SEKIELSKI

Joanna OPIAT-BOJARSKA

Katarzyna PUZYŃSKA

Łukasz ORBITOWSKI

Bartosz SZCZYGIELSKI

ZABÓJCZY POCISK

Spis treści

Karta tytułowa

Rafał Bielski – Skąd się bierze zło?

Łukasz Orbitowski – Stalowa. Baśń

Remigiusz mróz – Hakowy

Jakub Małecki – Puch

Joanna Opiat-Bojarska – Przeznaczenie

Wojciech Chmielarz – Telefon

Olga Rudnicka – Byle do lata…

Katarzyna Puzyńska – Wszędzie krew

Marta Guzowska – Plan B

Magdalena Knedler – Jadzia Markowska

Bartosz Szczygielski – Sprawiedliwość dla wszystkich

Bartosz Szczygielski – Zero, zero osiem

Ryszard Ćwirlej – Kto się boi czarnej wołgi?

Robert Małecki – Kosa

Małgorzata Rogala – Córa Koryntu i prawiczek

Marta Matyszczak – Trup, którego nie ma

Tomasz Sekielski – …że Cię nie opuszczę aż do śmierci…

Karta redakcyjna

Remigiusz MRÓZ
Wojciech CHMIELARZ
Ryszard ĆWIRLEJ
Magdalena KNEDLER
Robert MAŁECKI
Marta GUZOWSKA
Marta MATYSZCZAK
Tomasz SEKIELSKI
Olga RUDNICKA
Jakub MAŁECKI
Małgorzata RÓGALA
Joanna OPIAT-BOJARSKA
Katarzyna PUZYŃSKA
Łukasz ORBITOWSKI
Bartosz SZCZYGIELSKI

ZABÓJCZY POCISK

SKARPA WARSZAWSKA

SKĄD SIĘ BIERZE ZŁO?

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 2719178

Unde malum? – pytają wciąż filozofowie, moraliści i kapłani. I choć problem teodycei, czyli czemu dobry i wszechmocny Bóg dopuścił w naszym świecie niedoskonałość i cierpienie, to pasjonujące wyzwanie intelektualne, my zapytajmy raczej o konsekwencje istnienia zła w ludzkiej naturze. Opowieści kryminalne opierają się na bardzo prostym i niezmiennym założeniu: istota ludzka jest zdolna do skrzywdzenia bliźniego dla różnie postrzeganej własnej korzyści. Może to być pochodna chciwości, pychy, nieumiarkowania czy innych stałych skłonności człowieka, ale przecież nawet zbrodnie w afekcie spełniają także konkretne cele człowieka, choćby te były wyjątkowo nierozsądnie i przypadkowo sformułowane. Zbrodnia to postawienie własnego „ja", choćby zasłaniało się ono najwznioślejszą ideą, ponad dobro bliźniego. To zjawisko bardzo smutne dla nas jako współczujących istot ludzkich… oraz niezwykle korzystne dla nas jako spragnionych wrażeń czytelników.

Od Kaina zabijającego Abla, przez opowieści o Edypie, Lukuście, Makbecie i Kubie Rozpruwaczu, po morderczych bohaterów współczesnej popkultury obserwujemy fascynację złem wyrządzanym innym. Zainteresowanie to może wydawać się straszne, ale – paradoksalnie – świadczy właśnie o człowieczeństwie chłonących opowieści o zbrodni. To jedno w ludzkiej naturze się nie zmienia. Jedni powiedzą: przez

znamię grzechu pierworodnego, inni: z powodu nieubłaganych mechanizmów doboru ewolucyjnego. Ale ów stały element, niezmienna słabość (lub siła) ludzkiej natury do wystąpienia przeciw innym, nie zniknie nigdy z kultury, póki nie wyparuje z ludzkich umysłów. A nie wyparuje, chyba że jakiś przyszłościowy wynalazek zmieni nas nie do poznania. Czy cofniemy się wtedy do rajskiego stanu sprzed grzechu pierworodnego, czy piekła społeczeństwa pozbawionego wyboru? To pytanie skierowane do fantastów i filozofów. My spójrzmy na to, co nas otacza i, jak sądzimy, jeszcze przez długi czas będzie otaczać.

Skoro zbrodnia towarzyszy nam od zawsze i jest obecna we współczesności, stanowi dogodny punkt odniesienia, aby opowiedzieć każdą historię. Kryminał może być właściwie powieścią psychologiczną, obyczajową, historyczną, czy nawet fantastyką, ale każda z tych konwencji jest przedstawiona z konkretnej perspektywy: sprawcy wyrządzającego zło i bohatera, który chce tego sprawcę ukarać. Czy jest to dramat zamierzchłych czasów, czy opowieść o dzisiejszym świecie, potrafimy zrozumieć ten najpierwotniejszy konflikt strony, która zasady łamie, i tej, która ich broni.

Poniżej prezentujemy zbiór opowieści kryminalnych o różnych rodzajach zbrodni. I choć każda z nich mówi o konkretnym czasie i miejscu, dopowiada też kilka zdań prawdy o nas jako grzesznym i upadłym gatunku. Ale również o tym, jak człowiek ze złem walczy, gdyż śledczy, czy to stróż prawa, czy samozwańczy wojownik o sprawiedliwość, reprezentuje tę jasną stronę natury, dążenie do prawdy i harmonii.

Nie ma policjanta bez złodzieja, nie ma inkwizytora bez kacerza i nie ma śledczego bez uciekającego przed nim mordercy. Dlatego każdej zbrodni w naszej opowieści musimy

przeciwstawić walkę o jej ukaranie, niczym siłę odwrotną, jak w trzeciej zasadzie dynamiki. Każda smutna opowieść o przejawie zła może być odczytana jako historia przeciwstawionego mu dobra. Nasi autorzy podeszli do tej perspektywy w bardzo różny sposób, ale chyba u każdego z nich widzimy i tę mroczną, i tę jasną stronę ludzkiej natury. A to jest już zjawisko bardzo pozytywne... i wciąż pasjonujące spragnionego wrażeń czytelnika.

Rafał Bielski
Redaktor naczelny POCISKU

ŁUKASZ
ORBITOWSKI

STALOWA.
BAŚŃ

Fot.: Matys Studio Od Deski Do Deski

ŁUKASZ ORBITOWSKI

Autor siedmiu powieści, m.in. *Innej duszy*, *Szczęśliwej ziemi*, *Tracę ciepło* (wznowienie w 2018 r.), *Exodus*, a także wielu opowiadań (zbiór *Wigilijne psy*). Otrzymał „Paszport Polityki” i Nagrodę Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla, dwukrotnie był nominowany do Nagrody Literackiej „Nike”. Na antenie TVP Kultura prowadzi autorski program Dezerterzy. Mieszkał w świecie, niedawno wrócił do Krakowa.

1.

Pewnego razu dwóch przyjaciół łowiło ryby nad rzeką. Młodszy z nich znalazł złoty pierścień w przybrzeżnym piasku. Starszy zapragnął go dla siebie, lecz młodszy odmówił. Tłumaczył, że tego dnia ofiarował przyjacielowi inny, wystarczająco hojny podarek. Wówczas starszy rozłupał młodszemu głowę i zabrał błyskotkę. Wkrótce został przepędzony przez swoich. Uchodząc przed zemstą, zawędrował w las i na moczary, lecz nawet tam nie znalazł spokoju. W końcu zaszył się w korzeniach gór. Pierścień zatruł mu serce, a lata spędzone w ciemności przemieniły go w potwora.

Tak właśnie było. Tylko trochę inaczej.

2.

Na naszej ulicy żyła Stalowa Nika. U nas nie ma lekko i każda kobieta musi znaleźć sposób na siebie. Nie inaczej było i z Niką. Nosiła wojskowe spodnie i polarową bluzę, włosy spinała w gruby warkocz i bezbłędnie otwierała piwa zapalniczką. Mówiła bardzo dużo i bardzo głośno. Bez przerwy się śmiała, a w jej policzku tkwiła odrobina żużlu, który dostał się tam, kiedy młodziutka Nika uciekała przed policją przez nieużytki

przy dworcu Warszawa Wschodnia, z kieszeniami pełnymi amfetaminy.

Za młodu miała zwyczajne marzenia. Najpierw chciała być aktorką. Potem obiecywała sobie, że wyjedzie na Zachód, przepracuje parę lat i otworzy kawiarnię z prawdziwego zdarzenia, gdzie do kawy dają ciepłe ciastko, a w toalecie wisi lustro bez żadnego pęknięcia czy też napisu. Obarczona młodszym rodzeństwem, pod okiem ponurej matki, łaknęła wyzwolenia. Poznała wiele bram i brudnych materacy, aż w końcu zjawił się Boldog i wziął Nikę do dziewczyńskiego komando, które trzęsło tym kawałkiem Pragi.

Prawdziwy mężczyzna nigdy nie podniesie ręki na kobietę. Każda kobieta jest jednak człowiekiem, a człowiek czasem musi zostać ukarany. U nas zajmowały się tym trzy dziewuchy, w tym i Nika. Lały po gębach chciwe handlary z bazaru Różyckiego, złodziejki, które nie kwapiły się do podziału doli, oraz zwyczajne flamy, nazbyt chętne do przyprawiania rogów swoim mężczyznom. Lubiły przesiadywać na skraju paskudnego zieleńca u wylotu Brzeskiej. Paliły papierosy, popijały piwo, a żaden rozsądny facet nie spoglądał w ich stronę.

3.

Dwie kamienice od Niki w stronę Targowej mieszkała Spinka z rodzicami. Ojciec pił i się modlił, a matka sprzątała w markecie HIT i również się modliła. Spinka miała siedemnaście lat, gdy to się zaczęło. Rzadko kiedy wychodziła na ulicę i nie włóczyła się ze starszymi chłopakami. Miała kąt za szafą ze sklejki, a tam materac, plakaty Nelly Furtado i zeszyt,

w którym spisywała te wszystkie rzeczy, które zrobi, kiedy będzie już duża i zdobędzie pieniądze.

Przychodził do niej chłopak, na którego wołano Student, zapewne dlatego, że miał delikatną twarz, długie włosy i wyglądał zawsze, jakby szedł przeprosić bibliotekarkę za przetrzymanie książki o przetwarzaniu surowców wtórnych. Student owszem, jak popił, planował jakąś edukację, a na co dzień pełnił ważną funkcję w walkach pomiędzy kibicami. Wypuszczony przez swoich, wyruszał na Muranów szukać polonistów. Nikt go tam nie podejrzewał przez tę gębę i kucyk. Gdy wypatrzył jakąś grupkę, znikał za rogiem, dawał cynk i w okamgnieniu wpadały chłopaki z Legii. Później Student stał się bardziej znany i zebrał ciężki łomot, ale to już inna historia. W każdym razie Spinka czytała, próbowała się uczyć i chodziła ze Studentem.

Nie do końca wiadomo, w jaki sposób los złączył Spinkę ze Stalową Niką. Mieszkały blisko siebie, więc musiały się znać. Lubię myśleć, że matka Spinki naraziła się czymś Boldogowi. Być może po prostu zadłużyła się u niego, by utrzymać rodzinę, zalegała ze spłatą i Nika z dziewuchami wpadła wymierzyć tak zwaną sprawiedliwość. W domu była jednak tylko Spinka. Nika usiadła i zaczęły rozmawiać, baba jak komin i kruchy podlotek. Coś wynikło z tego spotkania. Coś tam się zdarzyło, tak jak zawsze, gdy spotykają się ludzie sobie przeznaczeni. Matka otrzymała kilka dni na uregulowanie swoich zobowiązań, a Spinka zaczęła włóczyć się za Niką.

Potrzebowały siebie nawzajem. Nika okazała się wszystkim, czego nie miała Spinka, i odwrotnie. Dobieramy się przecież podług braków. Spinka łaknęła niezależności, własnych pieniędzy i swobody, którą one dają. Bardzo chciała być już dorosła. Dwudziestodwuletnia Nika rozpoznała w Spince

wszystko, co zostawiła po drodze: marzenie o aktorstwie, o kawiarni, gdzie ludzie nie leją się po pyskach.

4.

Takich ludzi jak Boldog można spotkać wszędzie: w Berlinie, w Trójmieście, przypuszczam nawet, że w Honolulu też mają swojego Boldoga. Jest chudy, wytatuowany, nosi bawełniane ubrania znanych amerykańskich marek, a na każdym palcu ma pierścień. Nasz Boldog był raczej krępy, o mięsistej twarzy i oczach tak nieruchomych, że wydawały się namalowane.

Wiele wskazywało, że będzie jednym z narwanych gnojków, których ulica wyniesie, a potem przemieli. Stało się inaczej, ponieważ Boldog wybrał życie w trzeźwości. Nie palił, nie wciągał, nigdy nie widziano go nawet z piwem. Innym proch odbierał rozsądek i trafiali na komendę. Boldog planował swoje działanie przy herbacie, zachowując temperament szachisty. Swoje w życiu osiągnął. Ściągał haracze pomiędzy Strzelecką a Wileńską. Miał warsztat samochodowy, lombard i kilka stolików na bazarze Różyckiego.

Abstynenci inaczej kanalizują swoją ciemność. Boldog okazał się psem na baby, aż w jego przestronnym mieszkaniu wytarł się próg. Widywano go, jak bladym świtem krąży swoim passatem, poszukując miłego towarzystwa o tak nietrafionej porze. Potrafił czmychnąć z bazaru i trzy razy dziennie, za każdym razem do innej. Był jak sam Bóg i nie zważał na osobę. Gramolił się na grube i chude, stare i młode, mądre i głupie. Gdyby miał siostrę, jej też by nie oszczędził. Najbardziej jednak umiłował Nikę.

5.

Być może Spinka zrealizowałaby swoje plany, poszła na studia i wyrwała się z Pragi, gdyby nie Student, a raczej jego niechęć do kondomów. Któregoś miesiąca kardynał nie przyszedł. Na tę wieść Student zareagował po swojemu. Popędził do kumpli, zalał się w trupa i mówił każdemu, kto chciał go słuchać, że prędzej urżnąłby sobie jaja, niż dopuścił do takiej sytuacji. Kumple sprowadzili go na ziemię. Ich zdaniem dziecko nie oznaczało końca świata. Prawdziwy mężczyzna powinien ich trochę narobić, tak mówili. Zrobili ściepę na pierścionek.

Pognębiony Student poczłapał do Spinki z kwiatami i tym pierścionkiem. Wykrztusił, że wszystko będzie dobrze i oczywiście nie było. Matka na wieść o ciąży zaczęła wrzeszczeć na córkę, a ojciec kiwał czerwonym łbem do każdego zdania o niewdzięczności, o wstydzie przyniesionym temu domowi i opinii Pana Boga na seks przedmałżeński. Niewiele wiem o Bogu, lecz ten nic nie zrobił, gdy matka pokazała córce drzwi.

Student mieszkał z dziadkiem i tam się przenieśli. Dziadek Studenta przepracował trzydzieści lat w Druciance. Za młodu pisał pamiętniki robotnika i nawet próbował wydać je w książce. Działał też w komitecie zakładowym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Gdy nastała wolność, a wraz z nią perspektywa zwolnienia, przeciął sobie ścięgna w nadgarstku lewej dłoni i otrzymał rentę. Słoneczne dni spędzał na skwerze Żurowskiego. Siedział na ławeczce z laską między kolanami, patrzył przed siebie i myślał. Jego mieszkanie było ciemne i zagracone. Młodym nie pozwalał wchodzić do swojego pokoju.

Gdy urodził się Antoni, Student rzeczywiście wziął się za siebie. W międzyczasie market HIT przemienił się w Tesco

i Student został ochroniarzem, dzięki agencji pracy tymczasowej. Zarabiał cztery pięćdziesiąt za godzinę. Forsę przynosił do domu, mył szkraba, spacerował z wózkiem, a Spince przysięgał, że już nigdy nie zobaczy go pijanego. Stało się inaczej. Ojcostwo jest nudne i żmudne, Spinka chodziła zmęczona i zaniedbana. Student zaczął popijać w towarzystwie kolegów z roboty, starszych, bezzębnych chłopów, którzy dojeżdżali do pracy z podwarszawskich miejscowości. Powrócił do kumpli i na nowo odkrył radość kibicowania. W domu pojawiał się coraz później. Znikał na całe noce, kłamiąc, że bierze dodatkowe zmiany, by zadbać o rodzinę.

Z tego, co wiem, nigdy jej nie uderzył. Ryczał tylko, żeby uciszyła dziecko, a potem wychodził, trzaskając drzwiami. Zawias się od tego obluzował. Kolegom opowiadał, że żyje w piekle i gorączkowo szukał sposobu, aby się wyzwolić. Jak wszyscy u nas, snuł wielkie plany i zabijał czas, wracając do starej roli – wypuszczał się na Muranów, tropiąc legionistów.

Tam doszło do nieszczęścia rozpisanego na raty. Student uprawiał swój proceder zbyt długo i chłopaki z Polonii w końcu zaczęli zwracać uwagę na kudłatego chłystka, który snuł się bez wyraźnego celu. Okropnie mu natłukli i wszystko byłoby dobrze, gdyby urżnięty Student nie pojechał się mścić, biorąc do tego zadania paru kumpli jeszcze głupszych od siebie. Poszło aż za dobrze. Jednemu poloniście wybili żuchwę, drugiemu złamali przedramię, trzeciego Student kopnął w brzuch tak nieszczęśliwie, że ten walnął głową w róg kamienicy i zmarł na miejscu.

Tego samego wieczora małego Antoniego obudzili policjanci. Student został skuty pod okiem obojętnego dziadka i Spinki, która nawet nie próbowała go ratować, nie tak jak matkę parę lat wcześniej. Każdy może uratować tylko siebie, to już zrozumiała. Na rozprawie Student zaprzeczał wszystkiemu, nie

wydał też kolegów. Taka postawa przyniosła mu szacunek na Pradze i dekadę za kratkami. Mniej więcej w tym samym czasie dziadek dał do zrozumienia, że nie widzi mu się mieszkanie z dzieckiem i szmatą, która posłała mu wnuczka do pudła. Opinię tę wyraził bez słów, za pomocą laski.

6.

W tym czasie Stalowa Nika robiła karierę na miarę własnych możliwości. Przywództwo w dziewczyńskim komandzie pozostawiła młodszym, zajęła stolik na bazarze i wprowadziła się do Boldoga, który przez długi czas udawał zadowolenie z tego stanu rzeczy. Nie nosiła już polarów i spodni szturmowych. Przycięte włosy farbowała na blond. Przestawiła się z piwa na wódkę i próbowała schudnąć, rezygnując ze śniadań. Inne dziewczyny bały się jej jeszcze bardziej niż wcześniej. Boldog również jej się obawiał.

Nie zrezygnowała z placu – chciała być widoczna na mieście. Boldog miał rękę do zarabiania pieniędzy, lecz z zarządzaniem radził sobie gorzej. Stalowa Nika zajęła się papierkami. Prowadziła równolegle dwie księgi, tę oficjalną i drugą, prawdziwą, schowaną za regałem pełnym płyt z amerykańskimi filmami sensacyjnymi. Mówiła Boldogowi, ile mogą wydać i kogo przycisnąć. Tłumaczyła, że przyszłością jest lombard i warsztat samochodowy. Odkładała na przyszłe inwestycje. Kto wie, myślała, może kiedyś zdarzy się i kawiarnia z czystym lustrem? Boldog od tego wszystkiego schudł i posmutniał.

Trwając przy nim, Stalowa Nika musiała godzić się na pewne rzeczy, co jest udziałem wszystkich kobiet, które wiążą się z niezwykłymi mężczyznami. Boldog raz w tygodniu urządzał

u siebie balangi, pod koniec których siedział zgarbiony i trzeźwy, patrząc na martwych i konających. Wciąż jeździł na baby, a w jego rozpuście pojawiło się coś rozpaczliwego. Nika podeszła do tego z rozsądkiem. Dbała tylko, by jej nie zaniedbywał.

Pamiętała też o Spince. Nim zapuszkowali Studenta, zaglądała do niej, żeby pomóc przy dziecku. Niekiedy śmiały się, rozmawiając o przyszłości, przy butelce wina. Była przy Spince również podczas tej strasznej nocy, kiedy Student usłyszał wyrok, a dziadek kazał się wynosić. Kobiety rozmawiały do świtu. Spinka płakała. Mówiła, że chce rzucić się do rzeki, że już nie wytrzyma. Dlaczego już drugi raz ją wyrzucają? Kim jest? Co złego zrobiła? Stalowa Nika poczekała na ostatnią łzę i złożyła obietnicę: użyje wszystkich swoich możliwości, by uratować Spinkę.

7.

Ludzie zabijali się o miejsce na bazarze i nawet Stalowa Nika nie potrafiła zdobyć stolika dla Spinki. Wystarała się o pomoc i zastępstwo. Czasem handlarze ubraniami potrzebowali dodatkowej osoby, na dzień albo chociaż pół. Spinka sprzedawała więc podrabiane ciuchy, bujając wózek z Antonim. Niekiedy malca przejmowała Nika. Dziewuchy z dawnego komanda pytały ją, jak dorobiła się takiego uroczego malca. W ten sposób powstała plotka, że Antonii jest dzieckiem Buldoga, co jeszcze miało się zemścić.

Nika walczyła o Spinkę, ale i Spinka walczyła o siebie. Dziadek Studenta nalegał, by wyprowadziła się jak najszybciej, krzycząc i waląc laską w podłogę. Spinka wystąpiła o lokal socjalny, korzystając z pomocy prawnika podesłanego przez

Boldoga. Liczyła, że przydzielą jej coś na nowym osiedlu. Dostała dwa pokoje kamienicę dalej. Nasza ulica najwyraźniej nie chciała wypuścić Spinki.

Wiadomo, jak u nas jest. Ciągną cię przedwojenne czynszówki o brudnych gardłach bram, z rzędami brudnych okien, z których, w lecie, sterczą wytatuowane ramiona. Życie biegnie powoli i raczej bez celu. Ludzie stawiają drobne kroki, jakby obawiali się, że popękany chodnik otworzy się i wciągnie ich w głąb ziemi. Nocą brzmią krzyki, trzaskają zapalniczki, brzęczy szkło. Spince zabrakło sił, by stąd wyjechać. Postanowiła, że zostanie, a jednak – ucieknie.

Za łuszczącymi się drzwiami jej mieszkania otwierał się inny świat, z podłogą starą i błyszczącą, ciepłą zielenią ścian i dziecinnym pokojem tonącym w pluszu. Nad łóżeczkiem obracały się plastykowe ptaki. W kuchni można było wypić najtańszą herbatę z kolorowego kubka. Na zniszczonej kanapie i fotelach pojawiły się błękitne narzuty. Nie starczyło na wymianę okien, więc Spinka zadłużyła się na bazarze i zawiesiła rolety w oknach. W ten sposób odgrodziła się od Pragi.

Zapisała się na portal randkowy, gdzie czekało ją rozczarowanie. Młodzi faceci byli nudni, a starzy żonaci i rozczarowani. Zresztą, większość czasu pożerała pogoń za groszem oraz kłopotliwy Antoni. Wieczorami oglądała seriale na starym laptopie i wypijała kieliszek półwytrawnego wina. Czasem zachodziła do biblioteki, żeby potem zasnąć nad otwartą książką.

8.

Dzieci są wielką radością, ponieważ rosną, a wówczas opieka nad nimi spada częściowo na innych. Antoni pochodził z rodziny ubogiej i niepełnej, więc dostał miejsce w przedszkolu. Spinka odprowadzała go, zasmarkanego, i drałowała na plac. W niektóre popołudnia po malca przychodziła ciocia Nika, żeby mama mogła popracować dłużej. Spinka stała na placu do późna, i tak wpadła w oko Boldogowi.

Boldog po staremu chodził na baby, lecz nie angażował się w romanse. Uważał, że nie przystoi to człowiekowi w stałym związku. Początkowo wyglądało, że tak będzie i tym razem. Spinka wypiła parę drinków i wylądowała na tylnym siedzeniu jego passata. Do domu wróciła późno i bardzo przepraszała Stalową Nikę, tłumacząc, że zatruła się nieświeżym mlekiem dodanym do kawy. Boldog nie potrafił o niej zapomnieć i wkrótce spotkali się ponownie.

Jak większość złych ludzi, Boldog miał w sobie cząstkę dobra i nie miał pojęcia, co z nią zrobić. Uwierała go ta kruszynka, odbierała sen. W końcu postanowił ofiarować ją Spince. Zabierał ją do dobrych chińskich restauracji i wykupywał pokoje w trzygwiazdkowych hotelach. W szafie Spinki pojawiły się markowe ubrania, a łazienkę zapełniły kosmetyki za siedemdziesiąt złotych, albo i droższe. Próbował dać jej to, czego nigdy nie miała. Sam nie wiedział dlaczego. Zapewne zobaczył w niej, coś co dawno temu dostrzegła Stalowa Nika. Niekiedy właśnie tak się dzieje. Zwykli ludzie jawią się niezwykłymi w oczach innych.

Takich rzeczy nie sposób utrzymać w sekrecie i prawda o romansie wkrótce dotarła do Stalowej Niki. Zareagowała najrozsądniej, jak potrafiła. Przymknęła oko. Naprawdę wierzyła, że Boldog wkrótce znudzi się Spinką. Wciąż odbierała Antoniego z przedszkola i prowadziła rachunki. Przyjaciółce

okazywała serdeczność. Coraz częściej krzyczała na handlarki, których musiała pilnować.

9.

Stalowa Nika otrzymała od życia wiele dobrego. Miała pieniądze i ludzi pod sobą. Szturmówki i polar zamieniła na obcisłe spodnie i bluzki w krzykliwych kolorach. Chętnie obwieszała się złotem. Podcięte włosy przefarbowała na blond i rozganiała ławicę zmarszczek odwiedzinami u kosmetyczki. Prócz rzeczy dobrych pojawiły się dwie złe: rozpacz i czas wolny. Puchły. Mościły sobie miejsce w jej życiu, aż zawarły sojusz.

Zew butelki najgłośniej brzmi w pustym mieszkaniu. Nika podążyła za tym wołaniem. Widywano ją jak chwieje się pod „Koneserem” o piątej rano. Jej praski szlak znaczyły małpki po wiśniówce. Zgromadziła wokół siebie kilku młodszych facetów. Nie zapraszała ich do mieszkania Boldoga. Pili po bramach, na skwerku u wylotu Brzeskiej i w melinach. Śmiała się po staremu i dużo mówiła, by raptem zamilknąć ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni. Przypomniała sobie też, co znaczą krótkie noce na cudzym materacu.

Wkrótce do wódki doszedł proch. Amfetamina pozwalała wypić więcej, a kreska zamiast porannej kawy przywracała Nice energię i radość życia. Zaraz drałowała na plac, żeby trochę porządzić. Dziwiła się tylko, że Boldog tak chętnie jej unika. Brązowiejące zęby pokrywała cienką warstwą wosku i nakładała coraz mocniejszy makijaż. Chętnie mówiła o radosnej przyszłości, o tym, co niedługo zrobi i jak urządzi sobie życie.

Wciąż doglądała interesów Boldoga, ale ludzie wiedzieli swoje. W warsztacie samochodowym zaczęły się lewizny. Lombard sprzedawał z pominięciem doli dla szefa. Baby na placu robiły, co chciały. Boldog, niezbyt biegły w rachunkach, długo o tym nie wiedział. W końcu jednak się zorientował i poszedł porozmawiać ze Stalową Niką. Powiedział, że znajdzie kogoś innego do zarządzania swoim kieszonkowym królestwem. Odebrał władzę na placu i poradził Nice, żeby znalazła sobie jakiś dach nad głową. Kiedyś bardzo kochał tę dziewuchę i wybił jej te trzonowce tylko dlatego, że pyskowała.

10.

Dawno temu Stalowa Nika uratowała Spinkę. Ludzie szybko o tym zapomnieli, pamiętała jednak Spinka i poszła wstawić się za przyjaciółką. Boldog początkowo nie chciał o tym słyszeć, zmiękł jednak prędko i podjął taką decyzję: Stalowa Nika straci wszystko, poza pozycją na placu. Niech dogląda handlarek. Do tego, zdaniem Boldoga, doskonale się nadawała. Nika przyjęła swój los z uśmiechem. Całe dnie kręciła się po placu, ale, jeśli tylko mogła, nie rozmawiała ze Spinką.

Antonii poszedł do pierwszej klasy, korzystając z drzwi, które rząd otworzył sześciolatkom. Prócz tornistra i piórnika z Zygzakiem McQueen dostał też niespodziankę w postaci braciszka. Pod sercem Spinki puchło nowe życie, którego przyczyną był Boldog.

Spinka liczyła, że teraz Boldog weźmie ją do siebie, a nawet poślubi. Sam zainteresowany po raz pierwszy okazał rezerwę. Nie po to przepędził jedną babę, by natychmiast brać sobie kolejną. Ludziom mówił jednak co innego. Twierdził, że jego dziecko (a także Antoni) nie może wyrastać w otoczeniu,

w którym obraca się ojciec. Obiecywał mu normalne życie, zabawki i dobrą szkołę. Skarby świata są rozmaite. Afryka ma złoto, Ameryka krzem. Bogactwem Pragi są plany jej mieszkańców i niewiele więcej.

Kupił wózek i posmarował lekarzom z oddziału położniczego Szpitala Praskiego pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego. Opłacił remont, a odmalowany pokój dziecinny zapełnił się pluszakami. Nad łóżeczkiem zawisły podświetlane gwiazdy. Boldog po prostu słuchał, czego potrzebuje Spinka, sypał stówkami z portfela i wracał do siebie. Gdy urodził się Sebastian, wyprawił pępkówkę na pół Pragi. Podczas imprezy siedział przy krótkim końcu stołu, jadł ciastka i oblizywał krótkie palce.

11.

Złoty czas handlu na powietrzu przypada na grudzień, choć nieźle bywa też przed Wielkanocą i pod koniec lata, kiedy wszędzie wyrastają pudła pełne zeszłorocznych podręczników, a ludzie potrzebują tanich bluz i swetrów. Również Święto Zmarłych przynosi żywym radość i zarobek. Schodzą znicze, ale też pasty do odnawiania grobów i mdłe cukierki. Boldog posłał Spinkę wraz z Niką pod mur cmentarza bródnowskiego, żeby handlowały pańską skórką.

Spinka zabrała ze sobą wózek z małym Sebastianem, a Stalowa Nika spóźniła się półtorej godziny. Chciała palić przy dziecku i zaraz się pokłóciły. Nika nie bardzo miała dokąd pójść. Wstrząsana przez dreszcze, podpierała mur i piła kawę za kawą. Dłonie trzymała w rękawach, żeby ukryć połamane paznokcie.

Mżyło. Spinka zaciągnęła folię nad głową płaczącego Sebastiana. Podawała pańską skórkę, wydawała resztę i bujała wózek nogą. Nika dużo mówiła o kobietach, które robią karierę, rodząc dzieci i o tym, jak trudno jest przetrwać człowiekowi uczciwemu. Jej zdaniem Polska nie dawała nikomu najmniejszej szansy. Panoszą się tu obcy. Wznoszą budynki z błyszczącego szkła i zatrudniają tam ludzi, którzy tak naprawdę niczego nie umieją.

Jeden z takich ludzi podszedł pod cmentarny mur. Za rękę prowadził córkę, na oko pięcioletnią. Córeczka bardzo chciała tej pańskiej skórki. Mężczyzna – w płaszczu, z apaszką wokół szyi i nausznikach – przyglądnął się zmarzniętej Spince kołyszącej wózek, wysupłał trzy stuzłotówki, dał jej i poszedł, zabierając ze sobą pańską skórkę. Na moment oczy Stalowej Niki zrobiły się wielkie. Uniosła wargę, odsłaniając dziurę po trzonowcach. Rozprostowała dłoń i zaraz ją zamknęła. Zauważyła, że handel świetnie idzie i nie mówiła już nic aż do wieczora, kiedy dziewczyny zwinęły interes i poszły do mieszkania Spinki się rozliczyć.

12.

Trudno powiedzieć, co dokładnie się zdarzyło. Opowieść buduje się z zeznań i wyobrażeń. Wiadomo, że Spinka zaprosiła Stalową Nikę do środka, kazała jej zdjąć buty i poczekać. Zajęła się usypianiem dzieci. Trochę to trwało, co pewno niecierpliwiło Nikę. Musiała chodzić jej noga. Ręce nie mogły znaleźć sobie miejsca. Była żywą bombą włożoną w za duże ubrania.

Sebastian z Antonim zasnęli. Nika poprosiła o coś do picia, nie chodziło jej jednak o herbatę, którą dostała. Spinka zaczęła

dzielić pieniądze na kupki, w tym jedną dla Boldoga, któremu należało się piętnaście procent. Rozkład szedł po równo, ale pod koniec dołożyła sobie trzysta złotych od mężczyzny w nausznikach. Nice niezbyt się to spodobało. Jej zdaniem powinny podzielić się po równo do samego końca. Spinka odparła, że te trzy stówki są dla niej. Dostała, bo tamten zobaczył ją z dzieckiem. Nika znów swoje: stały razem, marzły razem i powinny podzielić się po równo. Spinka przypomniała jej spóźnienie i zauważyła, że i tak zarobiła dosyć. Przecież tylko podpierała mur.

Nika poszła do łazienki, zahaczyła o kuchnię i wróciła z nożem kuchennym w rękawie. Ten nóż zaraz włożyła w gardło Spinki. Spinka, poniewczasie, próbowała się bronić. Ostrze przejechało po wnętrzach dłoni. Zsunęła się z kanapy i popełzła po podłodze w stronę drzwi. Wówczas Stalowa Nika chwyciła ją za włosy, przekręciła na plecy i wbiła ostrze w pierś. Poczekała, aż Spinka znieruchomieje. Umyła twarz i ręce. Zabrała pieniądze. Zakrwawioną bluzę schowała do siatki. Założyła nową, z szafy. Nawet pasowała. Nika bardzo schudła.

Krwawe ślady świadczą, że zawróciła tuż sprzed drzwi wejściowych. W pokoju dziecinnym patrzyła na śpiących chłopców, a zwłaszcza na Sebastiana. Być może myślała o tym, że to powinno być jej dziecko, a może o czymś innym. Wycofała się aż do ciała Spinki. Podłogę i meble zalała, czym tylko mogła: perfumami, płynem do mycia szyb, resztką spirytusu. Zwaliła książki z półek, przyłożyła zapałkę i zbiegła po schodach.

13.

Zaraz po podpaleniu Stalowa Nika popędziła do Konesera po dwie butelki. Jedną wypiła natychmiast, drugą zabrała ze sobą i zaszyła się gdzieś na Nieporęckiej. Słyszała, że w okolicy robi się coraz większy ruch. Ludzie pospiesznie wychodzili z domów i rozmawiali podniesionymi głosami. Cały czas ktoś wpadał, przynosząc strzępki informacji o pożarze niedaleko, o tym, że w mieszkaniu na pewno ktoś był, może nawet dzieci. Każdy chciał tam iść, wreszcie poszła i Nika, tylko po to, by nie wzbudzać podejrzeń. Widziano ją, jak stoi wśród gapiów. Zadzierała głowę. W jej oczach odbijał się ogień.

Znaleziono trzy ciała, dwa w dziecinnych łóżeczkach, a jedno, to Spinki, nadpalone. Wśród policjantów próżno szukać orłów, umieli jednak dodać dwa do dwóch i Stalowa Nika szybko trafiła na szczyt listy podejrzanych. Ponoć wskazał ją sam oszalały z rozpaczy Boldog. Wiedziała i bez tego, że musi się skryć, zarówno przed mundurowymi, jak i ludźmi byłego kochanka. Jeszcze wczoraj wszędzie było jej pełno. Nagle zapadła się pod ziemię.

Zachodzono w głowę, co dzieje się ze Stalową Niką. Niektórzy utrzymywali, że prysnęła z Polski, albo że ludzie Boldoga dopadli ją i pogrzebali. Byli i tacy, którzy ją widywali. Jej cień, wyolbrzymiony przez światło latarni, kładł się na murach. Zatruty oddech dmuchał w twarze pijaków drzemiących na ławkach. Umazana krwią, zawisała nad łóżeczkami niegrzecznych dzieci. Często słyszano jej krzyki, te słowa bez związku przemieszane ze znajomymi imionami. Rozpaczliwy szloch niósł się ze strychów i pustostanów. Wielu powiadało, że natknęło się na Nikę w piwnicznych korytarzach. Szła powoli, na węch, szorując wierzchem dłoni po ziemi. Ubranie wisiało na niej w strzępach. Stopy były owinięte w szmaty. Na widok człowieka wrzeszczała i rzucała wszystkim, co wpadło jej w ręce.

Każdy człowiek, który przepadł, każde zagubione zwierzę, a nawet kradzież i choroba obciążały Stalową Nikę, aż w końcu Nika się znalazła. Wychudzona i obdarta, stanęła na komendzie i powiedziała, że tutaj jest jej miejsce. Tu przynależy. Przed zawleczeniem do celi dokładnie ją umyto. Policjantka usiłowała zetrzeć kawałek żużlu zatopiony w jej policzku. Stalowa Nika nie protestowała. Później zgodziła się na obrońcę z urzędu i dostała wysoki wyrok. Przed budynkiem sądu na Solidarności zgromadziły się kobiety żądające linczu. Pod dawnym domem Spinki płonęły znicze. Wreszcie, policyjna suka w asyście dwóch nieoznakowanych samochodów zawiozła Stalową Nikę do więzienia, choć są i tacy, którzy utrzymują, że wcale do tego nie doszło. Skazano inną kobietę. Stalowej Niki nigdy nie złapano, Stalowa Nika wciąż tutaj jest. ■

REMIGIUSZ MRÓZ

HAKOWY

Fot. Sławomir Mielnik

REMIGIUSZ MRÓZ

Autor „Behawiorysty”, polecanego przez Tess Gerritsen, serii „Kasacja”, „Zaginięcie”, „Rewizja” i „Immunitet” oraz trylogii „Ekspozycja”, „Przewieszenie” i „Trawers”. Jako jedyny w historii Nagrody Wielkiego Kalibru otrzymał za rok 2015 podwójną nominację. Za „Kasację” zdobył Nagrodę Publiczności Wielkiego Kalibru. Remigiusz Mróz urodził się w 1987 roku w Opolu. W szufladzie chowa podobno 30 książek (czyli więcej, niż liczy sobie lat), które tylko czekają na zredagowanie, a przy tym codziennie przebiega prawie 20 kilometrów, dba o swój wizerunek w sieci, ma świetne relacje z fanami i fankami. Do tego wszystkiego dochodzi doktorat z prawa…

I

Próbował przypomnieć sobie, co robił tamtego dnia 1993 roku. Oglądał relację z pierwszego finału WOŚP, podczas którego uzbierano dwieście milionów złotych? Słuchał „Teksańskiego”, nowego singla Hey? A może gdzieś w tle rozbrzmiewały dźwięki „Cichoszy” Turnaua? Wieczorem pewnie usiadł przed telewizorem; mógł akurat trafić na pierwsze wydanie informacji na Polsacie.

Trudno było cofnąć się w czasie, wczuć w ówczesną atmosferę niepewności, zmiany i stawiania pierwszych kroków we wciąż nowej, wciąż zmieniającej się rzeczywistości. Wiedział jednak, że musi się postarać.

– Co robisz? – zapytała córka.

Odłożył dymiącego się papierosa do szklanej popielniczki i popatrzył na Julię. Miała znaczniej więcej z niego niż z żony. Potwierdzeniem tego były niebieskie oczy i jasne włosy, ale być może jeszcze lepiej dostrzegalne były cechy charakteru, które po nim odziedziczyła. Gdyby wdała się w matkę, byłaby z natury posępna, może wręcz apatyczna. Tymczasem zdawało się, że lekki uśmiech zawsze błąka się gdzieś po jej twarzy.

Usiadła przy stole i machnęła ręką nad popielniczką.

– Tato?

– Tak… tak? Przepraszam, zamyśliłem się.

– Pytałam, nad czym pracujesz.

Spojrzał na materiały rozłożone na stole z jasnego drewna bukowego. Żona wciąż powtarzała mu, że stół bez obrusa to jak szafa bez ubrań, ale Robert się z nią nie zgadzał. Właściwie zarówno w tej, jak i w każdej innej kwestii.

– Staram się cofnąć do przeszłości – powiedział.

– Po co?

– Mamy program o zabójstwie z dziewięćdziesiątego trzeciego.

– I musisz odbębnić *research* za prowadzącego?

Pokiwał głową i sięgnął po papierosa. Zaciągnął się głęboko, mrużąc oczy.

– To niesprawiedliwe – oceniła Julia.

– Taka robota.

– Ty całą odwalasz, a on potem staje przed kamerą i zgarnia wszystkie zasługi.

Robertowi to nie przeszkadzało. Gdyby sam miał znaleźć się przed obiektywem, zapewne nie wydusiłby z siebie nawet słowa. Wolał stać po drugiej stronie i przyglądać się rezultatom swojej pracy. Materiały zawsze były podobne – dotyczyły tajemniczych, nierozwiązanych przestępstw sprzed lat. Zazwyczaj kończyły się postawieniem jednej czy dwóch hipotez. W tym wypadku Robert jednak nie miał zamiaru formułować żadnych przypuszczeń na temat tego, co się w istocie zdarzyło.

Zaciągnął się, a potem zdusił niedopałek w popielniczce.

– Mnie to odpowiada – odezwał się. – Przynajmniej mam życie, w przeciwieństwie do prowadzącego.

Julia powiodła wzrokiem po rozłożonych dokumentach. Właściwie nie potrzeba było obrusa, same materiały niemal całkowicie zakrywały blat.

– Ładne mi życie.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– W dodatku musisz tkwić w przeszłości – dodała córka. – Co teraz masz na tapecie?

– Zabójstwo z Zakopanego – odparł, obracając skan jednego z numerów „Tygodnika Podhalańskiego”. – Niecodzienna sprawa, bo sprawca zabił ciężarną kobietę i jej nienarodzone dziecko, używając haka rzeźnickiego.

– Co?

Podsunął skan córce.

– Napadł ją w centrum miasta. Danuta F., bo tak się nazywała, miała dwadzieścia dziewięć lat, była już w piątym miesiącu ciąży.

Julia wzdrygnęła się. Nieraz rozmawiał z nią o sprawach, nad którymi pracował. Córka zawsze wykazywała zdrowy dystans, może nawet wykraczający poza to, co należało uznać za zdrowe. Cechował ją relatywizm moralny właściwy jej pokoleniu. Młodzi ludzie byli tak obyci ze zbrodnią, krwią, okrucieństwem i mordem, że niewiele rzeczy robiło na nich wrażenie. W przeciwieństwie do ich rodziców czy dziadków, obcowali ze śmiercią w wymiarze indywidualnym, nie globalnym. Podczas gdy poprzednie pokolenia były przyzwyczajone do masowych grobów, światowych konfliktów czy wojen, obecne zanadto zaznajomiło się z osobistymi tragediami.

Teraz jednak Julia zdawała się głęboko poruszona. Robertowi przemknęło przez myśl, że coś jest na rzeczy.

– Mieszkała w Nowym Targu, jakieś dwadzieścia kilometrów od Zakopanego – podjął. – Pojechała tam, żeby odwiedzić matkę i wypożyczyć z biblioteki książki o rodzicielstwie. Znajomi odradzali jej to ze względu na zaawansowaną ciążę, ale… co się mogło stać?

Córka wbijała wzrok w gazetę, ale nie przesuwała nawet wzrokiem po tekście. Przez chwilę milczała, jakby

potrzebowała namysłu, zanim w ogóle zacznie rozważać tamte zdarzenia.

– Co się wtedy stało?

Robert nabrał głęboko tchu.

– Wydano pierwszy numer „Secret Service”, Kwaśniewski został przewodniczącym SdRP, Czechosłowacja się rozpadła, w Polsce wprowadzono podatek VAT, a Bill Clinton został zaprzysiężony na…

– Tato.

– Wybacz – odparł z bladym uśmiechem. – Naprawdę muszę wczuć się w klimat.

– To włącz sobie na YouTube „Disco Relax” albo „Familiadę”, a mnie po prostu powiedz, co…

– Te programy weszły dopiero w dziewięćdziesiątym czwartym.

Spojrzała na niego bykiem. Jednak pewne cechy odziedziczyła po matce. Robert odchrząknął, a potem sięgnął po kolejnego papierosa. Zazwyczaj Julia kwitowała to, mówiąc, że przybija kolejnego gwoździa do trumny, ale tym razem milczała.

Zapalił, upajając się już samym cichym sykiem palącego się tytoniu.

– Danuta umierała w męczarniach. Miała kilkanaście ran ciętych wykonanych nożem i jeden zadany hakiem. Była rozebrana, a ślady wskazywały na to, że została wykorzystana seksualnie.

– Przed, czy po śmierci?

– Przed. Ale już po zadaniu ran.

– Zwyrodnialec…

– Wyjątkowy – przyznał Robert. – Najpierw obezwładnił ją gdzieś w okolicy Równi Krupowej, a potem przeciągnął po ulicy, ułożył za krzakami i zaczął się pastwić. Trwało to dosyć długo,

ale nikt nic nie widział, nikt niczego nie słyszał. Policja podejrzewała najpierw lokalnych recydywistów, ale wszyscy mieli alibi. Zajęto się więc turystami, zaczęto chodzić po pensjonatach, sprawdzać kogo popadnie… ale, mimo że sprawca pozostawił ślady biologiczne, nigdy nie trafiono na jego trop.

Julia przez chwilę się nie odzywała.

– Co ona w ogóle tam robiła?

– Poszła na zakupy, pewnie w drodze do biblioteki.

– Po coś dla dziecka?

– Wątpię. Nie znali jeszcze płci, mąż dopiero po sekcji dowiedział się, że to miała być dziewczynka.

Córka przez moment wbijała wzrok w dymiącego się papierosa. Robertowi przemknęło przez myśl, że w jej wieku palił już od pewnego czasu. Może ona także to robiła, a uwagi o gwoździach były tylko na pokaz? Przepaść między nimi zdawała się poszerzać z każdym kolejnym rokiem. Kiedyś mógł powiedzieć o niej wszystko, teraz wiedział jedynie to, co sam wydedukował lub przypadkiem dostrzegł.

Tym bardziej była to dobra okazja, aby nawiązać nić porozumienia. Wprawdzie temat nie należał do lekkich, ale skoro już udało mu się osiągnąć coś, co niewielu rodzicom się udaje – zainteresował czymś córkę – to nie mógł zrezygnować.

– Po latach zajęło się tym małopolskie Archiwum X. Policjanci przekopali się przez cztery tomy akt i okazało się, że dwa tygodnie po śmierci Danuty ktoś napadł na inną kobietę, też na Równi Krupowej.

– Ten sam człowiek?

– Jeśli wziąć pod uwagę, że wymachiwał hakiem na łańcuchu, to… nie może być co do tego żadnych wątpliwości.

– Zabił ją?

– Nie, uciekła. Ale kiedy sprawa wyszła na jaw, zgłosiła się inna kobieta. Twierdziła, że pewnej nocy wiozła do zakopiańskiego szpitala dziewczynę z ohydnymi ranami szarpanymi nogi. Małopolscy policjanci sprawdzili, ale w szpitalnym rejestrze niczego nie znaleźli. Takie to były czasy, nie wszystko się skrupulatnie notowało.

– Więc nie wiadomo, czy to było powiązane…

– Było. Kobieta podwoziła tę drugą dzień po śmierci Danuty.

Julia pokiwała głową w zadumie.

– Seryjny zabójca?

– Niedoszły – odparł Robert. – Udało mu się tylko z pierwszą ofiarą. Potem ustalono, że zgwałcił też zakonnicę, która modliła się w jednej z tatrzańskich kaplic. Zawsze atakował tak samo, za pomocą haka na łańcuchu. Zamachiwał się, zwalał ofiary z nóg, a potem szybko doskakiwał do nich z nożem. Media nazwały go Hakowym.

Córka patrzyła w milczeniu na paczkę papierosów. Robert pomyślał, że to dobry moment, aby ją poczęstować. Przekroczyliby kolejną granicę w ich relacji. Dzięki tak błahemu posunięciu w okamgnieniu staliby się dwójką dobrych znajomych, rozprawiających przy dymku na tematy, które żadnego z nich nie dotyczą.

– Może chcesz…

Sięgnęła po paczkę i sama się obsłużyła. Zapaliła, a on poczuł się nieswojo, jakby postawił krok zbyt blisko urwiska. Zaciągnęła się głęboko, fachowo. Nie ulegało wątpliwości, że to nie jej pierwszy papieros.

Odchrząknął znacząco.

– Matka będzie niezbyt…

– I nie mają żadnego tropu? – wpadła mu w słowo, stukając palcem w gazetę. – Absolutnie żadnego?

Pokręcił głową.

– Pracują nad tym od jakiegoś czasu, ale po tylu latach… – Robert urwał i położył „Tygodnik Podhalański” na miejscu. – Nawet nie mogą znaleźć pracownika szpitala, który pamiętałby tamtą dziewczynę z ranami szarpanymi.

– Ale mają całe mrowie nowych metod.

Z niepokojem obserwował, jak córka się zaciąga. W jakiś sposób miał wrażenie, jakby podglądał ją w dwuznacznej sytuacji. Niepokojące uczucie nie chciało go opuścić i szybko pożałował, że zgodził się, by zapaliła.

– Prawda? – dopytała.

– Tak.

– Mogą korzystać z badań DNA, tych wszystkich nowych systemów identyfikacji, analiz mechanoskopijnych, daktyloskopijnych…

Kiedy zawiesiła głos, Robert uświadomił sobie, że najwyraźniej nie przegapiła żadnego odcinka jego programu. Właściwie ten zaimek był trochę na wyrost, ale… cóż, kiedy stał za kamerą, słuchając prowadzącego, miał wrażenie, że jest jego marionetką. Uśmiechał się w duchu, bo telewizyjna osobistość najczęściej nie miała pojęcia o tym, co mówi. Mógł zawrzeć w scenariuszu największą bzdurę, a i tak poszłaby w świat.

– Rozwinęły się inne gałęzie, jak otoskopia… – ciągnęła córka.

– W tym przypadku niewiele pomoże. Otoskopijnych metod używa się głównie podczas kradzieży z włamaniem, kiedy sprawca przy…

– Przystawia ucho do drzwi czy szyby – dokończyła. – Tak, wiem.

Robert pokiwał głową z zadowoleniem. Ile córek mogło pochwalić się podstawową wiedzą śledczą w zakresie badania śladów małżowin usznych? Przeszło mu przez myśl, że wychował naprawdę ciekawą osobę. Choć żona mogłaby w tym względzie polemizować.

Przyjrzał się Julii i przez chwilę milczał.

– To wszystko ma niewielkie znaczenie – rzucił w końcu.

– Jak to?

– Godzinami rozmawiałem z tymi z policjantami. Wypytywałem ich o tajniki pracy, a przynajmniej te, które mogli zdradzić. Większości nie mogli.

– To jasne.

– Mhm – potwierdził. – Choć przy piwie i zapewnieniu, że nigdy nie upublicznię tego i owego, udało mi się dowiedzieć nieco więcej niż przeciętnemu zjadaczowi chleba.

Pociągnęła lekko papierosa i uniosła brwi.

– AFIS, baza genetyczna, ABIS… to wszystko przydatne rzeczy, ale w dawno zapomnianych zbrodniach, co innego ma kluczowe znaczenie.

Nie sprawiała wrażenia, jakby oczekiwała jakiejś przełomowej myśli. Spodziewała się pewnie, że będzie mówił o wyrzutach sumienia sprawców, którzy przez długie lata żyją w niepewności. Owszem, było to istotne – a przestępcy podczas zatrzymań często odczuwali pewną ulgę – ale nie najważniejsze.

– Więc co ma znaczenie, twoim zdaniem?

– Metoda majeutyczna – odparł. – I nie moim, a policjantów.

– Co takiego?

– To nic nowego, powinnaś o tym słyszeć. Funkcjonuje już od… bo ja wiem, może od piątego wieku przed naszą erą.

Julia popatrzyła na niego, jakby w jednej chwili z jej ojca zmienił się w jakiegoś nieznajomego uciekiniera z zakładu dla obłąkanych.

– Metodę opisał Sokrates – ciągnął. – Polega na wyciąganiu z rozmówców nieuświadomionych wspomnień. Funkcjonariusze z Archiwum X największej ilości nowych

faktów dowiadują się, przesłuchując świadków. O ile uda im się odświeżyć ich pamięć, rzecz jasna.

– W przypadku Hakowego się nie udało?

– Nie. Nie było kogo pytać, nie licząc tych kobiet, które uszły z życiem. Ale ich zeznania w niczym nie pomogły.

Córka przez chwilę pocierała skronie, jakby to mogło sprawić, że jej myśli wskoczą na odpowiednie tory.

– Więc jaką hipotezę postawisz na koniec programu?

– Nie postawię żadnej.

– To będzie chyba pierwszy raz.

– Owszem. I oberwie mi się od stacji.

– A zatem może byś…

– Nie – uciął stanowczo. – Nie mam żadnej koncepcji. Nie będę zmyślał faktów.

II

Julia zamknęła się w swoim pokoju, wzięła macbooka i położyła się na łóżku. Odchyliła pokrywę i szybko wpisała hasło do systemu. Potem zanurzyła się w meandrach Wikipedii. Ojciec nie przyjmował do wiadomości, że największa na świecie darmowa encyklopedia może być źródłem rzetelnych informacji, ale ona wiedziała lepiej.

Dawno minęły czasy, kiedy na Wikipedii nie można było polegać. Od tamtego czasu kompetentni moderatorzy czuwają nad poprawnością i rzetelnością wpisów. Jakiś czas temu Julia czytała nawet, że w tamtym roku jeden z brytyjskich sądów zacytował w wydanym wyroku artykuł z Wikipedii. Zainteresowała się sprawą i okazało się, że to niejedyny taki przypadek – było ich kilkadziesiąt, może nawet kilkaset. To

utwierdziło ją w przekonaniu, że nie powinna mieć oporów przed zgłębianiem wiedzy za pomocą tego portalu.

Problem pojawiał się, kiedy szukane hasło nie istniało.

Tak jak teraz, gdy wpisała w wyszukiwarce „hakowy". W wynikach pojawiły się artykuły na temat ciągników i wychwytów kotwicowych. W drugim wypadku nie wiedziała nawet, o co chodzi.

Ani słowa o człowieku, który zabił ciężarną kobietę w Zakopanem i próbował odebrać życie kilku innym.

Uznała, że to nic nie szkodzi. Od czegoś jest przecież wujek Google, szczególnie, jeśli ciotka Wikipedia zawiodła. Julia wprowadziła odpowiednie zapytanie, a potem zaczęła przeglądać wyniki.

Treść dawnych artykułów prasowych zmroziła jej krew w żyłach. Wyglądało na to, że ojciec opisał jej jedynie ułamek tego, co w rzeczywistości się zdarzyło. Przynajmniej jeśli wierzyć mediom.

Wpadła w wir. Kiedy nie spoglądała na zegarek, miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Kiedy na niego zerkała, okazywało się, że, zamiast minut, mijały godziny. Julia coraz bardziej zagłębiała się w sprawę, odkrywając kolejne fakty, o których ojciec nawet się nie zająknął. Z pewnością do nich dotarł, nie były zakopane gdzieś w odmętach internetu, a ogólnie dostępne. Archiwalne artykuły pochodziły sprzed tylu lat, że nikomu nie przeszło przez myśl nawet to, aby pobierać opłaty za dostęp do nich.

W końcu oderwała się od laptopa. Zamknęła klapę i przez moment wpatrywała się w ścianę. Czy mogła odkryć coś, do czego ojcu nie udało się dotrzeć? Raczej w to wątpiła. A mimo to, było tyle poszlak…

Z pewnością potrafiłaby ułożyć zborną hipotezę na koniec programu.

W końcu uznała, że przynajmniej przedstawi ojcu wyniki swojego amatorskiego śledztwa. Odłożyła macbooka na łóżko, a potem poszła do kuchni. Matka wróciła już z pracy i gotowała spaghetti. Spojrzała na Julię i uniosła brwi. Zero uśmiechu, zero sympatii. Czekała, aż to ona ją powita.

– Cześć, mamo.

Dopiero teraz uniosła kąciki ust.

– Cześć – odparła. – Jadłaś coś?

– Nie, ale…

– To siadaj, nałożę ci pół porcji.

Od kilku dni prowadziły wojnę podjazdową w kwestii jedzenia. Julia usilnie przekonywała ją, że musi zmniejszyć trochę liczbę kalorii, które dziennie przyjmuje, matka twierdziła, że to absurd, bo jest chuda jak szkapa. Julia upierała się przy dietetycznych wersjach posiłków, matka utrzymywała, że tradycyjnie – znaczy zdrowiej. Sama całe życie jadła zwykły makaron i nic złego jej nie spotkało. A Bóg jeden wie, co jest w tych wszystkich razowych pastach.

O makaronie niskowęglowodanowym z psyllium, podawanym z grillowaną cukinią, nie chciała nawet słyszeć.

– Nie, dzięki. Nie widziałaś taty?

– Jest u siebie.

Julia spojrzała na zamknięte drzwi do gabinetu. Ani chybi, ojciec siedzi pochylony nad ogromnym monitorem, na którym wyświetla cały szereg elektronicznych materiałów, znacznie bardziej rzetelnych i drobiazgowych od tego, co znalazła Julia.

– Ale naprawdę mogłabyś zjeść choć…

– Kupisz shirataki, to zjem.

– Co takiego?

– Azjatycki makaron bez kalorii – rzuciła na odchodnym, a potem otworzyła drzwi do pokoju ojca. Weszła bez

zapowiedzi, choć wielokrotnie upominał ją, aby choć lekko zapukała.

Odwrócił się na krześle, posłał jej długie spojrzenie i westchnął.

– Znowu wraca sprawa makaronu? – mruknął.

– Mhm.

Spojrzała na popielniczkę stojącą na brzegu biurka. Wcześniej ojciec bynajmniej jej nie zaskoczył, proponując papierosa. Od pewnego czasu odnosiła wrażenie, że byłby gotowy puścić z nią dymka. Dobrze wiedziała, że sam w jej wieku już palił, a do hipokrytów nie należał. Poza tym od jakiegoś czasu usilnie szukał sposobu, aby nawiązać z nią nić porozumienia.

Szybko uzmysłowił sobie, na co spojrzała, i wymownie pokręcił głową.

– Nie ma mowy – szepnął. – Nie, kiedy mama jest w domu.

– W porządku, w porządku.

Przysiadła na skraju biurka, innego miejsca bowiem w gabinecie próżno było szukać. Była to typowa pracownia samotnika – niewielki metraż, puste ściany, surowy wystrój i… Nie, właściwie o jakimkolwiek wystroju trudno było mówić.

– O co chodzi? – spytał ojciec.

Czyżby wyłapała w jego głosie nutę pretensji? Wydawało jej się, że tak.

– Pogrzebałam trochę w sprawie Hakowego.

– Słucham?

– Spokojnie. Nie złamałam prawa. W internecie jest wszystko.

– Wszystko i nic.

Uśmiechnęła się lekko.

– Sugerujesz, że naczytałam się bzdur?

– Tak – przyznał, przyjmując kamienny wyraz twarzy. – Research internetowy jest dla dziennikarza śledczego tym,

czym chałupnicze forum medyczne dla lekarza. Diagnoza w takich wypadkach zazwyczaj jest daleka od prawdy. Żeby nie powiedzieć bzdurna.

Julia się nie odzywała. Wiedziała, że najmocniejszą bronią w jej arsenale jest milczenie.

Ojciec odchrząknął. Powoli zaczynało mu się robić głupio. Spodziewała się tego.

– No dobrze… – podjął. – Czego się dowiedziałaś?

– Że ten facet inspirował się prawdziwym klasykiem.

– To znaczy?

– Kubą Rozpruwaczem. Stąd hak.

– A wiadomo to, ponieważ… – Urwał i uniósł brwi.

– Ponieważ…

Kiedy zawiesiła głos, uświadomiła sobie, że spekulacje jakiegoś profilera to niezbyt dobre źródło informacji. Szczególnie, jeśli cała „ekspertyza" została zamieszczona na jednym z forów internetowych.

– Niech ci będzie – bąknęła. – To naciągane.

Pokiwał głową, ale nie było w tym żadnej satysfakcji.

– Dotarłam jednak do innych rzeczy.

– Tak? Jakich?

– Kierowca autobusu PKS, którym Danuta jechała do Zakopanego, twierdził, że dziwnie się zachowywała.

– Dziwnie? To znaczy?

– Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że wybiegła z autobusu na ulicę, jakby w środku się paliło. A rodzina mówiła, że od kilku dni była jakaś inna. W dodatku na Krupówkach kupiła książkę o tym, jak radzić sobie ze swoimi problemami, jak mówić prawdę i tak dalej.

– I o czym to świadczy?

– Samo w sobie o niczym.

– Ale…

– Ale okazuje się, że w noc poprzedzającą jej śmierć piła w jednym z barów. Nie mogło być z nią dobrze, jeśli zdecydowała się uwalić, mimo ciąży.

Ojciec patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu.

– No co? – zapytała.

– To tylko plotki. Nikt tego nie potwierdził.

– Nikt? A dwaj funkcjonariusze ABW, którzy siedzieli wtedy w tym samym barze przy Zborowskiego?

– UOP-u.

– Co?

– Wtedy to się nazywało Urząd Ochrony Państwa.

– Mniejsza z nazwami. Byli tam.

– Byli pracownikami, nie funkcjonariuszami.

Ojciec najwyraźniej zaznajomił się ze źródłami, z których czerpała Julia. Nie powinna się dziwić – wprawdzie do reportera śledczego było mu daleko, ale na pewno obdzwonił wszystkie redakcje lokalnych gazet, nagabując o archiwalne wydania. Tymczasem ona miała do dyspozycji tylko Google.

– Tak czy inaczej, to podejrzane – zauważyła.

– W jakim sensie?

– Ciężarna dziewczyna kupuje książki o radzeniu sobie z własnymi tajemnicami, dziwnie się zachowuje, wyjeżdża z domu, a potem szlaja się po pubach, gdzie siedzą ludzie z UOP-u…

Zawiesiła głos, licząc na to, że ojciec dokończy. Program, który pomagał przygotowywać, żywił się takimi niedopowiedzeniami, niezbyt zawoalowanymi sugestiami i tajemniczymi zbiegami okoliczności. Julia nieraz była zakłopotana tym, jak tendencyjnie przedstawiano daną sprawę. Obawiała się, że znajomi wytkną ją palcem, śmiejąc się pod nosem z niej i ojca. Nigdy jednak nie spotkała się z żadnym ostracyzmem. Wiedziała, z czego to wynika – młodzi ludzie, jej

znajomi, nie stanowili target group dla takich produkcji. Gdyby było inaczej, z pewnością skorzystaliby z okazji i nieraz sobie z niej zadrwili.

Tak czy owak, ojciec miał dobrą okazję, aby pokazać, w czym czuje się najlepiej. Na podstawie szczątkowych, niepotwierdzonych doniesień „Tygodnika Podhalańskiego" i innych lokalnych mediów mógł zbudować teorię spiskową. Lichą, ale adekwatną do medium, w którym miała się pojawić. Dla telewizji to był wyjątkowo żyzny grunt.

– No więc? – burknęła.

Wzruszył ramionami.

– Nie dziwi cię to?

– Niespecjalnie. Te elementy nie mają ze sobą jakiegokolwiek związku.

– Wykazywałeś już związek w wielu mniej przekonujących sprawach…

Ojciec odwrócił się od biurka i zgromił ją wzrokiem. Najwyraźniej nadepnęła mu na odcisk, choć dotychczas była przekonana, że nie przejmuje się walorami merytorycznymi materiałów. Liczyło się jedynie to, aby było krwawo, enigmatycznie i niepokojąco. Jeśli udawało mu się wstrząsnąć widzem, uznawał to za sukces. A prawda? Nie miała żadnego znaczenia. Była „niemożliwa do zmonetyzowania", jak niegdyś powiedział.

– Teraz nie mam zamiaru tego robić. Będą same fakty.

Pokiwała głową. W zasadzie prędzej czy później musiało do tego dojść. Dan Brown też ostatecznie zaczął robić porządny research. E.L. James też kiedyś zapragnie napisać coś dobrego. Z ojcem będzie podobnie. Problem polegał na tym, że efekt najprawdopodobniej okaże się opłakany.

– Więc skup się na wymiarze seksualnym – podsunęła Julia.

– Słucham?

– Profilerzy podkreślali, że sprawca był wyraźnie skrzywiony na tym polu. Zresztą i bez ich opinii wiadomo, że skoro została znaleziona naga, to…

– Nie sądzę, aby to był główny motyw.

Wyraźnie nie chciał z nią o tym rozmawiać. Poniekąd to rozumiała – mogli razem palić papierosy, ale seks nadal pozostawał tematem tabu. Szczególnie w takim kontekście.

Mimo to nie miała zamiaru odpuszczać. A może nie mimo, a właśnie dlatego.

– A hak wbity w… no wiesz? – spytała. – To wyraźne działanie erotyczne.

– O czym ty mówisz?

– Wbił go w podbrzusze.

– Nic takiego nie zrobił.

– Tak pisali w…

– Nie wierz w to, co wypisują dziennikarzyny – zestrofował ją. – Hakowy przede wszystkim pociął ją nożem. Tylko raz użył haka, wbijając go w podudzie. Rozszarpał je niemal do kości.

Nie miała ochoty dłużej prowadzić tej rozmowy i wysłuchiwać protekcjonalnego tonu. Ojciec robił wszystko, by w średnio delikatny sposób pokazać, że jest rozczarowany tym, skąd czerpie informacje.

Julia obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju bez słowa. Usiadła w kuchni, a potem wymieniła się z matką obojętnym spojrzeniem.

– Zjesz?

– Mhm – odparła.

Opróżniając talerz wysokokalorycznego makaronu, starała się od nowa przeanalizować całą sytuację. Odrzuciła wszystkie informacje pochodzące z niepewnych źródeł i skupiła się jedynie na tym, co było wiadomo na pewno. Na tym, co policja i prokuratura podały do publicznej wiadomości.

Ułożywszy sobie wszystko od początku, sięgnęła po notes, którego matka używała do sporządzania listy zakupów. Zaczęła wypisywać od myślników wszystkie ustalenia, a potem wyrwała kartkę i położyła ją przed sobą.

Przez chwilę patrzyła na nią pustym wzrokiem.

– Jedz, bo wystygnie.

Julia nie odpowiadała.

– Słyszysz?

Podniosła spojrzenie na matkę.

– Jezus Maria, dziecko, co się stało?

III

Żona Roberta nie miała wątpliwości, że ich córka kompletnie zwariowała. Właściwie, przypominając sobie wszystko, co ostatnio się z nią działo, mogła się tego spodziewać.

Z drugiej strony Agnieszka też kiedyś była w jej wieku. Mogła zrozumieć niektóre rzeczy, a na inne spojrzeć przez pryzmat dzisiejszych czasów. W teorii było to wykonalne, w praktyce często ją przerastało.

– Dziecko, o czym ty mówisz… – jęknęła.

Julia milczała. Była blada jak ściana, a ręce się jej trzęsły. Sprawiała wrażenie, jakby przypadkiem natknęła się na rozwiązanie tajemnicy sprzed wieków, która na zawsze powinna pozostać ukryta w najgłębszych czeluściach historii.

– Julka!

Córka potrząsnęła głową.

– Przepraszam, mamo – powiedziała, a potem popędziła do swojego pokoju.

Agnieszka spojrzała na niedojedzony makaron. Biorąc wszystko pod uwagę, należało uznać, że pół porcji, to i tak

niezły wynik. Obawiała się, że cały garnek pójdzie do lodówki, przeleży tam kilka dni, a potem trzeba będzie wszystko wyrzucić. Robert był zbyt zajęty przygotowywaniem programu. Ilekroć wpadał w wir pracy, niemal rezygnował z jedzenia, przegryzał coś w przelocie między jednym a drugim pokojem. Julia zaś coraz rzadziej sięgała po to, co jej przygotowywała. A jeszcze kilka lat temu…

– Mamo!

Wołanie dobiegło z pokoju córki. Agnieszka westchnęła, a potem ściągnęła rękawicę kuchenną, otarła drugą dłoń o fartuch i poszła do Julii. Drzwi były otwarte, co zdarzało się nieczęsto. Na tyle nieczęsto, że w jakiś sposób stanowiło to niepokojącą aberrację ich życia rodzinnego.

– Czytaj – rzuciła córka, wstając z krzesła.

Matka zajęła jej miejsce przed komputerem, a potem przebiegła wzrokiem po tekście. Skończywszy, spojrzała pytająco na Julię. Ta szybko włączyła kolejną stronę.

– Posłuchaj, nie mam teraz czasu na takie rzeczy.

– Przeczytaj. Proszę.

Kiedy ostatnim razem naprawdę o coś prosiła? Agnieszka nie mogła sobie przypomnieć. Nabrała tchu, a potem odwiązała fartuch i przełożywszy go przez kolano, pochyliła się nad laptopem.

Przez następne pół godziny czytała to, co na ekranie wyświetlała jej córka.

Kiedy skończyła, miała wrażenie, że świat się skończył.

– On wie o rzeczach, o których nikt nigdzie nie napisał – odezwała się Julia.

– Ale…

– Na przykład o ranie na podudziu. Nikt nigdzie o tym nie wspomina. Nawet ówczesne odpowiedniki tabloidów nie idą tak daleko.

Agnieszka potarła nerwowo dłonie.

– Sprawdziłam to dwa razy.

– Julka, na Boga, co ty sugerujesz?

– Że to Hakowy.

Miała ochotę odpowiedzieć, że zwariowała, że to niemożliwe. Chciała poddać się instynktowi samozachowawczemu, który nakazywał ucieczkę w zaprzeczenie. Nie odezwała się jednak słowem.

W głębi duszy wiedziała, że córka ma rację. Człowiek, z którym żyła od tylu lat, mógł być tym, o którym pisały media.

Czas się zgadzał. Zanim zaczął pracę w krakowskiej telewizji, pracował na Gubałówce. Było to wtedy, kiedy zginęła Danuta, a kolejne kobiety padły ofiarami ataków.

Ale czy to możliwe? Czy mogłaby przez tyle lat żyć z człowiekiem, który… właściwie człowiekiem nie był? Czy bestia mogłaby ukrywać tak dobrze swoją prawdziwą naturę?

Agnieszka z trudem przełknęła ślinę. Podniosła się, popatrzyła na przerażoną córkę, a potem niepewnym krokiem skierowała się do zamkniętego pokoju męża. Zapukała, po czym weszła do środka.

Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął się do niej.

*

Występujący w opowiadaniu Robert, naprawdę nazywa się Piotr S. W 2005 roku Sąd Okręgowy w Nowym Sączu uznał go winnym zabójstwa Danuty F. Nie trafił do więzienia, uznano go bowiem za niepoczytalnego. Na nieokreślony czas został osadzony w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

Sprawca rzeczywiście pracował w krakowskiej telewizji, a do rozwiązania sprawy przyczynił się emitowany w telewizji program kryminalny. Po jego obejrzeniu Piotr S. pochwalił się

żonie szczegółami na temat sprawy, o których nie powinien wiedzieć. Zaniepokojona kobieta zgłosiła się na policję. Zatrzymali go funkcjonariusze z Archiwum X.

Piotr S. wciąż zmieniał swoje zeznania. Do dziś nieznane są motywy, którymi się kierował. Twierdzi, że nie działał sam. ■

JAKUB MAŁECKI

PUCH

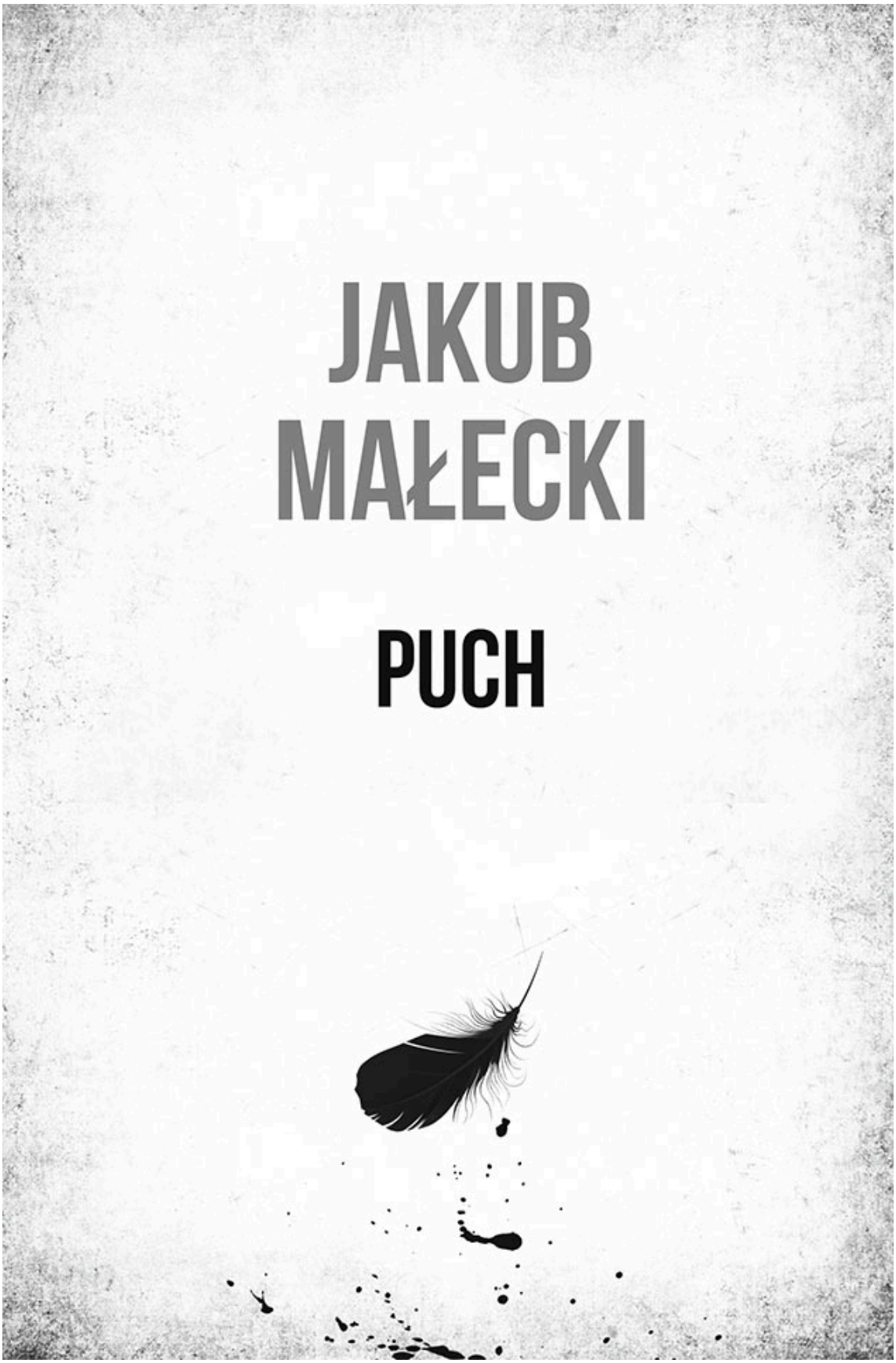

Fot. Tomasz Pluta

JAKUB MAŁECKI

Pisarz, autor dziewięciu książek, m.in. bestsellerowego Dygotu oraz Śladów, nominowanych do Nagrody Literackiej NIKE.

Laureat Złotego Wyróżnienia Nagrody im. Jerzego Żuławskiego, nagrody Śląkfa oraz nagrody Książka Miesiąca „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI", nominowany również do Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus", nagrody im. Stanisława Barańczaka oraz dwukrotnie do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Publikował w „Przekroju", „Newsweeku", „Polityce", „Angorze", „Miesięczniku ZNAK", „Nowej Fantastyce" i „Tygodniku Powszechnym". W 2017 roku został laureatem stypendium „Młoda Polska" Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wszystko zniknęło, jak zawsze. Leżymy, Łukasz i ja, wokół nas wielkie nic, nawet muzyki puszczonej z telefonu nie słyszę. Czuję się tak jak osiem lat temu na Woodstocku, kiedy wjeżdżałam chybotliwą windą na szczyt dźwigu i stawałam na skraju platformy z grubych prętów. Do ostatniej chwili nie wierzyłam, że skoczę, nie chciałam skoczyć, skoczyłam. Teraz leżymy, Łukasz i ja, i też nie myślę o tym, co będzie za chwilę, a już na pewno tego nie chcę, leżymy tak tylko, nie wiem jak długo, w końcu zaczynam znowu być: oddycham, słyszę muzykę, czuję trawę pod plecami i trochę jeździ mi w brzuchu.

Poznaliśmy się tak banalnie, jak banalne było całe moje życie: w kawiarni. Przebierałam nogami, czekając na średnie latte na wynos, spóźniona już i wkurwiona na rudą dziewczynę za ladą, która w ogóle się nie spieszyła, no i na samą siebie, bo ubzdurało mi się, że kawa na sojowym.On siedział przy długim stole, z laptopem i nieruszonym quichem, pisał chyba mejla. Wysoki. Pachniał piżmowym bossem, banalnie.

Poszliśmy do łóżka tego samego wieczoru, nie wiem, jak to się stało. Znam sekwencję wydarzeń – wychodzi za mną, zagaduje, zaprasza na kolację, potem ta kolacja, wino, uśmiechy i budzę się w nocy obok niego, z pełnym pęcherzem i bolącą głową – ale jak to się stało, nie wiem. Nie wiem, jak się wydarzyła połowa ważnych rzeczy w moim życiu.

Teraz leżymy w tłumie nad Wisłą, on podnosi się na łokciach, nic nie mówi, tylko zerka na mnie pytająco, jakby tu jeszcze było o co pytać. Dotyka ekranu telefonu, wyłącza muzykę.

– Jesteś pewna?

Odpowiadam po cichu, że tak, choć to przecież bzdura. Musiałabym być wariatką. Wstaję i otrzepuję się z trawy, ruszam w kierunku przystanku, on kilka metrów za mną. Nic nie mówimy, stoimy obok siebie przez chwilę, jak obcy, potem on wsiada do autobusu. Pomachałabym mu, ale to idiotyczne.

Dziesięć minut później siedzę już sama przy szybie, prawie pusto, bo niedziela, przyjemny chłód klimatyzacji, mogłabym tu zasnąć. Wysiadam dwa przystanki przed tym właściwym, spaceruję po dzielnicy, godzinę, dwie, trzy, cztery. Znowu myślę, jak to się wszystko dziwnie szczęśliwie potoczyło.

*

Trzy razy zdarzyło mi się obudzić obok faceta, którego noc z księcia przemieniła w żabę, tym razem było odwrotnie. Ładna cera, szeroka szczęka, ciemna oprawa oczu i zęby jak z reklamy colgate. Na brzuchu mogłabym mu ścierać marchew.

Gdybym gotowała.

Nie mogłam się napatrzeć, wszystko się w nim zgadzało, nawet obrączkę miał, czyli dobrze, bo taki facet bez obrączki to zawsze wariat albo psychopata. Przystojny, ciemna karnacja, paznokcie bez zarzutu, zadbany, no ogólnie typ faceta, którego nie wiadomo, czy chciałoby się bardziej przytulać, czy dusić, taki słodki. Kiedyś – miałam chyba ze dwanaście lat – odwiedziłam z rodzicami dziadków na wsi, no i wieczorem babcia przyniosła do domu kilka małych kotków, nawet oczu jeszcze nie otwierały.

– Tylko ostrożnie – powiedziała, podając mi jednego z nich, rudzielca.

Głaskałam go i tuliłam przez pół wieczoru. Zaciskałam palce na puszystej szyi i gdyby nie rodzice siedzący kilka metrów

dalej, udusiłabym go, jak nic. Bo jak się przez trzy godziny tuliło i głaskało coś tak kochanego i słodkiego, to już nic więcej z nim nie można zrobić, a przecież chce się więcej.

Wreszcie docieram pod blok i czekam przed klatką, aż ktoś wyjdzie. Głowa pochylona, włosy opadają na twarz i czekam, czekam, wreszcie pojawia się jakiś młody sąsiad, z tych, co nigdy na ciebie nie patrzą, więc wchodzę, idę schodami, przed drzwiami wycieraczka z zielonym napisem „Welcome". To pukam. Otwiera, inna niż na zdjęciach, nie taka szczupła, starsza jakby, nos jakiś większy chyba, no, generalnie brzydsza, więc może jednak Bóg istnieje. Odruchowo cofa głowę, jakby przed ciosem, a oczy ma wielkie. Kręci głową i mówi:

– Ty kurwo.

*

O żonie dużo nie opowiadał.

Dobrze się dogadywali i coś się zepsuło, sam właściwie nie wiedział co takiego. Nie narzekał, nie obmawiał, nie zrzucał na nią winy, nawet po alkoholu. Pokazał mi kilka zdjęć: wysoka brunetka, zadbana. Dopiero prawie po roku, kiedy częściej nocował już u mnie niż u niej, powiedział, że nie chce mu dać rozwodu. Jedliśmy kolację, gotował oczywiście on. Panang curry i wino, bez wina kolacja się nie liczy, bez wina już prawie nic się nie liczy, no więc w połowie posiłku otarł usta serwetką i odchylił się na krześle.

– Wie o nas, nie mam pojęcia skąd. Powiedziała, że nie zgodzi się na rozwód, nigdy w życiu.

Chciał sprzedać mieszkanie i oddać jej połowę pieniędzy. Oszczędności, mimo że w większości zgromadzone przez niego, też na pół. Dzieci nie mieli. A mimo to nie chciała, powiedziała, że na złość mu nie da. Jak można być takim człowiekiem?

*

Sama się zdziwiłam, że to poszło tak szybko: popchnęłam ją do mieszkania, drzwi zamknęłam nogą i już siedzę jej na brzuchu, przyciskam do ust szmatę z chloroformem. Łącznie może dziesięć sekund. Najpierw strasznie się rzuca, prawie z niej spadam. Szybko wiotczeje, dociskam jeszcze, czekam, czekam, czekam, wstaję.

Najgorsze odkładam na później: najpierw bałagan. Wyciągam jak najciszej szuflady i wszystko z szuflad, rozrzucam ubrania, przeszukuję biurko i dwa pudełka z biżuterią. Biorę na chybił trafił: złoto, łańcuszki, kolczyki. Chowam wszystko w torebce. Obok wpycham tablet i macbooka – jak dobrze, że cienki.

Przedłużam. Chodzę po mieszkaniu, przetrząsam kolejne kąty, oglądam stojące pod lustrem kosmetyki. Cofam się o osiem lat: znowu jestem na Woodstocku, znowu wjeżdżam na dźwig, znowu nie myślę o skoku. Staję na brzegu platformy i czekam.

Hałas. Z pokoju. Biegnę.

*

Czekałam, aż wyjdzie z niego, co ukrywa: chrapie po piwie, nie wynosi śmieci, codziennie dzwoni do mamy, wierzy w UFO, nałogowo zdradza, ma więcej kosmetyków niż ja, głosował na PiS albo lubi, żeby mu w łóżku w tyłek bakłażan wsadzać. Czekałam, czekałam i nic. Wydawało się, że normalny. Trzydzieści osiem lat, analityk giełdowy, dwójka rodzeństwa, spokojny, apolityczny, nigdy się nie denerwował, jeździł na rowerze, biegał, uprawiał kickboxing. Czasami wracał po treningu mocno poobijany. Raz, kiedy przyszedł ze złamanym żebrem, zapytałam, czy jego zdaniem było warto i czy nie jest

zły na tego, kto mu to zrobił – w końcu czekał go miesiąc męczarni przy każdym oddechu. Powiedział tylko, że na przeciwnika nie da się być złym: adrenalina i emocje sprawiają, że po walce człowiek ma ochotę rywala co najwyżej przytulić.

I tak za każdym razem, jakby nie miał w sobie odrobiny złości.

Któregoś razu wieczorem wzięliśmy ecstasy. Dostałam na urodziny od koleżanki z dawnych lat, która w końcu przeprowadziła się do Warszawy, jak wszyscy. Wzięliśmy przy jakimś filmie, nie pamiętam już, co leciało. Na pewno kryminał, tytuł zapomniałam. Łukasz brał po raz pierwszy w życiu, dałam mu dwie naraz. Godzinę później powiedział, że jego żona to szmata, jędza i ruchadło. Najchętniej by ją zabił.

*

Zgarbiona, oparta o meble, charczy. Coś poszło nie tak: może za mało chloroformu, może za słabo dociskałam, a może jeszcze coś, nie mam pojęcia. Roztrzęsionym palcem wodzi po ekranie telefonu. Wyrywam go jej i z całej siły kopię ją w brzuch, sama wpadam do kuchni. Dopiero później przyjrzę się dużym czerwonym kaflom na ścianach i szafkom o mleczno-szklanych drzwiczkach. Dopiero później zwrócę uwagę na podświetloną wyspę pośrodku i duży drewniany stół. Teraz miga mi tylko, że jest czysto, prawie sterylnie. Teraz muszę być szybka. Noże wiszą na stojaku wzdłuż blatu. Chwytam jeden – jest krótszy niż moje przedramię i ma gładką plastikową rękojeść. Zaraz jestem z powrotem w pokoju. Ona już na nogach. Rusza w stronę drzwi. Krzyczy coś niewyraźnie. Przyciskam ją do ściany, lewą ręką chwytam od tyłu za usta i wbijam nóż w jej brzuch, od boku, między żebra. Najpierw wchodzi tylko trochę. Szybko uderzam znowu. Trochę głębiej. Ona gryzie mnie w dłoń, miota

się między mną a ścianą, wciąż jeszcze słaba, zaspana, ale walczy. Próbuje krzyczeć i czuję, że zaraz odzyska siły. Wyszarpuję nóż i biorę szeroki zamach, prawie zza pleców. Tym razem wchodzi po rękojeść.

*

To nie tak, że zaczęliśmy cokolwiek planować. Takie rzeczy planują się same, wszystko dzieje się wokół: nagle zorientowałam się, że padły jakieś słowa, obietnice, że coś się już zadziało. Tylko popłynęłam z prądem. Jak ze skokiem na bungee podczas tamtego Woodstocku. Wjeżdżałam na górę, nie myśląc, co dalej. Wszystko działo się wokół mnie. Tym kilku koleżankom, które wiedziały o Łukaszu, wyznałam przy winie, że to gnojek i że między nami koniec. Usunęłam go ze znajomych. Wykasowaliśmy swoje numery telefonów. On kupił dwa nowe, na kartę, i porozumiewaliśmy się tylko w ten sposób, jak na filmie. Zresztą, to wszystko było jak film.

*

Kiedy stoję w mieszkaniu jego żony, przyciskając ją do ściany, z nożem wbitym w nią po rękojeść, rozumiem, co Łukasz miał na myśli, kiedy mówił, że po walce człowiek ma tylko ochotę przytulić przeciwnika. Przez pół godziny próbujesz zrobić komuś krzywdę, a potem, kiedy cała złość się wypala, właściwie go kochasz. I ja też ją kocham. Wiem o niej niewiele, prawie nic, ale czuję, jakby od lat powierzała mi wszystkie swoje największe sekrety.

Jestem znowu dwunastoletnią dziewczynką, znowu siedzę w pięknym domu babci i znowu przyciskam do piersi puszyste

kociątko. Tak jak wtedy, kociątko jest moje i tylko moje. To ode mnie teraz wszystko zależy.

Przyciskam moje Kociątko biodrami do ściany i wyciągam nóż z miękkiego ciała Kociątka. Nie zwracam uwagi na lewą dłoń, do krwi już pogryzioną, na stłumione jęki Kociątka i mocz na jego udach – to wszystko nie istnieje. Istnieje tylko słodkie, pulsujące życie, tak miękkie, tak puszyste, między mną a ścianą. Dziurawię puch jeszcze dwa razy. Boję się, że to się skończy zbyt szybko, że Kociątko się podda, że się nim nie nacieszę, ale nie, jeszcze nie: Kociątko teraz charczy. Charczy pięknie, bo tylko dla mnie, drży też tylko dla mnie, mogę to w każdej chwili przerwać.

Nie przerywam.

Napieram tylko mocniej, przyciskam się cała do dygoczącego puchu, zamykam oczy, wdycham wspaniały smród strachu i szepczę do ucha:

– Kocham cię, Kociątko.

*

Uwielbiałam oglądać w jego towarzystwie kryminały. Uspokojona winem, otulona kocem i trochę nim, z paczką orzeszków pod ręką zapadałam się w życia ciekawsze od mojego. Śledziłam, planowałam, uciekałam, ukrywałam się i zacierałam ślady. Odwiedzałam miejsca zbrodni, badałam poszlaki, rozwiązywałam zagadki i przesłuchiwałam świadków. Przede wszystkim zabijałam. Nożem, młotkiem, z pistoletu. Samochodem, trucizną, kijem bejsbolowym. Torbą foliową. Sznurem. Gołymi rękoma.

Nie jestem nienormalna, wszyscy lubią zbrodnię. To teraz najpopularniejsza rozrywka. Ale przecież nigdy nie pomyślałam, że mogłabym naprawdę. Nigdy. No dobrze, może

i pomyślałam, tak jak większość myśli, ale przecież nigdy nie na poważnie. Nigdy bym nie zabiła, zabijają przecież tylko mordercy.

*

Czuję, jak słabnie. Wierzga jeszcze, ale nie odrywa ode mnie wzroku. Jest zdziwiona, chyba dociera do niej, że zabijam ją naprawdę. Ja też jestem zdziwiona, bo przecież zabijają tylko mordercy. Jestem zdziwiona, bo to się dzieje naprawdę. Jestem zdziwiona, bo nie pamiętam, żebym kiedykolwiek się tak czuła.

Kiedyś, jeszcze przed studiami, jeździliśmy całą paczką na imprezy techno. Radośni, napaleni, niecierpliwi. Pierwszą tabletkę esctasy połykałam przed wyjazdem, potem jeszcze dwie, trzy, zdarzało się, że cztery. Wijąc się wśród spoconych półnagich ludzi, byłam Królową, wszyscy mnie kochali i ja kochałam wszystkich. Wszyscy mnie pragnęli i ja wszystkich pragnęłam. Wszyscy mnie podziwiali, ja nie podziwiałam nikogo: byłam Królową. Tamto uczucie to nic w porównaniu z tym, co czuję teraz, patrząc w oczy Kociątka.

Kociątko umiera, umiera dla mnie. Patrzy na mnie, krwawi na mnie, wokół niej jestem już tylko ja, nic innego wokół niej nie ma. Jeśli wtedy, na imprezach techno, bywałam Królową, to teraz jestem Bogiem.

– Już wszystko dobrze – szepczę jej w twarz, a potem szybko, aby jeszcze zdążyć, oblizuję jej usta, policzek i nos. Chyba jej dobrze, chyba już wszystko zrozumiała: oto stoi przed nią jej Bóg, więc nie ma się czego obawiać.

Kociątko osuwa się przy ścianie i upada na ziemię, z głuchym, paskudnym dźwiękiem. Patrzę na nią. Zadarta spódnica, sweter uwalany krwią, włosy przyklejone do twarzy. Oczy idiotycznie wpatrzone w ścianę i te rozkraczone nogi: na

sam widok robi się niedobrze. Kociątko zniknęło, jest tylko brzydka, martwa żona Łukasza.

*

Najzabawniejsze jest to, że mnie nie złapali. Nie byłam nawet przesłuchiwana. Łukasz miał dobre alibi, po to wtedy czekałam pół dnia. Oglądali z kolegami siatkówkę, potem pili do późna. Ja w razie czego opiekowałam się umierającym ojcem: przez pół wieczoru wysłuchiwał, jaka to jestem zmęczona tym całodniowym szorowaniem jego zapuszczonego mieszkania, w końcu sam zaczął to powtarzać. Po tamtym dniu ja i Łukasz nie widzieliśmy się prawie przez pół roku. Żadnych telefonów, mejli, SMS-ów. Minęły trzy lata, trochę ciągali go po komendzie, ale też nie jakoś bardzo, zresztą w końcu przestali. Zaczęliśmy pokazywać się razem dopiero niedawno.

Nie powiem, żebyśmy się sobą znudzili, ale zrobiło się trochę jednak normalnie. Nie do końca wiem, co w nim takiego widziałam, on też jakoś w stosunku do mnie przygasł, no i gotuje teraz już zdecydowanie rzadziej. Lepiej ubiera się do pracy niż na wspólne kolacje. Niczego zaskakującego nadal w nim nie znalazłam, tylko jakby trochę przybladł. Znalazłam za to coś w sobie.

Teraz znowu jest lato i znowu wszystko zniknęło. Leżymy, Łukasz i ja, wokół nas wielkie nic, nawet szumu z pobliskiej ulicy nie słyszę. Nie jest już tak, jak osiem lat temu, na Woodstocku: teraz wiem, że skoczę. Teraz myślę o tym, co będzie za chwilę, myślę i chcę tego, leżymy nie wiem jak długo, ale w końcu zaczynam znowu być: oddycham, otwieram oczy i długo patrzę na moje następne Kociątko. ■

JOANNA
OPIAT-BOJARSKA

PRZEZNACZENIE

Fot. Beata Cichecka

JOANNA OPIAT-BOJARSKA

Z wykształcenia ekonomistka, od kilku lat uzależniona od pisania autorka poczytnych kryminałów. Łamie tabu m.in. dotyczące handlu organami (w „Koneserze”), dopalaczy (w „Zaufaj mi, Anno”) czy zaginięć (w „Gdzie jesteś, Leno?”). Niech nikogo nie zwiedzie jej wykształcenie. Kryminał w wykonaniu ekonomistów święci tryumfy na całym świecie, czego przykładem są powieści Jo Nesbø czy Camilli Lackberg. Fabuły Opiat-Bojarskiej mogły wydarzyć się naprawdę, a siłę jej powieści stanowią niespodziewane zwroty akcji, wysoki ładunek emocjonalny oraz precyzyjne odwzorowanie realiów.

Mimo podjętej próby reanimacji, kobieta dźgnięta nożem zmarła…

Nie miał siły tego oglądać. Stacje telewizyjne prześcigały się w donoszeniu o kolejnych zgonach, zabójstwach, napadach. Jeśli miał wybierać między dobrem i złem, to wybierał dobro. A najchętniej miłość.

„Cieszę się, że w końcu trafiłeś na dobrą kobietę" – przypomniał sobie słowa kuzyna. Liczył się z jego zdaniem. Kuzyn miał czterdzieści lat, żonę, dwójkę dzieci i spokój, jaki zapewnia jedynie udany związek z kobietą.

Kobieta. Długo szukał tej jedynej. A może właśnie nie szukał. Brał byle co. Co było pod ręką. Być może dlatego o miłości nie było mowy? Do czasu.

Kasię poznał na dyskotece. Właśnie wyszedł na wolność i przyszedł się rozerwać. Był na głodzie. Światła pulsowały, muzyka dudniła w uszach, a alkohol przyjemnie rozgrzewał przełyk. Chciał tylko zaliczyć jakąś dupę. Zaspokoić potrzebę w biegu. Podczas dwóch lat pozbawienia wolności nie miał ani jednego intymnego spotkania. Teraz szukał jakiejś szybkoobsługowej panny. Nie miał czasu na flirt czy inne gry wstępne. Rozejrzał się wokoło. Dyskoteka była pełna jednorazówek eksponujących apetyczne biusty, miękkie pośladki i czerwone usta. Blondynki, brunetki, rude. Miał w czym wybierać… I wtedy do baru, przy którym siedział, podeszła ona. Blondynka z dużymi biodrami. Zamówiła piwo i spojrzała mu w oczy. To głupie, ale już wtedy wiedział, że musi ją mieć. Nie na chwilę, ale na dłużej. Kasia. Takie miała imię.

Nie zaliczył jej wtedy. Potańczyli i umówili się na piwo następnego dnia. A potem kolejnego.

– Zależy mi na niej – wyznał kuzynowi dwa dni później. Kiedy poczuł, że się czerwieni, dodał szybko, żeby nie wyjść na mięczaka: – No i to, co odpierdala w łóżku! Stary, jest świetna.

Kasia była świetna we wszystkim. Wpatrywała się w niego jak w obrazek i nigdy nie kończyły im się tematy do rozmowy. Powoli zaczynał rozumieć pierdolenie o dwóch połówkach pomarańczy.

– Jesteśmy dla siebie stworzeni – powtarzał zawsze, kiedy więzienna przeszłość dawała o sobie znać.

Bo to dzięki Kasi zerwał z przeszłością. Zapomniał o odsiedzianym wyroku i starał się żyć tak, aby nie miała mu nic do zarzucenia. Unikał starych kumpli i kłopotów. Starał się nie patrzeć na inne kobiety. Zaczął nawet myśleć o tym, czy to dobra chwila, aby się Kasi oświadczyć. Z taką kobietą mógłby przejść przez całe życie.

*

Policja wydała list gończy za podejrzanym o zabójstwo…

Telewizor nie pozwalał mu zapomnieć, że świat nie składa się tylko z miłości. Nie wiedział, po co media powtarzały w kółko te same wiadomości. Co z tego, że wydano list gończy za podejrzanym? Co z tego, że szukało go więcej policjantów? Więcej nigdy nie znaczy – lepiej. Czy więcej miało sprawić, że podejrzany miał się zacząć bać? On się nie bał. Kiedyś nie bał się niczego. Aż do pewnej środy.

– Zdradziłam cię – Kasia wypaliła ni z tego, ni z owego podczas smażenia kotletów.

Nawet na niego nie spojrzała. Siedział przy kuchennym stole i wpatrywał się w ceratę pokrywającą blat. Nie osądzał jej.

Czekał na ciąg dalszy.

– Zdradziłam cię – powtórzyła.

Te słowa powinny uruchomić lawinę emocji, ale nic się nie działo. Zdradziła go? Nie zdradziła? Nagle uznał, że to nie ma znaczenia. Raz też prawie by ją zdradził. Było naprawdę blisko. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie byli idealni, a świat był pełen pokus.

– Z kim? – spytał, bo chciał ukierunkować rosnącą w nim agresję. Tak dawno jej nie czuł. No dobra, raczej udawał, że jej nie czuje. Agresja była jedną z jego pokus. Tak łatwo jest wybuchnąć, a zapanować nad emocjami trudno.

– Nieważne. Zdradziłam cię.

– Gdzie? Jak? Kiedy?

Po raz pierwszy rozmowa się nie kleiła. Kasia, zamiast płakać i odpowiadać na pytania, bezemocjonalnie powtarzała, że go zdradziła. Wkurzył się. Nie dlatego, że wyobraził sobie, jak ukochana kobieta daje się rżnąć innemu frajerowi. Wiedział, że nie zrobiłaby tego. Każda inna, ale nie Kasia. Szanował ją przecież i był wrażliwy. To, że się spotkali, że zamieszkali razem, to było przeznaczenie. Pomyślał więc, że kłamie! Perfidnie kłamie.

– Zdradziłam cię. Musimy się rozstać.

– Zamknij się szmato – warknął i uderzył pięścią w stół.

To o to chodziło! Był dla niej za dobry. To dlatego chciała go zostawić. Kasia nie dała mu wyboru. Musiał zrobić awanturę. Rzucił ją na łóżko. Zwymyślał od najgorszych. Uderzył.

Płakała. Zwymyślał ją, zamknął drzwi na klucz i poszedł się napić z kolegami. Jego ojciec też pił i lał matkę. On chciał żyć inaczej. Może jednak chciał zbyt dużo?

„Jak chłop baby nie bije, to jej wątroba gnije” – powtarzając mądrość życiową zasłyszaną od kumpli, wrócił do domu. Przywitały go ciemność i cisza. Kasi nie było ani w sypialni, ani

w kuchni. Na patelni leżały niedosmażone kotlety. Coś go tknęło, aby zajrzeć do szafy. Była pusta. Kasia odeszła.

Uderzył pięścią w szafę z taką złością, jakby to ona ponosiła winę za taki obrót sprawy. Chciał poczuć ból. Prawdziwy fizyczny ból. Chciał, aby ból przyćmił to dziwne ssanie, które po odejściu Kasi poczuł w żołądku.

*

Podejrzany i ofiara byli wcześniej parą…

Z drzemki wybudził go głos podekscytowanego dziennikarza. Telewizor grał non stop. Kolejni dziennikarze i prezenterzy pogody wypełniali swoim głosem opuszczony domek myśliwski. Nie czuł się tu dobrze. Drewniany dom, belki na suficie, skrzypiąca podłoga. Na ścianach wisiały jelenie rogi, a w kątach pajęczyny. Wszystko było zakurzone. Żona kuzyna jeszcze nie przygotowała nieruchomości do sezonu. Ssało go w żołądku dokładnie tak samo, jak tydzień temu, kiedy ze złości, że Kasia odeszła, rozwalił szafę.

– Kasieńko, kochanie. Jesteś dla mnie wszystkim.

Następnego dnia znalazł ją w rodzinnym domu. Miała dopiero osiemnaście lat, to normalne, że po kłótni z nim wróciła do domu.

– Wybaczam ci. Mam nadzieję, że i ty mi przebaczysz.

Nie zwracał uwagi na rodziców Kasi, którzy wychylili swoje krzywe mordy z pomieszczenia znajdującego się przy drzwiach wejściowych. Starzy Kasi nigdy go nie lubili. Był od ich córki starszy o dziesięć lat. Stanowczo za dużo. Według nich. Zrobiliby wszystko, aby rozbić ich związek. Podobno uważali też, że źle mu z oczu patrzy.

– Idź stąd – wycedziła przez zęby Kasia.

Był pewien, że to gra. Że rodzice nagadali jej głupot i zakazali do niego wracać. Gdyby ich nie było, rzuciłaby się mu na szyję. Kochała go przecież. Kochała, ale być może chciała, aby pokazał przy jej starych, jak bardzo mu na niej zależy.

– Kocham cię. – Padł przed nią na kolana i wyznał, nie zważając na głupie uśmiechy rodziców Kasi. – Nic innego się dla mnie nie liczy.

Kasia stała w przedpokoju i nie wiedziała co powiedzieć. Zdążył poznać ją przez te kilkanaście tygodni wspólnego życia. Wystarczyło, aby dodał coś miłego, że pięknie wygląda, że bez niego jest mu źle, a wymięknie i zgodzi się na wszystko. Taki miał plan, ale nie zdążył go zrealizować, bo w wąskim przedpokoju, do którego Kasia go wpuściła, stanął jej stary.

– Nie pierdol – warknął i zasłonił córkę. – Co ty człowieku wiesz o miłości. Zapomnij o Kaśce. Znajdź sobie inną. Kaśka nie zasłużyła na takie życie.

– Jakie? – uniósł głos.

Był gotowy do starcia, do zmierzenia się z ulubioną dyscypliną z przeszłości. Agresją. Powstrzymywała go obecność Kasi. Stała nieruchomo. Widział jej twarz za plecami starego.

Jak ten łysawy gość mógł mówić, że jego córka nie zasługuje na takie życie? Przecież on dawał jej wszystko, czego chciała. Kupował perfumy, ciuchy, nawet podróbkę najmodniejszej torebki przyniósł jej z targu. Po pracy wracał prosto do domu i nie marudził, kiedy zupa była za słona. To ostatnie było najtrudniejsze, bo umiejętności kulinarne Kasi pozostawiały wiele do życzenia. No cóż, może była zbyt młoda, aby gotować ze smakiem.

– Kasiu, Kasieńko, przecież jesteśmy sobie przeznaczeni. – Próbował udawać, że nie widzi mężczyzny przed sobą. – Kasiu, chodź ze mną. Nasz dom jest bez ciebie pusty.

– Ona się ciebie boi. – Ojciec zasłonił córkę swoim ciałem i spojrzał na niego z pogardą.

Stracił Kasię z pola widzenia. To go wkurzyło. Przecież przylazł do tej nory, aby gadać z Kasią. Nie z jej starym. W więzieniu z takimi frajerami nie gadał. Bił tak długo, dopóki nie uznali, że jest silniejszy i należy się mu szacunek.

Poniżył się i ukląkł przed Kasią. Zrobiłby o wiele więcej, aby ją odzyskać. Nie miał jednak możliwości, bo jakiś frajer próbował decydować za córkę.

Po raz pierwszy od trzech miesięcy, od kiedy poznał Kasię, pozwolił sobie na poczucie złości. Pchnął jej starego, a później sprawy potoczyły się jak zwykle. Szarpanina, krzyki i interwencja policji. Na szczęście udało mu się jakoś wywinąć. Kasia miała w tym swoją zasługę. Nie potwierdziła, że to on rozpoczął bijatykę. Jej zachowanie zinterpretował na jedyny możliwy sposób. Odeszła, bo chciała mu coś udowodnić, ale nadal go kochała. Gdyby go nie kochała, pozwoliłaby, aby zwinęły go psy.

*

Jak powiedziała nam znajoma zamordowanej Katarzyny A., kobieta poddawana była ciągłej przemocy psychicznej i fizycznej…

Ściszył telewizor. Nie miał siły wysłuchiwać tych głupot.

Wyjechał z domu, aby poczuć się lepiej. Miał pozbyć się emocji i uczucia pustki. Domek myśliwski był jednak tak samo pusty jak jego mieszkanie. Potwornie brakowało mu Kasi. Mogłaby nawet marudzić, że poddaje ją przemocy seksualnej. Mogłaby krzyczeć albo godzinami plotkować z koleżanką przez telefon. Po trzech nocach bez Kasi gotowy był na wiele ustępstw. Postanowił o nią zawalczyć. Tym razem nie jak frajer,

przy źle nastawionych rodzicach. Musiał spotkać się z nią na neutralnym gruncie.

Zaczął zasypywać ją SMS-ami. Dzwonił. Prosił. Płakał. Przekonywał. Proponował randki.

Zawsze wysłuchiwała go do końca, po czym mówiła to swoje: – Nie! Była twarda. To w niej lubił. Wtedy, przy barze, zauważył, że ma ostry charakterek i będzie dla niego wyzwaniem.

– No dobra. – Kasia zmieniła zdanie dopiero, kiedy udało mu się wymyślić odpowiedni pretekst.

Zdobył i-Phona, którego dawno jej obiecywał. Powiedział, że muszą się spotkać, bo przecież nie będzie wysyłał aparatu pocztą. Zgodziła się na krótkie spotkanie przed kinem.

– Co słychać? – spytał.

Wyglądała przepięknie. Musiała długo siedzieć przed lustrem, aby przygotować się do ich randki-nierandki.

– W porządku.

– Jak sobie radzisz?

– Nie narzekam.

– A w pracy?

– Bez zmian.

– To dobrze.

Zamienili jeszcze kilka słów o pogodzie i zamilkli. Nie wiedział o co może jeszcze spytać, aby jej nie spłoszyć. W końcu wyjął z kieszeni najnowszego i-Phona.

– Ooo! – Otworzyła szeroko oczy i zrzuciła z twarzy maskę obojętności.

Odetchnął z ulgą i przysunął się do Kasi. Pachniała landrynkami.

– No! Obiecałem przecież, że ci załatwię, to załatwiłem.

– Dziękuję – odpowiedziała i chciała odejść.

Poszedł za nią. Kiedy zostawili za sobą te wszystkie pary czekające na film, odezwał się z wyrzutem.

– Kasiu, to nie tak miało być.

Nie zareagowała, więc złapał ją za rękę. Chciał zatrzymać ją, przedłużyć spotkanie, ale kiedy poczuł ciepło jej ciała, oszalał. Od czterech dni nie uprawiał z nią seksu. Już prawie zapomniał, że jej ciepło i landrynkowy zapach działały na niego jak dopalacze. Pociągnął ją za sobą, a kiedy znaleźli się na tyłach kina – pocałował. Najpierw delikatnie, tak romantycznie, jak lubiła. Potem namiętnie. Nie protestowała. Udawała obojętną, skupił się więc na sobie. Po kilku chwilach było po wszystkim. Zapiął rozporek i spojrzał na Kasię. Miała zaróżowione policzki i przyspieszony oddech. Jej też musiało się to spodobać. Nigdy wcześniej nie spółkowali w miejscu publicznym. Gdyby się jej nie podobało, na pewno by zauważył.

Podobało się, bo następnego dnia zapukała do drzwi jego mieszkania.

– Przeznaczenie – zagwizdał i wpuścił ją do środka.

Był tak szczęśliwy, że gdyby miał przy sobie pierścionek, na pewno by jej się oświadczył. Wszystko zaczęło się układać. Przetrzymał fazę fochów. Przeleciał Kasię i spadło jej napięcie. Przemogła się i przyszła do niego. Zaprosił ją do kuchni. Na brązowej ceracie postawił dwa piwa. Zaczął opowiadać o bezsennej nocy i o tym, że bardzo za nią tęsknił.

– Byłam na policji – odezwała się w końcu. – Musisz przestać mnie molestować. Inaczej cię zamkną.

Nie wiedział, czy żartuje, czy perfidnie kłamie, tak jak wtedy, podczas smażenia kotletów. Próbował z nią rozmawiać, ale ona ciągle mówiła o psiarni. O tym, że złożyła na niego zawiadomienie, że ją pobił, że zgwałcił, że stosował przemoc psychiczną.

*

Już trzeci dzień policja poszukuje podejrzanego o zabójstwo byłego chłopaka Katarzyny A. Mężczyzna jest uzbrojony. Jeśli ktoś z państwa go zauważy, prosimy o kontakt z najbliższym komisariatem policji. Policja apeluje o niezatrzymywanie podejrzanego na własną rękę. Może być niebezpieczny…

Nie miał wątpliwości, kto w ich związku był bardziej niebezpieczny. Kasia. Może rzuciła na niego czar? Nie zauważył, że była rasową *femme fatale*. Gdyby nie zobaczył jej tamtego dnia w dyskotece, wyrwałby pierwszą lepszą pannę. Zaliczyłby tyle razy, ile by się dało, a później znalazłby sobie kolejną. Przez te trzy miesiące zdążyłby zapomnieć imiona wszystkich, które weszły mu do łóżka. Żyłby zgodnie z instynktem. Seks. Polowanie. Urozmaicenie.

Ryzykowałby, ale nie cierpiał. Mógł żyć spokojnie. Na przykład w takim myśliwskim domku. Posprzątałby tu, przyniósł parę swoich gratów, a przez belki sufitowe zawiesiłby coś do podciągania się.

Tamtego dnia mógł jej nie wpuścić do domu. Nie wysłuchiwałby słów, które go raniły. Nie próbowałby zrozumieć, jak kobieta, którą wysłało przeznaczenie, mogła na niego donieść policji. Sprawa nie miałaby dalszego ciągu. Ale nie! Najpierw dla niej oszalał, potem zakochał się jak wariat. Wierzył jej i ufał. Z nikim nigdy nie miał takiej relacji jak z nią. Nawet z kuzynem, który stanowił dla niego autorytet. To Kasi zwierzał się z mniejszych sekretów. Ten największy zostawił jednak dla siebie. Nie wiedziała, że pojawiła się w jego życiu dokładnie w dniu, w którym wyszedł z więzienia. Gdyby jej powiedział, pytałaby, za co siedział. I co? Musiałby tłumaczyć jej, że za pobicie kilku gości. Zaczęłaby drążyć. A kogo? A za co? A na jak długo cię skazali? Nie chciał opowiadać o czymś, o czym już prawie zapomniał. Zresztą nie zrozumiałaby, że przypadkowe zwykłe pobicie może mieć skutek śmiertelny.

Chciał też uniknąć pytania o to, jak sobie radził w zamknięciu. Jak ułożył sobie relacje z innymi więźniami? To byłyby tematy niewygodne. Zwłaszcza, gdyby wyszły z ust kobiety, dla której miał się stać aniołem.

„Zobacz, to przeznaczenie" – przypomniał sobie słowa kuzyna. – „Wyszedłeś na warunkowe, spotkałeś kobietę swojego życia. Ktoś podarował ci drugą szansę. Nie zmarnuj jej". Nie zamierzał. Wpatrywał się w ceratę i szukał w myślach najlepszego rozwiązania patowej sytuacji.

– Wycofaj zawiadomienie – zażądał, kiedy poinformowała go, że to koniec. Nie wypiła piwa. Za to zapaliła fajkę. – Wycofaj, dopóki ładnie cię proszę.

Nie prosił, lecz żądał. Zbyt dużo miał do stracenia. Nie chciał wracać za kratki. Nie teraz, kiedy znalazł miłość swojego życia. Zza krat nie mógłby o nią walczyć. Nie mógłby jej pilnować. Nie oświadczyłby się i nie żyliby długo i szczęśliwie.

– Kasiu, kocham cię. Wycofaj. Przecież ty też mnie kochasz.

– Nie kocham. – Zgasiła fajkę na kuchennej ceracie.

Nienawidził tej brązowej szmaty, ale poczuł, jakby Kasia zgasiła żar papierosa na jego policzku. Przecież sama kupiła tę ceratę. Mówiła, że dzięki niej widać, że mieszkanie kawalera zmienia się w mieszkanie zakochanych.

– Nie kocham – powtórzyła i wstała.

Nie kocha. Te dwa słowa sprawiły, że przestał oddychać. Nie mógł słuchać tak perfidnych kłamstw. Nie kocha? Co? Nagle przestała? A może nigdy nie kochała? To po co z nim była? Budziła się i zasypiała przy nim.

– To po co tu przylazłaś?!? Wycofaj, szmato!

Jemu chodziło o zeznania, a ona zaczęła się wycofywać z mieszkania. W przedpokoju odciął jej drogę. Chwycił za rękę, wykręcił ją i zaprowadził Kasię do stołu w kuchni. Tego

z brązową ceratą, przy którym wszystko się zaczęło. Brakowało tylko patelni z kotletami.

Kasia była spokojna. Może myślała, że pchnie ją na stół i znowu zaliczy? Nie. Nie chciał sprawiać jej przyjemności. Nie, jeśli go nie kochała. Nie, jeśli najpierw się o nią prosiła, a potem zgłaszała policji gwałt.

– Kobiety są podłe!

Przycisnął jej twarz do ceraty dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą zgasiła swojego papierosa.

– Wycofaj zeznania suko.

– Puść mnie!

– Wycofaj! Pojedziemy razem na komendę i powiesz, że się pomyliłaś. Że pokłóciliśmy się i chciałaś zrobić mi na złość. Że nic takiego nie miało miejsca, że jestem grzeczny jak baranek. Słyszysz?

Kasia nie przytakiwała, więc rozejrzał się wokoło. Potrzebował jakiegoś narzędzia nacisku, skoro racjonalne argumenty do niej nie trafiały.

– Słyszysz? Pytam po raz ostatni. Słyszysz?

Sięgnął po leżący najbliżej nóż i przyłożył jej do gardła. To było dobre zagranie. Od razu przestała udawać opanowanie. Rozpłakała się i przyznała mu rację. Przytulił ją, a kiedy uznał, że doszli do porozumienia, pojechali razem na komendę policji. Ona weszła tam sama, a on planował, co będą robić później. Dzisiaj, jutro, za miesiąc. Może powinien zrobić jej dziecko. Miałaby zajęcie i przestała wymyślać głupoty.

*

Kobieta kilkakrotnie zgłaszała policji fakt, że boi się byłego partnera. Zwłaszcza, że ten żądał, aby wycofała swoje

oskarżenia. O tym też poinformowała policję, nikt jednak nie zareagował…

Kolejne wiadomości telewizyjne i kolejne doniesienia na temat zabójstwa. Oglądał je, bo był ciekawy, co tym razem te hieny wymyślą. Przy każdym wejściu starali się dodać coś nowego.

Obserwował telewizor i piwo stojące na wyciągnięcie ręki. Przyniósł je ze sklepu, ale nie miał ochoty na przyjemności.

– Co za pierdolenie! Gówno wiecie! – wrzasnął do dziennikarza. Gdyby miał go na wyciągnięcie ręki, przyłożyłby mu z pięści w nos.

Tamtego dnia Kasia wróciła z komisariatu w dobrym humorze.

– Załatwione – bąknęła.

Wyszedł z samochodu i przytulił ją. Znowu poczuł landrynkowy zapach i rosnące podniecenie, ale tym razem stłumił je i pozwolił sobie jedynie na odczuwanie spokoju.

– Najgorsze już za nami. Skoro przetrwaliśmy tyle, to przetrwamy wszystko. Kasiu, wrócisz ze mną do domu, prawda?

– Daj mi trochę czasu. Jestem zmęczona.

Nie chciał nalegać. Rzeczywiście wyglądała na zmęczoną. Uśmiechała się, ale była blada i jakby nieobecna. Spokojnie odstawił ją pod blok, w którym mieszkali jej rodzice i czekał. Liczył, że odeśpi stresy ostatnich kilku dni i znowu zapuka do jego drzwi.

*

Czwarty dzień trwają poszukiwania mężczyzny, który zabił swoją byłą dziewczynę. W tym zdarzeniu najbardziej przeraża to, że mężczyzna groził Katarzynie A. Kobieta bała się o swoje życie…

On też bał się o życie. Swoje. To on umierał. Powoli. Przez nią. On – twardziel, który nawet za kratami uchodził za najsilniejszego. W ciągu siedmiu dni i nocy spędzonych bez Kasi zrozumiał, że miłość jest chorobą. Że został zainfekowany, a przy życiu utrzymywała go naiwna wiara w to, że będzie żył z ukochaną długo i szczęśliwie.

Kasia przestała reagować na jakiekolwiek próby nawiązania z nią kontaktu. Nie odpisywała na SMS-y, nie odbierała telefonu. Tłumaczył sobie, że to nie jej wina. Że to rodzice podburzają ją i pilnują, aby go unikała.

Starał się przeczekać i wytłumaczyć sobie, że wszystko jest na dobrej drodze. Przecież wyjaśnili sobie wszystko tamtego dnia, kiedy widzieli się po raz ostatni przy komendzie.

Przestał chodzić do pracy. Siedział w domu i czekał. Żeby nie zwariować, w kółko odtwarzał jeden film. Nagrał go swoim smartfonem na początku znajomości z Kasią, kiedy jeszcze nie podjęli decyzji, że razem zamieszkają.

Kasia się stresowała, ale dał jej ekstazy i wyluzowała. Zaczęła zachowywać się jak prawdziwa gwiazda porno.

– Przeleć mnie…

Zamiast pracować, siedział w domu i wpatrywał się w ekran smartfona. Obserwował skaczące nagie cycki Kasi i biodra podrygujące rytmicznie, jakby właśnie jechała konno. Pragnął jej, tęsknił i tracił nie tylko sens życia, ale i opanowanie.

Kłócił się ze wszystkimi. Facetowi na stacji benzynowej wybił zęby tylko dlatego, że przyglądał mu się zbyt długo. „Pewnie myśli, że jestem frajerem, którego zostawiła dupa” – wkręcił sobie i jednym sprawnym ciosem pozbył się napięcia.

– Przeleć mnie… – Słyszał głos Kasi, mimo że film już się skończył.

Włączał go od początku. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Nie pamiętał, przy którym razie wpadł na diabelski pomysł. Chciał

zobaczyć się z ukochaną. Sam na sam, bez rodziców, bez podszeptów, bez przechodniów. Musiał zwabić ją do siebie. Postanowił, że kupi kwiaty, ubierze czystego T-shirta i przekona ją do siebie. Wabikiem miał być opublikowany w internecie film.

Tak, właśnie ten film, z Kasią rozkosznie jęczącą: – „Przeleć mnie". Piętnaście minut domowej produkcji pornosa – to było jedyne, co mu po niej zostało. Z trudem godził się na to, aby obcy zobaczyli jej cycki. Wiedział jednak, że to ostatnia szansa. W tamtej chwili zrobiłby jednak wszystko, aby Kasię odzyskać.

Wrzucił film na youtube'a, a linki rozesłał znajomym. Czekał, aż film dotrze do Kasi. Chciał w niej wzbudzić emocje. Chciał, aby wpadła do niego wkurwiona. Zaczerwieniona ze złości. Chciał, żeby krzyczała, klęła i groziła.

Jego matka zachowywała się podobnie. Uspokajała się dopiero wtedy, gdy ojciec ją uderzył. Wtedy przez chwilę panowała cisza. Wredna cisza, której jako dziecko nienawidził. Zwykle po ciszy następował hałas. Och… Ech… Aaa... Seks po kłótni przynosił rodzicom najwięcej przyjemności, a dzieciom zapowiedź kilku spokojnych dni. Tak, dokładnie na to czekał. Na kłótnię. Na seks. Na zgodę.

*

Poszukiwany prawdopodobnie planował to morderstwo. Jak wyglądał dramat osiemnastolatki? Naszej reporterce udało się dotrzeć do przyjaciółki zabitej dziewczyny…

Dzień, dwa, trzy. Czekał, ale nic się nie działo. Kasia milczała. Z jakiegoś powodu upubliczniony akt seksualny nie wywołał w niej żadnej reakcji. Centralnie go olała. Nie miała mu nic do powiedzenia? Nie wierzył w to. Kobiety zwykle w takich

sytuacjach wpadały w szał. Bo mężczyzna złamał słowo. Bo obiecywał, że nikt tego nie zobaczy.

Kasia… dopiero wtedy dotarło do niego, że może rzeczywiście go nie kochała. Może był dla niej nikim. Kolejnym gościem, którego zaliczyła? Kolejnym śmieciem, którego trzeba się pozbyć. Kolejnym frajerem, który zaangażował się zbyt mocno.

– Nie działaj pochopnie. – Kuzyn starał się ochłodzić jego emocje.

Liczył się z jego zdaniem, dlatego z problemem przyszedł właśnie do niego. Tamtego dnia nie słuchał jednak nikogo. W jego głowie rozbrzmiewał śmiech Kasi. Nie taki ciepły i radosny, ale ostry i perfidny.

„Frajer – słyszał jej głos – zdradziłam cię. Musimy się rozstać. Frajerzy mnie nie kręcą".

Kiedy zatykał uszy i zamykał oczy, widział nagie ciało Kasi oparte o kuchenny stół. Próbował się do niej zbliżyć, ale wtedy pojawiał się inny mężczyzna.

– Remigiusz?!? Słyszysz mnie? Musisz się uspokoić. – Kuzyn starał się do niego dotrzeć. – Wyjedź na parę dni. Masz tu klucze do naszego domku myśliwskiego. Musisz przestać na nią czekać. Wyjedziesz, wyciszysz się, opanujesz gniew i odnajdziesz spokój. Dasz radę, stary!

Na kuzyna zawsze mógł liczyć. Wziął klucze i z myślą, że uda mu się opanować gniew, poszedł do domu. Do reklamówki wrzucił parę ciuchów, bo naprawdę bardzo chciał postąpić tak, jak mu doradzał jego życiowy guru. Chciał, jednak przeznaczenie było silniejsze.

Poszedł do kuchni. W szufladzie znalazł nóż do krojenia mięsa. Kupili go razem z Kasią w Ikei, kiedy planowali wspólny dom. W salonie miał stać biały narożnik, a w sypialni szafa z lustrem. Tonący brzytwy się chwyta, a on w takich sytuacjach łapie zawsze za nóż. Wie, że nóż robi wrażenie.

*

Sprawca zadał ofierze dwadzieścia trzy ciosy nożem. Czy możemy rozpatrywać tę sprawę jako zabójstwo w afekcie?

Dwóch facetów w garniturach mądrzyło się w studiu telewizyjnym, pokazując jednocześnie, że nic nie wiedzą o zabójstwie z miłości. To jego powinni zaprosić do dyskusji. Znał takiego dresiarza spod celi. Z artykułu sto czterdzieści osiem paragraf czwarty. Facet wrócił wcześniej do domu, zastał żonę w łóżku z jakimś frajerem i zadziałał.

Znowu przypomniał sobie na wpół surowe kotlety i słowa Kasi:

– Zdradziłam cię.

To od nich wszystko się zaczęło. Ale to nie był wybuch, tylko mała sącząca się rana. Gdyby zobaczył zdradę na własne oczy, wszystko potoczyłoby się inaczej. A tak? Siedział w domku myśliwskim, jednym okiem zerkał na telewizor, a drugim na zakrwawiony nóż. Z nożem w ręku zawsze czuł się pewniej. Także wtedy, kiedy zdecydował się po raz ostatni podjąć próbę rozmowy z Kasią.

Poszedł pod piekarnię, w której jego ukochana pakowała pieczywo. Wiedział, że kończy pracę o czwartej rano. Ostatnie pół godziny oczekiwania ciągnęło się niemiłosiernie. W końcu kilka osób wyszło z budynku. Kasia też. Poczekał, aż przestaną rozmawiać. Ktoś poszedł w kierunku przystanku autobusowego, ktoś inny wsiadł do samochodu. Kasia mieszkała na tyle blisko, że zawsze wracała z pracy pieszo.

Podszedł do niej, kiedy została sama.

– Cześć.

– Co ty tu robisz? – Wyglądała na przestraszoną.

– Przyszedłem cię zobaczyć.

– To zobaczyłeś, a teraz odejdź.

– Kasiu, nie bądź taka. Usycham z tęsknoty.

– Tęsknisz? I wrzuciłeś do netu nasz film?

– Chciałem…

– Nie wiem, co chciałeś, ale tym zagraniem sprawiłeś, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Kasiu, ale przecież jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Stworzeni? – Wykrzywiła twarz, jakby właśnie wgryzła się w cytrynę. – To koniec. Zrozum to wreszcie.

Jego pewność siebie spadła do zera. Sięgnął więc po nóż, który miał schowany za paskiem.

– Nie gadaj głupot. – Zaprezentował dziewczynie narzędzie nacisku.

– To ty się nie wygłupiaj. Schowaj to.

Była twarda. Udawała, że nóż nie robi na niej wrażenia. Przyglądała się mu z delikatnym uśmiechem na twarzy. Najgorsze było jednak jej spojrzenie. Brakowało w nim szacunku.

Musiał zadziałać, zaprezentować swoje umiejętności i pokazać jej, że jest prawdziwym mężczyzną, a nie frajerem. Złapał Kasię za włosy, odciągnął głowę do tyłu, a ostrze noża przyłożył do jej gardła.

– Nie wycofałam zeznań. Jeśli cokolwiek mi zrobisz, policja będzie wiedziała, że to ty – poinformowała go.

Poinformowała. Obojętnie. Jakby nie wierzyła, że grozi jej niebezpieczeństwo. Jakby oceniła, że nie jest w stanie jej coś zrobić.

– Okłamałaś mnie… Dlaczego?

Czekał na ciąg dalszy. Na przyznanie się do winy, wyrażenie skruchy i prośbę o wybaczenie.

Czuł jej landrynkowy zapach i rosnące podniecenie. Nawet taka chłodna i harda budziła w nim emocje.

Rozejrzał się. Byli sami na ulicy. Żądnych przechodniów, gapiów w oknach czy biegających dzieci. O czwartej nad ranem wszyscy jeszcze spali. Wszyscy, oprócz niego i Kasi.

Oderwał ostrze od jej szyi i pchnął ją na najbliższą ścianę kamienicy. Uderzyła plecami o elewację. Nadal udawała niewzruszoną.

– I co teraz? – Spojrzał na nią łakomie.

Ostatnio w miejscu publicznym było im dobrze. Mogliby to powtórzyć w ramach przeprosin.

Kasia stała jednak nieruchoma i cały czas przyglądała mu się z pogardą.

– Przestań! – krzyknął.

Nie zareagowała, więc uniósł nóż. Chciał ją tylko nastraszyć. Wymóc na niej szacunek. Nie reagowała. Nie pozostawiła mu pola manewru.

Pierwszy cios skierował w brzuch. Nóż wszedł w Kasię jak w masło. Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy. Nie odnalazł w niebieskich zwierciadłach duszy Kasi ani grama emocji. Zero strachu, zaskoczenia, złości. Nie wywoływał w niej żadnej reakcji. To było dla niego najgorsze. Kolejne uderzenia noża były jak ruchy kopulacyjne. Przynosiły przyjemne doznania i obietnicę tego, że za chwilę będzie jeszcze milej. Uderzał na oślep. Parę razy musiał natrafić na żebra, bo czuł opór. Dociskał wtedy nóż całym sobą i nadal obserwował oczy Kasi. Powoli uchodziła z niej obojętność. Życie też.

*

– Od czterech dni na wolności pozostaje mężczyzna, który bestialsko zamordował swoją narzeczoną. Co policja robi, żeby go odnaleźć? Czy jesteście w stanie zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom naszego miasta?

– Panie redaktorze, podjęliśmy działania zmierzające do zatrzymania podejrzanego. Wsparła nas grupa wyspecjalizowana w poszukiwaniu niebezpiecznych przestępców. Policjanci prowadzący śledztwo proszą też o kontakt wszystkie osoby, które mogą pomóc w ustaleniu miejsca pobytu tego mężczyzny.

Nie miał siły dłużej tego oglądać. Obcy dziennikarzyna ekscytował się jego osobistą tragedią, niewiele o niej wiedząc. Po raz pierwszy od czterech dni wyłączył telewizor. Do tej pory chciał być na bieżąco. Chciał wiedzieć, jakie informacje dotrą do jego kuzyna. Co sobie o nim pomyśli? I czy wspomni policji o domku myśliwskim?

Dopiero teraz poczuł, że schodzi z niego napięcie. Kuzyn miał rację. Dom myśliwski był dobrym miejscem do opanowania gniewu. Uspokoił się. Ogarnął. Zebrał siły. Zerknął na nóż, na którym zastygła krew Kasi.

– Zmusiłaś mnie do tego – powiedział na głos – ale wybaczam ci.

Poszedł do kuchni. Z szuflady wyjął sznur. Wrócił do pokoju i przewiesił go przez jedną z sufitowych belek. Sprawdził, czy sznur utrzyma ciężar jego ciała.

Nie mógł bez końca siedzieć w domku myśliwskim. Nie mógł żyć ze świadomością, że zabił kobietę swojego życia. Nie mógł bez niej żyć. Musiał dołączyć do Kasi. Byli przecież dla siebie stworzeni. Nie miał co do tego wątpliwości.

Przygotował krzesło, pętlę na sznurze i nagle stracił pewność siebie. Rzucił ostatnie spojrzenie na nóż. To on dodawał mu zawsze pewności siebie. Zszedł więc z krzesła i wrócił do telewizora. Włączył go i sięgnął po nóż. Instynkt samozachowawczy uruchomił alarm. Mięśnie brzucha stwardniały, a ręka się zatrzymała. Miał spotkać Kasię. Poznać smak miłości. Miał zabić ją, a później siebie. Gdyby nie

zauważył jej tamtej nocy w dyskotece, z pewnością pozbawiłby życia więcej niż trzy osoby. Regularnie traciłby panowanie nad sobą, zabijałby kolejnych ludzi i wracał za kraty. Dzięki Kasi wybrał mniejsze zło.

– Przeznaczenie – wyszeptał i wbił sobie ostrze w brzuch.

Zdziwił go ból. Fizyczny ból. Tak silny, że momentalnie przyćmił to dziwne ssanie w żołądku, które czuł, od kiedy Kasia odeszła. ■

WOJCIECH CHMIELARZ

TELEFON

Fot. Wojciech Rudzki

WOJCIECH CHMIELARZ

Autor kryminałów, dziennikarz, zdobywca Nagrody Wielkiego Kalibru (2015), pięciokrotnie nominowany do tej nagrody. Publikował m.in. w „Pulsie Biznesu", „Pressie", „Nowej Fantastyce", „Pocisku" i „Polityce". Były redaktor naczelny serwisu internetowego niwserwis.pl, zajmującego się tematyką przestępczości zorganizowanej, terroryzmu i bezpieczeństwa międzynarodowego. Autor cyklu powieści o komisarzu Jakubie Mortce: „Podpalacz" (2012), „Farma lalek" (2013), „Przejęcie" (2014), Osiedle marzeń (2016), cyklu gliwickiego: „Wampir" (2015) i „Zombie" (2017) oraz postapokaliptycznej powieści „Królowa głodu" (2014).

1.

Pani Martyna?

– Tak, słucham.

– Dzwonię w sprawie ogłoszenia. Lekcji włoskiego. Pani ich udziela, prawda? Chciałbym wykupić kilka.

– Oczywiście. Bardzo się cieszę. A w jakim celu? Pytam, bo inaczej uczy się kogoś, kto chce pojechać tam na wakacje, inaczej kogoś, kto do pracy…

– Rozwinięcia umiejętności zawodowych.

– A więc zna pan już trochę włoski?

– Nie. Znam angielski, łacinę, portugalski i hiszpański.

– Niezła lista.

– Chciałbym do tego dołożyć włoski.

– Czyli lekcje dla początkujących?

– Tak.

– Będzie panu łatwiej, skoro zna pan już hiszpański.

– Też tak słyszałem.

– Kiedy by się pan chciał spotkać?

– Jakoś szybko.

– Jakie godziny panu odpowiadają?

– Pracuję popołudniami i wieczorami, więc najlepiej byłoby się umówić przed południem. Czy to możliwe?

– Tak. Jakoś to załatwię. Gdzie pan mieszka?

– Wolałbym podjechać do pani. Tak będzie mi wygodniej.

– Dobrze.

– Czy kiedy będzie mi pani udzielać lekcji, będzie pani w mieszkaniu sama?

– Słucham?

– Mam problemy z koncentracją. Łatwo mnie rozproszyć. Chciałbym, żebyśmy w momencie, kiedy będziemy mieć lekcję, byli w mieszkaniu sami.

Cisza w słuchawce. Bicie jej serca.

– Mój mąż pracuje w domu.

– Mąż?

– Ale będzie w drugim pokoju. Nie będzie nam przeszkadzać. Nawet nie będzie pan wiedzieć, że jest w mieszkaniu.

Jego oddech. Wyraźny. Równy. Niepokojący.

– Jeszcze poszukam.

Rozłączył się.

2.

Gdyby ktokolwiek jej powiedział, że ciąża będzie tak wyglądać, dwa razy by się zastanowiła, czy w nią zachodzić. Chociaż koniec końców, pewnie i tak by się zdecydowała. Może zresztą tak to działa. Kobiety nie powinny wiedzieć o tym wszystkim. Przynajmniej nie tak dokładnie. Jedno to czytać o nudnościach, co innego co rano spędzać co najmniej pół godziny, obejmując porcelanowy sedes i wyrzucając z siebie kwaśną zawartość żołądka. Ale brzuch! Była zaledwie w szóstym miesiącu, a już ciężko jej było się poruszać. Nawet nie chciała sobie wyobrażać, jak to będzie wyglądać w dziewiątym. Pewnie będzie się toczyć, a nie chodzić. Jedyne szczęście, że nie jest brzemienna latem. Duchota, gorąco i wielki bęben przed sobą – tego by już nie zniosła.

– Gdyby mężczyźni rodzili, już dawno wymyśliliby jakiś sposób, żeby to wszystko się odbywało, wiesz, poza ich ciałami – powiedziała Dorota, popijając herbatę. – W jakimś inkubatorze. Czy coś takiego. Sama nie wiem.

– To chyba źle świadczy o nas.

– O nas?

– Kobietach. Rodzimy od tysięcy lat, a ciągle nie wymyśliłyśmy nic lepszego. Żadnego inkubatora. Nic. Głupie jesteśmy czy co?

Dorota zastygła z filiżanką przy ustach. Zmarszczyła brwi, a na jej czole pojawiła się zabawna, głęboka zmarszczka.

– W każdym razie to nie nasza wina – stwierdziła. – Po prostu, ktoś nam przeszkodził.

– W wymyśleniu czegoś, co zastąpiłoby poród?

– Poród, ciążę. Cały ten cyrk.

Martyna uśmiechnęła się lekko. Pomyślała, że z jednej strony to byłoby miłe. Wyciągać jajeczko, wsadzać do pojemniczka i wyciągnąć wszystko gotowe dziewięć miesięcy później. Bez strachu przed porodem, ograniczeń w diecie, ciągłej obawie przed dosłownie każdym USG, bo chociaż poprzednie nic nie wykazały, to może tym razem jednak coś wyjdzie i co wtedy. Ale z drugiej strony, kiedy jej ręka wędrowała na brzuch, kiedy dotykała go, delikatnie naciskając, rozumiała, że ta więź, która właśnie się tworzy, będzie głębsza i silniejsza niż cokolwiek, co spotkało ją dotychczas w życiu. I najlepsze nawet pudełko, najbardziej błyskotliwy rozwój technologii nie byłby w stanie tego zbudować. Czasami te mało doskonałe rozwiązania są jednak najlepsze.

– Ciekawe, czy go złapią – powiedziała Dorota.

Martyna obróciła się i powędrowała za wzrokiem koleżanki. Teraz obie patrzyły na zawieszony pod sufitem telewizor, gdzie wyświetlały się obrazki z jednej z telewizji informacyjnych.

Widać na nich było bloki, chyba w Warszawie, chociaż nie rozpoznawała dzielnicy, policyjne radiowozy na światłach, funkcjonariuszy niespokojnie rozglądających się dokoła. Dźwięk był wyłączony, więc nie było wiadomo, o co chodzi, a z tej odległości Martyna nie była w stanie przeczytać napisów na pasku. Nie chciało się jej sięgać po okulary.

– A co się wydarzyło? – zapytała.

– Jeden wariat zabił kobietę – Dorota uświadomiła koleżankę. – Obciął jej głowę, a potem woził ją taksówką. W plecaku, wyobraź sobie! No świr.

Martyna pokręciła z niedowierzaniem głową. Od kiedy zaszła w ciążę, w mniej lub bardziej świadomy sposób odcięła się od informacji ze świata. I jakoś jej lepiej było z tym, kiedy nie wiedziała, do jakich okropieństw dochodzi po drugiej stronie globu albo co znowu powiedział jeden polityk o drugim.

– Straszne – odpowiedziała mechanicznie.

Miała nadzieję, że ta informacja szybko sama wyleci jej z głowy, a Dorota straci zainteresowanie tematem. Porozmawiają sobie wtedy o czymś przyjemniejszym.

– Ta kobieta…

– Jaka kobieta?

– No ofiara – kontynuowała Dorota, która nagle się ożywiła. Jej oczy zalśniły, a Martyna zaczęła podejrzewać, że koleżanka ukradkiem dolała sobie czegoś mocniejszego do filiżanki. – Też była lektorką języka włoskiego. Jak ty. Znałaś ją może?

3.

Ostatnie godziny spędziła, siedząc przed komputerem. Bolał ją już krzyż, ale nie potrafiła oderwać wzroku od ekranu. Przewijała kolejne stronice tekstu, otwierała zakładkę za

zakładką, wpisywała hasła do wyszukiwarki w nadziei, że znajdzie coś nowego. Kolejny strzępek informacji. Linijkę tekstu z nowymi danymi. Zdjęcie. Cokolwiek, co pchnie ją odrobinę do przodu. Doda kolejny element do chaotycznej układanki w jej głowie.

Nazywał się Kajetan. Udało się jej znaleźć nawet jego zdjęcie. Normalny facet. Nawet przystojny. Patrząc na niego, nikt by się nie domyślił, że był zdolny do takiego okrucieństwa. Kilka dni temu umówił się z tłumaczką języka włoskiego w jej mieszkaniu na Woli. Powiedział jej, że chce się uczyć języka. Na miejscu ją zamordował. Potem pociął zwłoki i wsadził do torby. Głowę spakował do plecaka. Taksówką zawiózł poćwiartowane ciało do wynajmowanego na Żoliborzu mieszkania. Taksówkarza zaniepokoił ten dziwny pakunek. Zapytał o to. W odpowiedzi usłyszał, że to tusza dzika. Uwierzył. Albo przynajmniej udawał, że wierzy. Martynie nie mieściło się to w głowie. Dlaczego ktokolwiek miałby wozić martwego dzika taksówkami po Warszawie? Przecież to było oczywiste, że coś jest nie tak. Ten taksówkarz powinien od razu zadzwonić po policję. Zawiadomić, że dzieje się coś podejrzanego. Zamiast tego po prostu skasował klienta i pojechał do kolejnego wezwania. Śledczy odnaleźli go, dopiero kiedy sprawa wyszła na jaw. A to stało się przez przypadek. W mieszkaniu wybuchł pożar. Przyjechała straż pożarna. Ugasili płomienie i znaleźli ciało. Skąd się wziął ogień? Kto go zaprószył i po co? Kolejna rzecz, której Martyna nie rozumiała.

Drgnęła, a jej żołądek ścisnęło ze strachu, kiedy usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Poczuła, że ogarnia ją panika, a ona nie wie już, co ma robić: biec do sypialni, żeby ukryć się w szafie, czy do kuchni, żeby chwycić za nóż.

– Cześć, kochanie! – Usłyszała głos Maćka.

Odetchnęła głęboko.

– Cześć! – odpowiedziała. Jej głos zabrzmiał dziwnie. Głucho i obco. Sama ledwie go poznała.

Mąż zrzucił buty, kurtkę i wszedł do mieszkania. Kupili je niedawno, trochę w pośpiechu, kiedy dowiedzieli się, że zaszła w ciążę. Do tej pory krążyli wokół tematu. Zastanawiali się, oglądali oferty, patrzyli, co jest na rynku i ile kosztuje kredyt. Ale w sumie robili to bez przekonania. Oboje byli zadowoleni ze swojej małej kawalerki wynajmowanej od miłej starszej pani. Nie mieli ciśnienia, żeby koniecznie się przeprowadzać na swoje. Wiadomość o dziecku wszystko zmieniła. Sprawy poszły ekspresowo. Szybka wizyta w banku, weekend spędzony z pośrednikiem, który obwoził ich po całej Warszawie, a potem mnóstwo papierkowej roboty, żeby wreszcie ucieszyć się własnym dwupokojowym mieszkankiem. Nawet do końca go nie wyremontowali. Kuchnia była już zrobiona, łazienkę zostawili na za parę lat, kiedy mieli nadzieję mieć więcej pieniędzy. W jednym pokoju w pudłach leżały książki i ubrania, bo jeszcze nie zamontowali szafek, a w drugim puszki z farbą, pędzle i cała reszta sprzętu malarskiego. To tam miał spać dzidziuś, kiedy się urodzi. Ale mieli jeszcze kilka miesięcy, żeby wszystko dla niego przygotować, więc na razie pomieszczenie robiło za składzik.

Maciek pocałował ją w czubek głowy, potem pogłaskał po brzuchu i przeszedł do kuchni.

– Jest coś na obiad?! – zawołał.

Spojrzała na porozrzucane dookoła papierki po batonach. Brudny talerz, na którym jeszcze niedawno leżały kanapki, i na wpół wypity kubek herbaty. Poczuła drobne ukłucie wyrzutów sumienia. Tak zaaferowały ją internetowe poszukiwania, że nie miała czasu niczego przygotować.

– Nie! – odkrzyknęła. – Zaraz coś zrobię na szybko. Ja jakoś nie miałam ochoty. A wiesz, jak to jest gotować dla jednej osoby

– kłamała szybko.

– Właściwie to ja też coś w pracy przekąsiłem – odpowiedział Maciek, wychodząc kuchni z paczką chipsów. – Teraz to się tylko dobiję.

Usiadł na kanapie nieopodal niej. Otworzył paczkę. Wziął garść chrupek i wsadził ją sobie do ust. Potem wytarł tłustą dłoń o koszulkę i sięgnął po swojego laptopa.

– Jak twój dzień? – zapytał, odpalając komputer.

– Dobrze.

– Widziałaś się z Dorotą?

– Tak.

– A to fajnie. Co tam u niej?

– Słyszałeś o tym Kajetanie? – zmieniła gwałtownie temat.

Odwrócił się do niej i spojrzał na nią zaskoczony.

– Jakim Kajetanie?

– Tym facecie, który obciął głowę nauczycielce włoskiego.

Na jego twarzy odmalował się wyraz niezrozumienia, a potem jęknął przeciągle z ulgą, kiedy nagle zrozumiał, o czym do niego mówi.

– Aaa! Tak, było. No. Faktycznie. Straszny, kurwa, szajbus.

– Jeszcze go nie złapali.

– No wiem, wiem… – powiedział. Skupiał się już na ekranie swojego komputera. Nie była pewna, co tam robi. Znając go, pewnie szukał jakiegoś filmu na pirackich serwisach, patrzył, co się wydarzyło na Facebooku w tym krótkim czasie od jego wyjścia z pracy do powrotu do domu, albo upewniał się, że na Steamie nie ma jakiejś nowej, wspaniałej gry w nowej, wspaniałej promocji. Denerwowało ją to. Zdawała sobie sprawę, że to ostatnie chwile, kiedy mogą być naprawdę sami. Spędzić razem czas, porozmawiać, zrobić coś fajnego. Kiedy urodzi się dziecko, zacznie się szaleństwo i przez następne miesiące widywać się będą tylko poprzez stosy pieluch, butelek,

smoczków, brudnych ciuszków i dziecięcych zabawek. A on zamiast wykorzystać te ostatnie chwile wolał sprawdzać, co się dzieje w Internecie.

– Wydaje mi się, że do mnie dzwonił – powiedziała.

– Kto?

– Kajetan – odpowiedziała ze złością. – Facet, który obciął kobiecie głowę! I odłóż na chwilę ten pieprzony komputer!

Ostatnie słowa zabrzmiały ostrzej, niż planowała. Ale za to odniosły swój skutek. Maciek z urażoną miną, ale jednak spełnił jej prośbę.

– Ale, że co konkretnie się wydarzyło? – zapytał.

– Wydaje mi się, że do mnie dzwonił – powtórzyła. – Ten Kajetan.

– Skąd wiesz? Przedstawił się?

– Nie. Ale to była bardzo dziwna rozmowa.

– To znaczy?

– Jakiś facet dzwonił. Chciał się umówić na lekcje i prosił, żeby to było u nas w domu.

– No i? Udzielasz lekcji u nas w domu.

– Licealistom, nie dorosłym mężczyznom – powiedziała. – Ale to nieważne. A potem się dopytywał, czy na pewno będziemy sami. Bo on się łatwo rozprasza czy coś takiego. W każdym razie, bardzo mu zależało, żebyśmy byli sami. Tylko on i ja.

– I co?

– Skłamałam, że pracujesz w domu i będziesz cały czas w drugim pokoju.

– Mądra dziewczyna – pochwalił ją i zrobił skręt ciała, jakby chciał sięgnąć po komputer. Jej lodowate spojrzenie sprawiło, że zatrzymał się w połowie ruchu. – Co?

– W ogóle się tym nie przejmujesz?

– Czym?

– Dzwonił tutaj zabójca. Ta, kobieta. Z obciętą głową. To mogłabym być ja.

Westchnął.

– Co się potem wydarzyło?

– Nic. Powiedział, że się zastanowi, i się rozłączył. Nie dzwonił tutaj więcej.

Wstał z kanapy. Nachyli się nad nią i przytulił w niezgrabnym geście, który wydał się jej równocześnie protekcjonalny, a nawet obraźliwy. Przez moment miała ochotę po prostu go ugryźć.

– Przestraszyłaś się – powiedział. – Rozumiem. Faktycznie, to dziwna historia. Ale wiesz, nic się nie stało, prawda?

– Nie złapali go jeszcze, prawda?

Podniósł wysoko brwi.

– No nie – przyznał. – Ale co… Boisz się, że tutaj przyjdzie? Czy coś takiego?

Kiedy to powiedział głośno, nawet jej ta obawa wydała się nagle śmieszna i głupia. Ale równocześnie ciągle była realna. Była pewna, że tu dzwonił. Była pewna, że słyszała w słuchawce jego głos. Była pewna, że to właśnie ją wybrał jako swoją ofiarę. I jedyne, co ją uchroniło, to to kłamstwo na temat tego, że mąż będzie w pokoju obok.

– Nieważne – powiedziała cicho.

– Już w porządku? – zapytał, patrząc jej głęboko w oczy.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Już w porządku.

Pocałował ją w czubek czoła.

– Chcesz ze mną coś zobaczyć? – zapytał. – Na przykład kolejny odcinek „Hanibala”? – dokończył i roześmiał się głośno.

4.

– Dzwonię z ogłoszenia. Chodzi o lekcje włoskiego.

Znowu męski głos. Wydawał się jej starszy, dojrzalszy niż tamten, ale to wydarzyło się przecież kilka tygodni temu. Poza tym ten Kajetan był teraz ścigany przez całą policję w kraju i połowę w Europie. Pewnie się maskuje. Ogolił włosy, zapuścił wąsy, rozmawiał telefonicznie przez chusteczkę przyciśniętą do ust, tak jak to robią w filmach. A może po prostu wpadła w paranoję, tak jak twierdzi Maciek. Tylko że on nie przeżył tego, co ona. Jasne, to może nie było jakieś dramatyczne przeżycie, nikt jej naprawdę nie porwał, nie skrzywdził, ale sama świadomość tego, że prawdopodobnie rozmawiała z zabójcą, który wybrał ją na swój cel, była czymś, co tkwiło w jej głowie jak cierń i wracało w najbardziej nieoczekiwanych momentach. To było tak, jakby on uznał, że nie jest godna bycia człowiekiem, że jej życie jest nic niewarte i można je zakończyć ot tak, bez powodu, motywu, najmniejszego nawet sensu.

– Tak. Na jakim poziomie?

– Interesuje mnie włoski biznesowy. Znam już język na poziomie średnim, ale za niedługo prowadzić będziemy negocjacje w partnerem z półwyspu. Chciałbym w związku z tym podszkolić się w tym zakresie. Przerobić jakieś konwersacje, najpopularniejsze zwroty, takie tam. To wchodzi w zakres pani kompetencji?

– Jak najbardziej. Nie będzie problemu. Na pierwszej lekcji porozmawiamy trochę, zastanowimy się, ustalimy, jaki zakres materiału, słownictwo będzie dla pana najbardziej przydatne, i na tej podstawie przygotowuję program spotkań.

– Znakomicie. Gdzie pani prowadzi lekcje?

– Słucham?

– Przyjeżdża pani do klienta czy prowadzi pani lekcje u siebie w domu? Wolałbym, żeby pani przyjeżdżała do mnie. Mogę

dopłacić oczywiście, ale jeśli ma być u pani w domu, to może uda mi się to jakoś wcisnąć do grafiku. Więc?

Gorączkowo próbowała wymyślić właściwą odpowiedź. Prawda była taka, że każda z nich przyprawiała ją o dreszcze. Wizyty w domu obcego mężczyzny w ogólnie nie brała pod uwagę. Wyobrażała już sobie wzmocnione drzwi, których nie dałaby rady otworzyć od środka. Wytłumione ściany, żeby nie dało się usłyszeć jej krzyków. Zresztą to wszystko nie byłoby potrzebne. Wystarczyłoby tylko to, żeby zrobił jej to, co Kajetan zrobił tej lektorce – zakradł się od tyłu, dźgnął nożem. Nie zdążyłaby nawet zareagować. A u nich w domu? Też nie czuła się wcale bezpiecznie. Szczególnie, że Maciek całymi dniami siedział w pracy. Tłumaczył, że teraz musi się bardziej wykazać, żeby bez strachu poprosić o urlop, kiedy pojawi się dziecko.

– Zazwyczaj prowadzę zajęcia w kawiarni.

– Co takiego?

– Ale możemy się też spotkać w restauracji. Centrum handlowym. Nawet muzeum, jeśli panu pasuje. Albo w bibliotece. Tam jest zazwyczaj spokój, jeśli pan potrzebuje.

„I inni ludzie” – dodała w myślach.

– Nie. Raczej nie. Wolałbym…

– Mogę też przyjechać do pana do firmy – rzuciła desperacko.

– Tam nie ma warunków – odpowiedział sucho mężczyzna.

– W takim razie…

– W takim razie poszukam jeszcze – przerwał jej ciężko mężczyzna i rozłączył się.

Odłożyła telefon. Jej dłoń była cała mokra. Wytarła ją o kanapę. Odetchnęła kilka razy głęboko, a dziecko w jej brzuchu – dziewczynka, której jeszcze nie nadali imienia – poruszyło się niespokojnie. Miała rodzić za dwa miesiące, pomyślała sobie, nie potrzebowała nowych uczniów. Dobrze się stało, że nic z tego nie wyszło. A potem jej wzrok powędrował

w stronę pokoju dziecięcego, wciąż niegotowego, z pomalowaną tylko jedną ścianą. I pomyślała, że co jak co, ale dodatkowa gotówka jednak by im się przydała.

5.

Patrzy z niepokojem w twarz mężczyzny, który przyszedł do ich mieszkania. Gorączkowo szuka w nim podobieństw do człowieka, którego fotografie widziała w gazetach i na portalach internetowych. Jest starszy, co ją uspokaja. Jego włosy są szpakowate, a nie czarne. Twarz bardziej okrągła, pokryta wyraźnymi zmarszczkami. Oczy niebieskie. Uśmiecha się przyjaźnie, kiedy Martyna wpuszcza go do środka.

– Buongiorno, bella! – mówi.

– Buongiorno – odpowiada.

Nie spuszcza z niego oka, ale w pewnym momencie musi się obrócić, żeby zebrać swoje papiery ze stołu. To ledwie kilka sekund. Trochę więcej niż mrugnięcie, ale dokładnie tyle mu wystarczy. Otacza jej szyję grubym ramieniem, zamyka w wężowym, strasznym uścisku. Ona otwiera usta, ale nie jest w stanie ani nabrać oddechu, ani wydać z siebie wołania o pomoc.

– Robię to, żeby się samodoskonalić – szepcze prosto do jej ucha. – Pozbyć ludzkich słabości. Udowodnić, że twoje życie nie jest warte więcej niż życie robaka, świni.

I wie już, że w jakiś sposób wszystkich oszukał. Uciekł. Zmienił wygląd, głos, sposób poruszania, sylwetkę, wiek. Wszystko po to, żeby ją dopaść.

Tak jak planował od początku.

Wtedy się obudziła. Nie z krzykiem, ale cichym, niezrozumiałym mamrotaniem. Jej powieki były nieprzyjemnie

ciężkie. Twarz opuchnięta. Policzki i podbródek pokrywała cienka, nieprzyjemna warstwa zaschniętej śliny. Podniosła się powoli do pozycji siedzącej. Jej brzuch przypominał teraz piłkę plażową. Był ogromny. Jej ginekolożka twierdziła, że dziecko ma normalną wagę, ale Martyna jej nie wierzyła. Była przekonana, że jej córka to jakiś gigant. Albo to bliźniaki. A do porodu został jeszcze miesiąc.

Wreszcie udało się jej wstać. Plecy od razu ją rozbolały. Przeczłapała do pokoju dziecięcego, gdzie Maciej, popijając kolejne już tego dnia piwo, malował wreszcie ściany. W przyszłym tygodniu umówili na wyjazd do IKEI, żeby kupić mebelki. Jej zdaniem zdecydowanie za późno.

Maciek skończył machać pędzlem. Odsunął się, żeby ocenić swoje dzieło. Wziął łyk piwa. Przełknął. Beknął. I dopiero wtedy ją zauważył.

– O! Już wstałaś! Fajnie. I jak ci się podoba? – zapytał, wskazując na ścianę i domagając się pochwały.

– Znowu mi się śnił.

Zrezygnowany opuścił ramiona. Pociągnął kolejnego łyka z butelki. Tym razem naprawdę potężnego.

– Kajtek?

Nienawidziła, kiedy zdrabniał jego imię. Lekceważył w ten sposób wszystkie jej obawy.

– Tak.

– Ale wiesz, że go złapali?

– We śnie to nie był on.

– Przecież przed chwilą powiedziałaś…

– To był on i to nie był on.

– To nie ma sensu, wiesz?

– Bo to był sen.

Rzucił pędzel na folię malarską pod stopami.

– Złapali go już – powiedział. – Pamiętasz? Nie ma się już czego bać. Sprawa jest skończona. Poza tym przecież nawet nie wiadomo, czy to on do ciebie dzwonił.

– To był on.

– Niby skąd wiesz?

– Znalazłam w Internecie jego CV. Jedna ze stacji radiowych wygrzebała i opublikowała. I w tym CV było napisane, że znał angielski, łacinę, portugalski i hiszpański. Facet, który do mnie dzwonił, znał dokładnie te same języki. Bardzo dokładnie to zapamiętałam. Nawet przez chwilę o tym rozmawialiśmy, że skoro zna już hiszpański, to łatwiej będzie mu się nauczyć włoskiego.

– I co z tego?

– To, że to był on! Dzwonił do mnie Kajetan!

Podszedł do niej. Chwycił za ramiona i chciał przytulić. Odsunęła się. Mruknął coś pod nosem, na tyle cicho, że nie dosłyszała.

– Mieszkamy w Warszawie – odezwał się po chwili. – Jestem pewien, że Kajetan nie był jedynym człowiekiem w tym mieście, który znał akurat ten zestaw języków.

– Tak. Bo to takie popularne. Uczyć się łaciny i…

– Nie mówię, że popularne – przerwał jej. – Mówię tylko, że możliwe. To pewnie był tylko zbieg okoliczności, nic więcej. Zdarza się.

Pokręciła głową z niedowierzaniem. W jej oczach pojawiły się łzy, które szybko starła wierzchem dłoni. To akurat były te pieprzone ciążowe hormony. Nienawidziła ich. Nie chciała płakać. Nie była smutna. Przepełniał ją gniew. Zamiast zalewać się łzami powinna wrzeszczeć i rzucać talerzami. Chociaż wtedy już zupełnie wyszłaby na histeryczkę. Była już tak zmęczona ciążą. Przeraźliwie.

– Ciebie to nic nie obchodzi – powiedziała najspokojniejszym głosem, na jaki było ją stać. – Gdybym wtedy nie skłamała, to on by tutaj przyszedł. Zabiłby mnie. Zabiłby twoje dziecko. Ale ciebie to nic nie obchodzi.

Otworzył usta. Zamknął. Potarł się palcami po czole. Nie zauważył, że były brudne i na skórze pozostały mu pociągłe ślady po farbie.

– Dlaczego nie przyjechała do ciebie policja?

Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Skoro dzwonił do ciebie – wyjaśnił – skoro to ciebie planował zabić na początku, to powinien zostać jakiś ślad tego. Nie wiem, coś w billingach, informacja w komputerze. Cokolwiek. A jeśli tak, to policja powinna do ciebie przyjechać, żeby cię przesłuchać. Dowiedzieć się, o czym rozmawialiście. Czy doszło do lekcji, czy nie. A jeśli nie, to dlaczego. Zapytać, co o nim sądzisz. No, przeprowadzali przecież to całe śledztwo. Bardzo poważne. W każdej gazecie o tym trąbili. Zresztą o tym akurat wiesz lepiej ode mnie. No to jest pytanie, dlaczego do ciebie nie przyjechali.

Coś ścisnęło ją za gardło i przez chwilę, zawstydzająco długą, nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Poczuła się jak mała dziewczynka, którą nauczycielka w szkole przyłapała na tym, że nie odrobiła zadania domowego.

– Nie wiem – wyszeptała wreszcie, przezwyciężając tę nieznośną niemoc.

– To ja ci powiem, dlaczego. Bo to nie był on. Ktoś do ciebie zadzwonił. Jakiś dziwny ktoś, jasne, ale to nie był ten facet. Tyle.

– Nie rozumiesz.

– Rozumiem – powiedział mocno, niemal agresywnie. – Przestraszyłaś się. Bo to była straszna sprawa. I faktycznie, wybrał tę dziewczynę przez przypadek, więc równie dobrze mogło trafić na ciebie. No i do tego te całe nerwy w związku

z ciążą. Ale facet już siedzi. Koniec, kropka. Skończyło się. Możesz już przestać histeryzować.

– Nie histeryzuję.

– To ilu klientów spuściłaś na drzewo? – zapytał pozornie obojętnym tonem.

Na jej policzkach pojawiły się rumieńce wstydu.

– Jestem w ciąży – odpowiedziała lodowato. – Źle się czuję.

– Ale ja ci nie każę pracować w kopalni. Ani robić nie wiadomo czego. Po prostu masz uczyć ludzi włoskiego. To samo, co robiłaś przez całe swoje dorosłe życie. Przez ostatnie lata. I nigdy, nigdy nic ci się nie stało. Najmniejsza krzywda. Dlaczego teraz nagle miałoby się to zmienić?

Przypatrywała mu się. Wyrazowi błogiego zadowolenia, który pojawił się na jego twarzy, kiedy dotarło do niego, że nie ma już żadnej riposty. Że wygrał tę dyskusję.

– Wal się – powiedziała.

Wychodząc z pokoju, zatrzasnęła drzwi, gdyby przyszło mu do głowy iść za nią.

6.

To był zły pomysł i część jej zdawała sobie z tego sprawę, ale cała reszta jej świadomości to wypierała. Gdyby Maciek dowiedział się o tej wycieczce, to pewnie wpadłby w szał i poskutkowałoby to kolejną niewiarygodną awanturą. Z tym że tego dnia akurat był do późna w pracy. Zdąży pojechać do i wrócić, a on o niczym nigdy się nie dowie.

Ale sama podróż była koszmarna. Czuła jednak każdy minimalny nawet wstrząs, każdy ruch pojazdu, jego wygięcie w lewo, w prawo. Jakby znajdowała się na statku na wzburzonym morzu, a nie w autobusie, który sunął

warszawskimi ulicami. Dziecko zachowywało się za to spokojnie. Chyba spało. Ale jej i tak było cały czas niedobrze. Jej twarz od razu, ledwie minutę po tym, jak wsiadła do autobusu, przybrała nieprzyjemny ziemisto-zielony kolor. Siedzący naprzeciwko niej mężczyzna, biznesmen, który nieustannie stukał w ekran tabletu, raz po raz zerkał na nią podejrzliwie. Ale nie zapytał, co jej jest, ani nie zaproponował pomocy. Przez chwilę zastanawiała się z czystej złośliwości, czy nie zwymiotować na jego nowiutkiego iPada. Chociażby po to, żeby zobaczyć jego oburzenie. Ale że była dobrze wychowaną dziewczynką, to powstrzymała się. Niemniej z trudem.

Kiedy wreszcie dojechała pod gmach sądu, z ulgą odetchnęła przyjemnym, ciepłym, wiosennym powietrzem. Nie przeszkadzał jej nawet dworcowy hałas, krążący dookoła niej ludzie, smród wielkiego miasta. Po prostu była szczęśliwa, że już tu jest. A potem wzdrygnęło nią, kiedy pomyślała, że będzie musiała jeszcze wrócić. Postanowiła, że z powrotem weźmie taksówkę. Albo nawet pójdzie na piechotę. Wszystko, byleby znowu nie wsiadać do autobusu.

Przed sądem stał tłum dziennikarzy. Pracownicy stacji telewizyjnych z kamerami. Fotoreporterzy wszystkich chyba możliwych gazet. Mężczyźni i kobiety z mikrofonami. Obok niej jakaś elegancko ubrana młoda dziewczyna mówiła coś gorączkowo w stronę wbitego w nią oka obiektywu. Kiedy skończyła, od razu wyciągnęła paczkę papierosów i odpaliła jednego. Martyna odsunęła się natychmiast, żeby nie wdychać szkodliwego dymu.

Nagle cały ten tłum zafalował. Poruszył się. Ktoś krzyknął. Ktoś inny wyciągnął rękę i ruszyli do przodu w stronę furgonetki, która zajechała pod bramę sądu, a potem wbiegli za nią, kiedy wjeżdżała na dziedziniec.

Martyna przepychała się do przodu.

– Jestem w ciąży! Jestem w ciąży! – krzyczała raz po raz, a zaskoczeni dziennikarze odsuwali się, a potem patrzyli po sobie, nie rozumiejąc, kim jest i skąd się tutaj wzięła.

Ona sama zresztą też coraz mniej rozumiała ze swojego zachowania. Chciała po prostu go zobaczyć. Stanąć z nim oko w oko, w nadziei, że takie spotkanie będzie egzorcyzmem, który wygna go z jej głowy. Sprawi, że nigdy więcej o nim nie pomyśli. Że nie będzie się już więcej bać. Teraz nagle wiedziała, że było to i głupie, i naiwne. Chciała się wycofać, uciec, ale tłum za plecami jej na to nie pozwalał. Serce biło jej jak szalone, nagle zrobiło się jej strasznie gorąco.

Furgonetka się zatrzymała. Otworzyły się szeroko boczne drzwi i wyskoczyło z niej kilku policjantów. Wszyscy byli ubrani w kamizelki kuloodporne, hełmy, jakby spodziewali się strzelaniny. W dłoniach trzymali długą broń. Bacznie patrzyli na otaczających ich dziennikarzy. Strzeliły pierwsze migawki, ktoś uderzył kamerą Martynę w głowę.

Wtedy go zobaczyła. Dwóch policjantów, trzymając Kajetana za skute na plecach ramiona, wyciągnęło go z furgonetki. Miał na sobie grubą zieloną kurtkę, rozpiętą, więc powiewała lekko. A na głowie czarny hełm, jakby u czołgisty. Jego dolna część całkowicie zakrywała mu pół twarzy czymś, co przypominało gruby, biały knebel.

Nagle, w krótkiej chwili, która trwała może sekundę, może dwie, ich spojrzenia się spotkały. I ujrzała, jak w jego martwych oczach pojawia się nagle płomień radości. Z jakiegoś powodu była pewna, że pod tą maską uśmiechnął się szeroko. A potem policjant szarpnął go, odwrócił i wkrótce zniknęli w zimnym gmachu sądu.

Tłum dziennikarzy najpierw się przerzedził, a potem zupełnie rozpłynął. Na sądowym dziedzińcu została tylko ona

i pilnujący furgonetki funkcjonariusze. Po kilku minutach jeden z nich podszedł do niej.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Martyna chciała mu odpowiedzieć, ale nie była w stanie. Brakowało jej słów, żeby wyrazić wszystko to, co czuje. Nigdy nie dowie się, czy to właśnie Kajetan dzwonił do niej tamtego dnia. Czy naprawdę planował ją zabić, a uratowało ją jedno kłamstwo i zwykłe szczęście, czy też tamten telefon był tylko niewiarygodnym zbiegiem okoliczności. Ale jeśli to był rzeczywiście on, to przychodząc tutaj, pozwalając mu się zobaczyć, pokazała, że udało mu się ją zatruć strachem. I bała się teraz, że tak już zostanie. Że ta trucizna będzie się w niej sączyć przez całe życie. A on o tym będzie wiedzieć. I ta świadomość będzie osładzać mu każdy dzień spędzony w celi. Znienawidziła się za to.

– Proszę pani – odezwał się powtórnie policjant.

– Nie – przerwała mu w połowie i pokręciła głową – nie jest w porządku.

Zanim zdołał zadać kolejne pytanie, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę bramy. Szła szybko, czując na swoich plecach jego wzrok. Aż wreszcie skręciła za róg i zniknęła w masie ludzi, z których każdy mógł być kolejnym Kajetanem. ■

OLGA RUDNICKA

BYLE DO LATA...

Fot. Ania Pińkowska

OLGA RUDNICKA

Absolwentka Pedagogiki Specjalnej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, autorka powieści kryminalnych: „Martwe Jezioro”, „Czy ten rudy kot to pies?”, „Zacisze 13” i „Zacisze 13 Powrót”.

Przez lata pracowała jako asystentka osób niepełnosprawnych w Polskim Komitecie Pomocy Społecznej w Śremie. Kocha jazdę konną i rytmy latynoamerykańskie, zwłaszcza salsę.

Namiętnie czyta Joannę Chmielewską, Stephena Kinga, Joe Hilla, Tess Gerritsen i Jeffery’ego Deavera.

Tadeusz, nie przerywając przeżuwania, nie odrywał od niej wzroku. Wiola za to przeżuwała coraz wolniej i wolniej. Wzrok męża ją dobijał. Nie musiała go widzieć, by wiedzieć, co oznacza. Doskonale wiedziała, że rzecz rozbija się o jej kota. Nie o jajecznicę, którą usmażyła mężowi na masełku w nadziei, że dostanie zawału i zejdzie z tego świata tuż pod jej nosem, tuż przy stole z ostrym kantem, o który podczas upadku uderzy się silnie w skroń i umrze szybko, bezboleśnie i nieodwołalnie. Osunie się na podłogę, czemu będzie towarzyszył potworny huk, bo waga robi swoje, ale co to za różnica, skoro umrze jeszcze w locie?

– Mogę wiedzieć, co cię tak bawi?

Marzenia na jawie przerwał jadowity głos towarzysza doli i niedoli od lat dwunastu, ojca dwójki dzieci, które uwielbiała, choć za nic nie rozumiała, jakim cudem ten złośliwy, wredny i małostkowy człowiek był w stanie spłodzić takie cuda natury.

– Zadałem ci pytanie – warczał, coraz bardziej zirytowany jej milczeniem i tępym spojrzeniem, które w nim utkwiła. I pomyśleć, że kiedy się z nią żenił, był zupełnie trzeźwy! Gdzie on miał oczy? I do tego jeszcze ten cholerny kot! Jak długo może żyć jeden kot?!

– Nie jestem głucha – burknęła, rzucając widelcem o talerz.

– To czego się nie odzywasz?!

– Z bandytami nie gadam! – syknęła, zerkając w stronę schodów widocznych z kuchni, czy przypadkiem nie skrada się tam jedno z latorośli, by być świadkiem kolejnej kłótni rodziców.

Tadeusza aż zatchnęło. On bandyta? On?!

– Ja?! – Uniósł się gniewem. – Ty o mnie tak?! W taki sposób?! Ja jestem urzędnik państwowy! Szanowany! A twój ojciec i te jego szemrane interesy? Co? Nic na to nie powiesz?!

– Nie przeszkadzał ci jego warsztat, gdy brałeś od niego kasę na budowę domu.

– Dał ją tobie, a nie mnie!

– Bo wiedział, że ty się niczego nie dorobisz! Marny referent bez szans na awans – dopiekła mu, wiedząc, że to szczególnie go zaboli. Szefostwo ominęło go już przy dwóch awansach.

– Awansowali dwie siksy, bo kręcą tyłkiem i świecą dekoltem na lewo i prawo!

– Jasne, a to, że zrobiły studia podyplomowe, nie miało żadnego znaczenia – zadrwiła.

– Ale z ciebie zołza! Nie mam pojęcia, kiedy się zamieniłaś w taką megierę, ale jesteś gorsza niż twoja matka. – Zacisnął gniewnie zęby.

– Czy ja wiem? – Spojrzała na niego wrogo. – Może wtedy, kiedy próbowałeś utopić Mańka w wannie!

– Ten cholerny kot nasikał mi do butów! Znowu!

– Maniek zna się na ludziach. A ty jesteś zły człowiek.

– Nasikał mi do butów! I do aktówki! Powinienem go oblać benzyną i podpalić!

– Co z ciebie za przykład dla dzieci? Tego chcesz je uczyć? Mordowania zwierząt?! Rozwiązywania problemów poprzez przemoc?!

– Nie wykręcaj kota ogonem! Maniek to nie żadne zwierzę, tylko potwór! Kocia anomalia! Demon z piekła rodem!

– Cudownie, mój mąż jest nie tylko skończoną świnią, ale i idiotą. Do końca życia nie awansujesz.

– Tak jakby twoja praca miała perspektywy – odciął się.

– Nie musi mieć. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, lubię swoją pracę i moich klientów. – Wiola prowadziła salon fryzjerski dla psów i za nic w świecie nie zmieniłaby pracy. Może nigdy nie będzie bogata, ale finansowo radziła sobie nieźle. W zupełności wystarczałoby dla niej i dla dzieci, gdyby Tadeusza coś przejechało w drodze do pracy, na przykład walec. Dzięki pomocy rodziców nie mieli żadnego kredytu hipotecznego, więc bez Tadeusza jej świat byłby dużo lepszym miejscem. Bez Tadeusza…

Nie będzie miała domu i salonu fryzjerskiego dla psów, bo ta łajza nie odpuści ani grosza i zażąda spłaty za dom.

– Szkoda, że nie mogę się z tobą rozwieść – powiedziała z żalem.

– Oczywiście, że możesz – uśmiechnął się zjadliwie.

– Gdyby nie dom, już dawno poszłabym do adwokata.

– Możesz być pewna, że zanim dostaniesz rozwód, będziesz stara, siwa i zjedzona przez korniki.

– Tego akurat jestem pewna…

Wiola nie miała co do tego wątpliwości. Mściwość Tadeusza była doskonale znana na osiedlu. Gdy sąsiad przez przypadek przytarł mu auto, Tadeusz zrobił mu taką awanturę, jakby ten celowo staranował mu samochód czołgiem. A gdy biedak w końcu nie wytrzymał i powiedział jej mężowi kilka słów, ten idiota, za którego wyszła za mąż, oblał czymś rosnącą tuż przy płocie wieloletnią winorośl, która z dnia na dzień zżółkła i umarła. Sądząc po zapachu, był to mocz, ale Wiola wolała nie dociekać, skąd mąż go wziął. Na samą myśl, że przez tydzień mógł sikać do słoików, by dokonać pomsty na sąsiedzie, robiło jej się niedobrze.

– Idę do pracy. Jak wrócę, Mańka ma tu nie być.

– Prędzej ty znikniesz z tego domu niż kot – zagroziła i ku swemu zdumieniu czuła, że mówi zupełnie poważne. Rzecz

jasna, nie pozbędzie się Mańka, który kochał jej dzieci i nigdy żadnego nie drapnął – nawet wtedy, gdy ciągnęły go za ogon, a najmłodsze kilka lat temu próbowało wydłubać mu oko. Rzecz w tym, że dotychczasowe rozważania na temat, jak fajnie by się żyło bez Tadeusza, zamieniły się w głębokie przeświadczenie, że to może być całkiem realne. Tylko co powie dzieciom?

– Jasna cholera!!! – z przedpokoju dobiegł ją wściekły ryk. A potem jeszcze kilka niecenzuralnych słów, których już nie dosłyszała, bo wyszła do ogrodu. Pewnie Maniek znów załatwił mu buty, pomyślała ze złośliwą satysfakcją. Od czasu, gdy mąż w złości pchnął ją na szafkę, Maniek – na koci sposób – regularnie zatruwał życie Tadeuszowi.

Rozejrzała się po ogrodzie. Mąż nigdy nie skosił nawet trawy, a podczas ostatniego grilla spalił kilka krzaków jej ulubionych róż. Jeszcze nie posadziła nowych, ale cóż… Przyjdzie na to czas.

– Byle do lata – szepnęła. – Byle do lata. To tylko dwa tygodnie.

*

Wiola oglądała niebieską beczkę w dziale ogrodniczym. Obeszła ją kilkakrotnie dookoła, zajrzała do środka, westchnęła ciężko ze zniechęceniem. Tadeusz się nie zmieści.

– Na cholerę ci ta beczka? – Za plecami wyrósł mąż i z politowaniem spoglądał na żonę.

– Do kiszenia kapusty – odpowiedziała bez namysłu.

– Zgłupiałaś do reszty? – skrzywił się pogardliwie. – To stulitrowa beczka. Wolę głodować niż żreć do końca życia kiszoną kapustę!

– To akurat by ci się przydało!

– Kiszona kapusta?

– Głodówka! – syknęła, ściszając głos. – Masz dobre trzydzieści kilo nadwagi, a nie masz nawet czterdziestki na karku!

– Modelka się odezwała – zakpił.

– Może i mam parę kilo za dużo, ale na plaży nikt mnie nie pomyli z wielorybem – odcięła się.

– Chcesz, to bierz tę cholerną beczkę! – syknął ze złością, widząc, że kilka osób zaczyna przyglądać się ich kłótni. Wykrzywił twarz w parodii uśmiechu. – Za mała – odpowiedziała, odwracając się i odchodząc.

– Za mała? Stulitrowa beczka na kapustę jest za mała? Ocipiałaś?! – Teraz już miał gdzieś, czy ktoś słyszy czy nie słyszy. Jego żona to wariatka.

– Za mała – powiedziała stanowczo i skierowała się do działu ogrodniczego. No nic, przynajmniej kupi róże, a potem przejdzie się po budowlance. Może coś ją natchnie. Oczywiście byłoby łatwiej, gdyby Tadeusz schudł, ale wakacje są już za dwa tygodnie. Dzieci wyjeżdżają na letni obóz, będzie miała wolną rękę. Jedynym świadkiem będzie Maniek, ale on przecież nie wygada.

*

– Dwadzieścia krzaków? – zdumiał się kilka minut później. – Chcesz założyć plantację?!

– Część jest dla mamy – skłamała. Miejsce już wybrała, zrobi piękny klomb.

– Chyba, że tak. – Wzruszył ramionami. – Odda ci pieniądze? – zapytał podejrzliwie.

– Oczywiście, że tak. Właściwie już mi dała. – Spojrzała na niego ze złością. Też ma tupet. Rodzice tyle im pomogli, a ten żałuje jej matce kilku krzaków róż.

– Przecież nic nie mówię... – burknął. – Chcesz, to daj jej te róże. Myślałem, że wszystkie chcesz posadzić w ogrodzie. Miejsca na grill by nie było.

Grilla w moim ogrodzie to już więcej nie będzie, pomyślała z ponurą satysfakcją. Będą tylko róże i miejsce na huśtawki dla dzieci.

– Żwir? Na co ci? – skrytykował kolejny zakup.

– Jak wysypię dookoła krzaków żwir, nie będzie tego trawska, na które tak narzekasz – powiedziała. – Mniej do koszenia.

– Hm… Ile to będzie kosztować?

– Mama dała mi więcej, żeby wystarczyło na dwa klomby – skłamała.

– Niech będzie, ale nie myśl sobie, że będę to ustrojstwo dźwigał. – Tadeusz koniecznie musiał mieć ostatnie słowo.

– Nie będziesz nic dźwigał, bo panowie wszystko nam przywiozą. Tak jak te tuje, które zamówiłeś dziesięć lat temu i posadziłeś dookoła domu. Żyjemy w lesie.

– Nie potrzebuję, żeby sąsiedzi mnie szpiegowali – warknął. Ta znowu się czepia! Tuje wyrosły wysoko i gęsto. We własnym domu ma prawo dbać o swoją prywatność.

– Jasne. – Na jej ustach pojawił się szczery uśmiech. Dzięki tujom sąsiedzi nie będą mieli zielonego pojęcia, co się dzieje w jej ogrodzie. Zwłaszcza nocą.

– Potrzebuję jeszcze folię malarską i taśmę klejącą – powiedziała, kierując się do działu budowlanego.

– Do ogrodu? – zdumiał się.

– Rozłożę na trawie, żeby żwirek nie rozniósł się po całym ogrodzie. Wiem, że lubisz chodzić boso po trawniku. Chyba nie chciałbyś nadepnąć na taki ostry kamyk?

– Weź dwie – poradził jej. – Są słabe. Lepiej będzie, jak położysz jedną na drugą.

– Świetny pomysł – rozpromieniła się.

*

– Córcia, u ciebie wszystko dobrze? – Teresa z troską przyglądała się córce, która ostatnio dość mocno schudła. Do tego wyglądała na wyczerpaną. Podkrążone oczy, szara cera.

– Mało ostatnio sypiam – wyznała z szerokim ziewnięciem Wiola.

– Nie wyglądasz za dobrze. Jesteś pewna, że tylko o to chodzi? – Teresa nie miała dobrego zdania o zięciu, ale Wiola przez długie lata nie dała na niego powiedzieć złego słowa. Jakoś ostatnio to się zmieniło, ale wolała nie ryzykować i nie denerwować córki ostrymi słowami.

– Tak – ziewnęła powtórnie. – Tadeusz strasznie chrapie, ale wyprowadziłam się do pokoju gościnnego. Muszę się tylko przyzwyczaić. – Nie skłamała. Faktycznie spała w pokoju gościnnym. Mama nie musiała wiedzieć, że śpi tam od czasu, gdy przyłapała męża na próbie utopienia kota.

Za nic w świecie nie będzie dzielić łóżka z psychopatą i mordercą. To, że ostatecznie nie zabił Mańka, nie usprawiedliwiało go. Zrezygnował tylko dlatego, że w drzwiach łazienki stanęła ona wraz z dziećmi. Zaczerwienił się wówczas straszliwie, ale do dzisiejszego dnia nie okazał skruchy. Żałował jedynie, że został przyłapany.

– Może masz coś na sen, mamo? – Wiola poczuła przypływ energii. Środki usypiające mogłyby ułatwić jej zadanie. Tadeusz jest duży i silny. W ten sposób wyrówna szanse. Sam element zaskoczenia mógłby nie wystarczyć.

– A wiesz, że mam. I to przy sobie. Anka mnie o nie prosiła. Miałam jej zawieźć po wizycie u ciebie, ale tobie bardziej się przydadzą. Trzymaj. – Podała jej fiolkę, którą wyjęła z torebki. – Lekarz zapisał mi to kilka miesięcy temu, ale wiesz jak ja… Raz wzięłam, raz nie wzięłam, a potem zaczęłam chodzić z kijkami

i trochę ruchu dobrze mi zrobiło. Od razu lepiej mi się śpi. Może i tobie trochę aktywności by pomogło? – zasugerowała.

– Robię ostatnio trochę ćwiczeń siłowych. Nie wiem, czy się nie przemęczyłam – wyznała Wiola. Ćwiczenia polegały na wykopkach, które prowadziła w ogrodzie. Wbiła kilka palików, doczepiła do nich taśmę klejącą, żeby dzieci przypadkiem nie wpadły do wykopanego przez nią dołu. Dół kopała już od dwóch dni. Właściwie nocy. Wraz z ziemią z wykopu przykryła go folią, którą przycisnęła workami ze żwirem. Jeszcze trzy dni, pomyślała. Jeszcze trzy dni i będą wakacje.

*

Była wściekła. Ten drań nawet nie pożegnał się z dziećmi. Nie miał pojęcia, że widzi je po raz ostatni, ale chłopcy mieli osiem i siedem lat, a to ich pierwszy obóz w życiu. Pierwszy wyjazd bez rodziców. Powinien się pożegnać, życzyć im dobrej zabawy, zapewnić, że wszystko będzie dobrze i że jak im się nie spodoba, tata po nich przyjedzie. Na szczęście żadne z dzieci nie zapytało o ojca.

– Jesteś wreszcie – przywitał ją mąż oschłym tonem, gdy weszła do kuchni. – Ile można czekać na obiad?

– Odwoziłam dzieci na obóz. Pytanie brzmi, gdzie ty byłeś?! – zaatakowała go wściekle.

– To dziś? – zakłopotał się.

– „To dziś?” – Stanęła przed nim z rękami opartymi na biodrach i wykrzywiła twarz w ironicznym grymasie, przedrzeźniając go. – To dziś?! – powtórzyła raz jeszcze, wytrzeszczając oczy zupełnie jak Tadeusz, gdy był czymś zdziwiony. – A dziś! – krzyknęła.

– Jezu! Co z tobą, kobieto? Zachowujesz się jak wariatka. Mam ich niańczyć czy co? To tylko kilka tygodni. – Usiadł przy

stole i nie kryjąc niechęci, zapytał: – Lepiej mi powiedz, na co ci ta hałda w ogrodzie!

– Grzebałeś tam? – zdenerwowała się. Jeśli Tadeusz zacznie coś podejrzewać, nie da rady. Jest zbyt silny, by pokonała go w otwartej walce. Co on u diabła robił w środku tygodnia w ogrodzie? Na ogół po powrocie z pracy siadał przed telewizorem z piwem w ręce i tył.

– Jeszcze czego! Maniek spieprzył mi do ogrodu, więc wyjrzałem za nim i tyle. Coś ty tam nakombinowała?

– Maniek? Chciałeś coś zrobić Mańkowi?!

– Zaraz tam zrobić... – Wzruszył ramionami, a twarz zalała mu się purpurą. Nie był dumny z próby utopienia kota, ale ten drań nalał mu tamtego popołudnia w szufladę ze skarpetami i nerwy go poniosły. – Pomyślałem, że jak nikogo nie ma, to wywiozę go do schroniska i niech komuś innemu szcza w buty. Chcę wiedzieć, co to za hałda!

– Maniek zostaje w domu – oświadczyła zdecydowanie. – A to coś w ogrodzie to nie żadna hałda, tylko…. – grobowiec? – oczko wodne! – dokończyła w nagłym olśnieniu.

– Oczko wodne? – zgłupiał.

– Oczko. Zaczęłam sama kopać, żeby wyszło taniej.

– Na cholerę ci oczko wodne?!

– Na lilie!

– Na co?!

– Moje lilie, moje oczko, tata zapłaci! Temat jest zakończony! – Wyszła z kuchni, w której nie było drzwi, chociaż najchętniej by nimi trzasnęła.

– Kretynka! – krzyknął jeszcze za nią, by mieć ostatnie słowo. Pojęcia nie miał, co teściowi strzeliło do głowy z tym oczkiem wodnym, ale przecież nie zadzwoni z pretensjami. Za dużo od niego dostali, żeby się wychylać. Nie był idiotą.

– Cholera jasna! – zaklął i poszedł za żoną.

– Pomogę ci! – zaoferował ze złością, gdy wszedł do murowanej szopy na narzędzia, gdzie właśnie rozkładała folię.

Wiola podskoczyła nerwowo. Jak zapyta o folię, to co mu powie?! Przecież nie prawdę, że nie chce, by jego krew wsiąkła w beton!

– Pomogę ci kopać. To nie zajęcie dla kobiety – powiedział tonem nie sugerującym bynajmniej chęci niesienia pomocy.

– Naprawdę? – Niemal poczuła wyrzuty sumienia. Niemal.

– Jak ma być to oczko, to niech przynajmniej nie będzie wstydu. Może jakieś ozdobne ryby twój ojciec nam sprezentuje. Są drogie.

– Jasne – mruknęła.

– Gdzie łopata?

– Jak chcesz ryby, to musi mieć ze dwa metry głębokości jak nic – powiedziała stanowczym tonem.

– Po kiego aż tyle? – żachnął się.

– Przepisy – skłamała.

Tadeusz spojrzał na nią z powątpiewaniem, ale nie chciało mu się wracać do domu, by to sprawdzić.

– Jesteś pewna? – zapytał tylko.

– Tak, bo sprawdzałam i uznałam, że sama nie dam rady takiego wykopać. Nie sądziłam, że będziesz chciał pomóc. Metr już jest – dodała jeszcze.

– No dobra, jak dwa metry, to dwa metry. – Podrapał się po łysiejącej głowie. Może teść sfinansuje nam jakąś egzotyczną rybę, pomyślał z nadzieją. Lubił ryby. Zawsze chciał mieć akwarium, a to będzie nawet lepsze.

– I postawimy płotek ochronny – powiedziała jeszcze na wypadek, gdyby mąż zaczął jednak kwestionować głębokość oczka.

– Na co ci płotek?! – zdenerwował się na powrót pomysłami żony.

– Żeby dzieci nam nie wpadły.

– Aha, dzieci… – mruknął zawstydzony. Tak się rozmarzył, że zupełnie zapomniał o dzieciach.

*

Tadeusz wszedł do kuchni, gdzie żona właśnie nakładała na talerze coś smakowicie pachnącego.

– Strogonow? – uśmiechnął się szeroko.

– Napracowałeś się – odparła krótko.

– Super. – Usiadł przy stole i sięgnął po widelec. Uwielbiał strogonowa.

– Powiedz mi, Tadeuszu, czy ty mnie jeszcze kochasz? – zapytała, siadając naprzeciwko niego.

– Jasna cholera! – zaklął z pełnymi ustami. – Czy ty musisz mi zepsuć każdą przyjemność?!

– Ok. – Wiola otworzyła lodówkę i sięgnęła po piwo. Szklanki już były naszykowane. Jedna była pusta. W drugiej znajdowały się rozpuszczone tabletki. Tadeusz lubił piwo z sokiem, więc nie wyczuje goryczy leków, które dostała od matki.

– Ale dzieci kochasz? – W końcu od dwunastu lat był jej mężem i ojcem jej dzieci. Chciała dać mu ostatnią szansę na zmianę jej zdania.

– Co to za pytanie? – zapytał podejrzliwie. – Myślisz, że jestem jakimś zboczeńcem?!

– Nasze dzieci, debilu. Pytam, czy kochasz nasze dzieci! – warknęła, wciąż odwrócona plecami. Młotek leżał w składziku tuż przy wejściu. Folia była równo rozłożona. Wszystko było przygotowane. Zaginięcie zgłosi za kilka dni, gdy w ogrodzie nie będzie śladu po wykopie, a wokół róż będzie żwir, który przykryje świeżą ziemię.

– A… Nasze… A coś z nimi nie tak? – przełknął głośno.

– Nie, no skąd. Tak tylko…

– Dajesz to piwo czy nie?!

– Wybacz kochanie, już nalewam. – Sięgnęła po szklankę, na dnie której znajdował się mętny płyn. ■

KATARZYNA
PUZYŃSKA

WSZĘDZIE KREW

Fot. Agata Adamczyk

KATARZYNA PUZYŃSKA
Z wykształcenia psycholożka. Przez kilka lat pracowała jako nauczycielka akademicka na wydziale psychologii. Teraz całkowicie skupiła się na realizowaniu swojej największej pasji, czyli pisaniu. W wolnych chwilach biega, spaceruje ze swoimi psami, zajmuje się kotem i jeździ konno. Uwielbia Skandynawię i Hiszpanię.
Debiutowała doskonale przyjętą książką „Motylek", która rozpoczyna sagę kryminalną o policjantach z niewielkiej wsi Lipowo. Seria o Lipowie to nie tylko trzymające w napięciu klasyczne kryminały psychologiczne, ale także powieści z rozbudowanym wątkiem społecznym i obyczajowym, które porównywane są do książek Agathy Christie i szwedzkiej królowej gatunku, Camilli Läckberg. Prawa do publikacji książek Puzyńskiej sprzedano do ponad dwudziestu krajów.

Noc. Ciemno. Delikatny wiatr, ale poza tym zupełna cisza. No, oprócz kroków. Dziewczyna i chłopak podchodzą do domu. Chłopak otwiera drzwi swoim kluczem. Powoli. Stara się robić jak najmniej hałasu. To by wszystko zepsuło. Stukanie pazurów na podłodze. Dobrze, że Topik jest taki zaspany. W dzień szczekałby na przywitanie. Chłopak głaszcze psa uspokajająco. Śpij, śpij. Topik posłusznie wali się z powrotem na swoje posłanie. Idą więc dalej. Ostrożnie. Dobrze, że podłoga jest z płytek. W mieszkaniu na osiedlu był parkiet i na pewno by trzeszczał. Wchodzą cichutko do sypialni rodziców. W rękach trzymają noże. Chłopak podchodzi od strony matki, dziewczyna od strony ojca. To bez sensu. Powinno być na odwrót, ale nie ma już czasu na zamiany. Chłopak kiwa powoli głową. Dziewczyna odpowiada tym samym. Trzy, dwa, jeden.

*

– Stępień!

Naczelny wkroczył do jej boksu, kręcąc głową z irytacją. Na jego nalanej twarzy malowało się zniecierpliwienie. Daria spuściła wzrok. Doskonale wiedziała, co się szykuje. Pracowała tu niezbyt długo, ale to nie był pierwszy raz.

– Tak? – zapytała mimo to. Zdawało jej się, że dźwięki wokoło są zwielokrotnione. Zwłaszcza to irytujące miarowe stukanie klawiatury z boksu naprzeciwko. Jak się nazywała ta dziewczyna? Karina? Karolina? Jakoś tak.

– Co to niby ma być?

Ostrowski rzucił na jej biurko plik zadrukowanych kartek. Widziała u góry tytuł, nad którym tak się biedziła wczorajszej nocy. Bardzo chciała, żeby to było coś chwytliwego, a jednocześnie na poziomie. Wertowała portale z cytatami, żeby znaleźć jakieś mądre słowa. Cudze, bo własne jakoś w tym wypadku nie układały się w całość. Może dlatego, że za bardzo związała się emocjonalnie z tą fundacją? Naprawdę chciała pomóc tym ludziom i zwrócić uwagę na ich sytuację. Kto by pomyślał, że jedna z kobiet nie wstawała z łóżka przez trzy lata! Trzy lata! Bo lekarzowi nie chciało się do niej zajrzeć. A jedyną osobą, która zdawała się przejmować tym wszystkim, była Daria.

– Mój tekst – odpowiedziała. Widziała jednak po twarzy Ostrowskiego, że go nie przekona. Czekała na „kogo obchodzą jakieś staruchy" czy inne „to się nie sprzeda".

– Świetny nagłówek – powiedział zamiast tego naczelny.

Daria poczuła, że serce bije jej szybciej. Z radości. Wreszcie się uda! Musi. Zrobi kawał dobrego dziennikarstwa i przy okazji komuś pomoże. Nareszcie jej coś wyszło jak trzeba.

– Czyli to pójdzie? – zapytała. Starała się, żeby nadzieja w jej głosie nie była za bardzo słyszalna.

– Oczywiście, że nie.

– Nie? Dlaczego?

Nie powinna pytać o powody. Jak Ostrowski podjął jakąś decyzję, z reguły trwał przy niej bez końca. Nie mogła się jednak powstrzymać.

– Temat dziadków dam Kacprowi.

Daria zerknęła wściekle w stronę boksu po lewej stronie. Nienawidziła tego wymuskanego hipstera. Facet wyczuł chyba jej spojrzenie, bo uśmiechnął się pod nosem wyraźnie zadowolony. Pewnie nawet nie z samego tematu, ale z faktu, że zagrał jej na nerwach.

– Co ze mną?

– Dla ciebie mam co innego.

– Co?

– Masakra w Mrocznisku.

Daria stłumiła przekleństwo. Większość dziennikarzy pewnie rzuciłaby się na ten temat. Pieprzony hipster też. Ona przeciwnie. Nienawidziła tego wyścigu o najbardziej krwawy materiał. Zdecydowanie bardziej przejmowała się losem ludzi, którym należała się opieka lekarska, a o których wszyscy zapomnieli. Niech rozlewem krwi zajmuje się kto inny.

– Nastolatek i jego dziewczyna zabijają rodziców chłopaka. Robią to, kiedy rodzice śpią. Kilkadziesiąt ciosów nożem. Chodzi o to, że...

– Wiem. Pamiętam tę sprawę – przerwała naczelnemu Daria. – Nie chcę tego.

–To mocna rzecz.

– Daj mi z powrotem mój temat. Niech Kacper weźmie Mrocznisko.

– Chętnie bym mu dał, ale to nie takie proste. Adela M. chce gadać, ale tylko z kobietą.

– Co?

– Załatwiłem wywiad z tą morderczynią. Pogadasz z nią w kiciu. Nie chce rozmawiać z facetami. W grę wchodzi tylko dziennikarka. Ty.

– Prosiła konkretnie o mnie? – rzuciła Daria wściekle.

– Stępień, nie przeginaj. Nikogo nie obchodzą te twoje walki z wiatrakami. Zrozum to wreszcie. My pierwsi relacjonowaliśmy Mrocznisko po zabójstwach, potem podczas rozpraw, i teraz pierwsi damy wywiad z morderczynią. Zbrodnia się sprzedaje, i tyle. Rozumiemy się?

*

Daria przyglądała się Adeli wściekle. Nienawidziła faktu, że spod jej pióra ma wyjść chociaż fragment artykułu na temat tej żałosnej dziewczyny. Dlaczego dawać potworowi większy rozgłos, niż na to zasłużył? Adela powinna siedzieć za kratami. Zapomniana.

– Bardzo chciałabym jeszcze wyjść na wolność – powiedziała tymczasem morderczyni. – Może założyć rodzinę. Coś takiego.

Potwór miał zwyczajną twarz. Zero cech szczególnych. Mały nos, drobne usta, oczy nieco za głęboko osadzone. Zwykła do bólu.

– Nie sądzisz, że na to nie zasłużyłaś? – wyrwało się Darii. Powinna chyba zachować chłodny profesjonalizm, ale nie wzięła swoich tabletek i irytacja zwyciężyła. Traciła tu czas, który powinna poświęcić swojemu tematowi. – Ktoś, kto zabił niewinnych ludzi we śnie, nie powinien mieć rodziny, wiesz? Ktoś, kto zabił kilkudziesięcioma ciosami, nie zasłużył na to. Rozumiesz? Nie-za-słu-żył!

Adela przyglądała się dziennikarce przez chwilę. W jej oczach nie było już buty, którą Daria widziała na materiałach z procesu, zgromadzonych w archiwum redakcji.

– Tylko że ja jestem niewinna.

Powiedziała to tak cicho, że Daria miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Niewinna? A to bardzo ciekawe. Założę się, że całe to więzienie pełne jest niewinnych.

– Udowodnię ci to, jeżeli mnie wysłuchasz.

Teraz już głośniej. Może nie pewnie, ale z większą siłą.

– Nie mam najmniejszej ochoty. Są lepsze tematy niż ty.

– Jesteś pewna?

*

Daria zaparkowała samochód obok małego sklepiku. Tuż za tablicą witającą przyjezdnych w Mrocznisku. Sama się sobie dziwiła, że tu przyjechała. Wolałaby nie przyznawać się do tego nawet sama przed sobą, ale Adela ją zaintrygowała. Dziewucha twierdziła, że jest niewinna i wbrew wszystkiemu Daria nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś się tam kryło. Tym bardziej że podczas procesu Adela nie wypierała się swojego czynu ani razu. Dlaczego robiła to teraz? Czy wcześniej się czegoś bała? O co w tym chodziło?

Chyba że zbrzydło jej siedzenie w więzieniu, podpowiedział głos rozsądku. Adela odsiedziała niecałe dwa lata. Z dwudziestu pięciu. Jasne, że chce zrobić wszystko, żeby wyjść jak najszybciej. Ale co, jeśli jednak nie kłamała? Jeżeli rzeczywiście została skazana niesłusznie. Daria mogła się zająć takim tematem. Nienawidziła niesprawiedliwości. Dziennikarstwo miało sens tylko wtedy, kiedy się komuś pomagało.

Wysiadła z samochodu. Z miejsca otoczył ja zapach wsi. Był niepokojąco znajomy i zdecydowanie wolałaby już nigdy w życiu go nie czuć. Na samą myśl zadrżała. Zastanawiała się, czy nie łyknąć, co trzeba, żeby zapomnieć. Nie chciała. Potrzebowała pełnego skupienia i wyostrzonej świadomości świata wokoło.

Pragnienie. Weszła do sklepiku, żeby kupić butelkę wody. Mężczyzna za ladą był czerstwy i rumiany, ale w jego twarzy nie było ani odrobiny jowialności. Próbowała zadać mu kilka pytań. Uparcie milczał. Przypieczętowała więc tę znajomość trzaśnięciem drzwiami i ruszyła błotnistą drogą w kierunku domu, gdzie mieszkali przed śmiercią państwo Kowalczykowie. Omijała koleiny. Po ostatnich deszczach pełne były brunatnej wody. Błoto lepiło jej się do butów. Było szaro i ponuro.

Podeszła do budynku. Na płocie wisiała wielka tablica z napisem *„Na sprzedaż. Agencja nieruchomości Błażej*

Nowicki”. Kanarkowy kolor banneru wydawał się desperacką próbą nadania temu miejscu choć cienia wesołości. Jakkolwiek agent nieruchomości by się nie starał, Daria wątpiła, żeby w najbliższym czasie znalazł się kupiec. Może w przyszłym stuleciu.

Podeszła bliżej. Ktoś bardzo usilnie próbował doprowadzić to wszystko do ładu, ale na tynku z przodu nadal widać było ślady krwi. Z materiałów wynikało, że matka Adama w pewnym momencie wyrwała się swoim oprawcom i zdołała uciec na ganek. Tam syn i jego dziewczyna ją złapali i wykończyli. To nie było raczej miejsce, gdzie chciałoby się pić niedzielną herbatę.

– Jest pani zainteresowana kupnem?

Daria odwróciła się natychmiast. Stał przed nią mężczyzna w stroju do biegania. Odblaskowe adidasy aż raziły w oczy. Obok dyszał brązowy pies z rodzaju tych, które nigdy nie przestają się uśmiechać. Skoczył w stronę Darii radośnie.

– Topik, nie wolno – zawołał facet, szarpiąc smycz. – Przepraszam.

– Nic się nie stało. Robię materiał o tej rodzinie.

– Czyli kolejna dziennikarka. – W głosie mężczyzny pobrzmiewało znudzenie. Widocznie przedstawicieli prasy mieszkańcy wsi mieli tu w ostatnim czasie aż nadto. Daria nie zamierzała się jednak zrażać.

– Znał ich pan?

– Jak każdy tu.

– Jacy byli? – zapytała, chociaż doskonale wiedziała, jaka będzie odpowiedź. Normalni. Spokojni.

– Zwyczajni.

No właśnie.

– A ten ich syn? Ten Adam.

– Grzeczny chłopiec – odparł mężczyzna. Daria spojrzała na niego spod oka. Jaki facet koło trzydziestki tak mówi? Grzeczny

chłopiec? No błagam. – Mówił dzień dobry. Z Topikiem wychodził na spacery.

– To był ich pies?

Wskazała zdyszanego labradora. Skinienie głowy.

– Nikt biedaka nie chciał. Jakby był skażony. No więc ja go wziąłem. Dobrze się sprawuje.

– A tę dziewczynę pan znał? Tę Adelę.

– No też tak, jak wszyscy – mruknął facet. Niechęć w głosie. Chyba miał już dosyć wypytywania. – To ona była wszystkiemu winna.

– Skąd ta pewność? – Daria nie mogła uwierzyć, że zapytała z taką złością. To było, jakby język sam mówił. Bez udziału jej woli.

– No, ludzie tak mówili. Że miała na Adasia zły wpływ. Z resztą wiem, że tak. Nie tylko tej rodzinie nabruździła.

– Co pan ma na myśli?

– Przyczepiała się do ludzi. Nagabywała. Takie tam. Ciężko było ją znieść. Chce pani wejść do środka i obejrzeć?

– Otwarte jest?

– Jak pani chwilę poczeka, to skoczę do agencji przynieść klucze. Mam to sprzedać – wyjaśnił facet i wskazał dom Kowalczyków. Mówił takim tonem, że Darii zrobiło się go szkoda. – Trzeba by raczej zburzyć to i postawić od nowa.

*

Daria siedziała przy metalowym stole sali widzeń, przyglądając się Adeli. Dziewczyna wzięła ze sobą gitarę i brzdąkała cicho. To była jakaś znajoma melodia. Klasyka rocka. Coś, co śpiewało się tysiące razy. Mimo to dziennikarka nie mogła przypomnieć sobie tytułu. Irytowało, jak bolesna zadra.

– Zabiliście ich dla pieniędzy z polisy, tak?

Chciała, żeby Adela wreszcie przestała grać i skupiła się na mówieniu. Tamta niestety uparcie milczała, jakby nagle zmieniła zdanie co do wywiadu. Daria z trudem się powstrzymywała, żeby nie wytrząsnąć z niej odpowiedzi.

– To nie takie proste, Stępień – powiedziała w końcu Adela.

Nie nazywaj mnie tak, sarknęła w duchu Daria. I tak z ledwością wytrzymywała, jak naczelny tak do niej mówił. Na głos powiedziała jednak tylko:

– Oświeć mnie, w takim razie.

– Zakochałam się.

– To ma być twoje wyjaśnienie, Adela? To jest ta wielka tajemnica, którą chciałaś mi przekazać? Wszyscy wiedzą, że ty i Adam chodziliście ze sobą, a jego rodzice cię nie akceptowali. Na Boga, nie mogliście po prostu uciec? Ile on ma, osiemnaście, dziewiętnaście? Ty też.

– Dwadzieścia jeden – poprawiła ją Adela spokojnie. – Ale to się zaczęło dawniej. Jak byłam młodsza. Wydawało mi się, że to miłość mojego życia.

Daria zadrżała. Odsunęła myśl o własnej przeszłości. Też kiedyś kochała. Też nie skończyło się najlepiej. Milczała więc.

– Chyba nie ja jedna popełniłam taki błąd? – zapytała Adela, jakby wiedziała, o czym pomyślała właśnie dziennikarka.

– Za dwadzieścia pięć lat spotkacie się ze swoim kochasiem i zobaczymy, może nie wszystko stracone – warknęła Daria zirytowana tą poufałością. – Widziałam go przez chwilę wczoraj. Szczerze mówiąc, nie wiem, co w nim widzisz.

Adam był dość przystojnym młodym mężczyzną. Charakteru zdecydowanie mu jednak brakowało. Przynajmniej jeżeli wierzyć jego adwokatom, którzy podczas procesu uparcie twierdzili, że działał pod wpływem Adeli. Nie przyniosło to wiele, bo chłopak i tak dostał ćwiartkę. Sędzia uznał, że *działali*

wspólnie i w porozumieniu w bezpośrednim zamiarze pozbawiania życia pani i pana Kowalczyków.

– Gardzę nim – oznajmiła Adela. – Zmusił mnie do tego!

– Adam? On cię do tego zmusił? Podczas procesu oboje inaczej śpiewaliście.

Morderczyni nie odpowiedziała. Daria znowu miała wielką ochotę ją zmusić. Przycisnąć do ziemi z bezpośrednim zamiarem.

*

Lało. Daria zaklęła pod nosem, okręcając się szczelniej płaszczem. Właściwie nie miało to większego sensu, bo i tak przemakał w zastraszającym tempie. Przestępowała z nogi na nogę. To pomagało jakoś znieść niepokój, który budziła w niej ta wieś. Wspomnienia, które już dawno chciała schować gdzieś głęboko na dnie umysłu, a które teraz wypełzały zupełnie nieproszone.

– Przychodzi panu do głowy ktokolwiek inny, kto mógłby zabić państwa Kowalczyków? – zapytała.

– Oczywiście, że nie – powiedział sołtys. Bez najmniejszego zawahania. Mógł mieć niecałe pięćdziesiąt lat i wyglądał bardziej na biznesmena, niż osobę pracującą na co dzień na roli. – Wszyscy wiedzieli, że Kowalczykowie namawiali Adasia, żeby zerwał z tą jędzą. Nie było nikogo innego, kto chciałby ich zabić. To porządni ludzie. Porządna rodzina.

Porządna rodzina. Daria nie wierzyła, że coś takiego w ogóle istnieje. Mit. Kłamstwo. Legenda. Spojrzała na sołtysa. Jemu oczywiście nie mogła tego powiedzieć. Pewnie i tak by nie zrozumiał. Mimo nowoczesnego stroju wyglądał na człowieka o tradycyjnych poglądach.

– Bardzo proszę się zastanowić! Muszę zrobić naprawdę wyczerpujący materiał. Inaczej redaktor naczelny mnie zabije.

Daria przywołała na usta ujmujący uśmiech. Przynajmniej liczyła, że tak to wyszło. Miała nadzieję, że w ten sposób przemówi do sumienia mężczyzny. Tak naprawdę sama nie była pewna, po co tak naciska. Powinna to odwalić i się stąd zabrać. A jednak nie mogła zapomnieć słów Adeli. Jestem niewinna. Jestem niewinna. Jestem niewinna. To cały czas płynęło przez umysł Darii, jak jakiś pieprzony strumień świadomości. Najgorzej, że kurka nie można było zakręcić. Chociażby nie wiem, jak bardzo się nie starała.

– Nie wiem, no... Był Błażej Nowicki. Agent nieruchomości.

Daria natychmiast nadstawiła ucha.

– To ten, co wziął ich psa? Co z nim?

– Nie wiem. Ludzie mówili, że pożyczał od Kowalczyków pieniądze. Nie miał jak oddać. No i jest jeszcze sklepikarz. To brat świętej pamięci pana Kowalczyka. Patryk się nazywa. Adaś został uznany za niegodnego dziedziczenia. Tak to chyba w sądzie powiedzieli. Po prawdzie, to dobrze mówili. Jeszcze by tego brakowało, żeby dostał chociaż grosz po tym, jak własnego ojca i matkę zaszlachtował.

– Czyli to ten Patryk ze sklepu teraz dziedziczy? – podchwyciła Daria. Czuła, jak jej dłonie zaciskają się na notesie. Spocone. Przed oczami miała niechętną rumianą twarz sklepikarza.

– Tak.

– Czyli ten agent nieruchomości od psa i sklepikarz. Nikt inny?

Sołtys zmarszczył czoło, jakby się zastanawiał. Wyszło teatralnie. Nie było najmniejszej wątpliwości, że chciałby już zakończyć tę rozmowę.

– Nie.

– A może jest ktoś, z kim jeszcze mogłabym porozmawiać?

Daria chodziła od domu do domu, ale wszędzie odprawiano ją z kwitkiem. Ludzie woleli milczeć, niż zamienić chociaż jedno słowo z przedstawicielką prasy. Jak dotąd, udało jej się pomówić tylko z facetem od psa i teraz z sołtysem.

– Nie wiem... Ludzie mają prawo odmówić.

– Oczywiście. Oczywiście, ale bez tego mój materiał nie powstanie.

– To już pani sprawa – zjeżył się mężczyzna.

– A gdzie jest matka Adeli? Pukałam do ich domu, ale nikt nie otworzył. – Szczerze mówiąc, obejście wyglądało na zupełnie opuszczone. Na bramce wisiał wielki łańcuch z kłódką, który jeszcze potęgował to wrażenie. – Wyjechała?

Sołtys przyglądał się jej przez chwilę. Zbyt długą. Nie potrzeba było dziennikarskiego nosa, żeby wyczuć, że coś musiało się tam kryć. Daria nie zamierzała popuścić.

– No więc?

– Ona... Uciekła, kiedy to wszystko się stało. Nie mogła znieść, że jej córka wzięła udział w morderstwie. Jaka matka by to wytrzymała?

– Gdzie ona jest?

– A skąd mam niby wiedzieć? – odparł defensywnie sołtys. Jego oczy mówiły jednak coś zupełnie odwrotnego.

*

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Już mówiłam, że tego nie zrobiłam – odparła Adela. Głos znowu miała spokojny. Jakby stwierdzała fakt.

Tym razem siedziały naprzeciwko siebie w innej sali widzeń. Chyba tej dla najgorszych z najgorszych. Żadnej gitary, żadnego brzdąkania. Może Adela coś w międzyczasie przeskrobała.

Daria nie zamierzała wnikać. Nie chciała tracić czasu. Dłonie znowu jej się pociły. Wytarła je o spodnie i spojrzała na Adelę. Dzieliło je pleksiglasowe okienko. Jak w amerykańskim filmie, a nie na polskiej prowincji.

– Nie wierzę ci.

– Czyżby?

Daria szukała w głosie Adeli kpiny. Bezskutecznie.

– Wróćmy do tego, co powiedziałaś mi ostatnio – zaproponowała więc. – Do tego, że się zakochałaś w nieodpowiedniej osobie.

– Tak. Miał na mnie zły wpływ.

– Wszyscy mówili, że to ty miałaś zły wpływ na Adama.

– Kto mówi, że chodzi mi o Adama?

*

Daria przypatrywała się kobiecie leżącej na szpitalnym łóżku. Matka Adeli została pobita przez nieznanych sprawców. Tak brzmiała oficjalna wersja. Teraz zdawała się skurczona, zapadnięta w sobie, maleńka. Aż trudno było uwierzyć, że nikt jeszcze nie zwietrzył tego tematu, że Daria była tu jedyna.

– Kto panią pobił?

Matka Adeli spojrzała na Darię trwożnie.

– Nikt – powiedziała szybko.

– Przecież widzę. Lekarze też tak mówią. To było pobicie. Dlaczego nie chce pani powiedzieć, kto to zrobił? Boi się pani? Niech mi pani powie, pomogę. Obiecuję. Niech pani tylko powie, kto panią tak urządził?

Daria widziała, jak kobieta jeszcze bardziej się kurczy na te pytania, ale nie mogła się powstrzymać. Dorzucała kolejne i kolejne. Słowa same płynęły. Chciała się dowiedzieć, co tu się

stało. Musiała! Nie zamierzała zostawić tego tematu, póki się nie dowie. Póki nie zrozumie.

– To ludzie ze wsi? Niech się pani nie martwi. I tak sama do tego dojdę. Straszyli panią, że coś jeszcze zrobią, jeżeli pani komuś powie? Tak było? No niech pani coś zdradzi. Pomogę. Media mają wielką siłę. Na pewno pani o tym wie.

Daria ledwo mogła złapać oddech, tak szybko mówiła. Zmowa milczenia i lincz w Mrocznisku były niedopuszczalne. Bądź co bądź, ta kobieta nic nie zawiniła.

Matka Adeli wyraźnie ze sobą walczyła.

– Powiedział, że Adela to szatańskie nasienie i że ja spółkowałam z szatanem – wyszeptała w końcu. – Suka szatana. Tak mnie nazwał. Kiedy bił.

Suka szatana? Daria pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Kto? Bez odpowiedzi. – No kto? Niech pani powie! Dopilnuję, żeby winny poniósł konsekwencje.

– I tak nie ma świadków – wyszeptała znowu matka Adeli.

– Już ja ich znajdę.

– Nie znajdzie pani. Nie w naszej wsi. Tam wszyscy są przeciwko mnie i mojej córce.

– Kto panią pobił? – nie ustępowała Daria. Nie zamierzała popuścić, dopóki ta kobieta jej nie powie.

– Patryk. Patryk Kowalczyk. Ten ze sklepu.

*

Adela poruszyła się niespokojnie. Włożyła kosmyk kasztanowych włosów za ucho. Daria widziała, że dłoń jej drży.

– Co miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś mi, że nie chodziło o Adama? W kim się w takim razie zakochałaś?

– W nieodpowiednim mężczyźnie. Już mówiłam.

Daria zaciskała notes w dłoniach. Ręce miała coraz bardziej spocone. Znowu. Denerwowała się. Chciała znać wszystkie odpowiedzi. Już. Teraz. Natychmiast.

– To znaczy? W kim konkretnie?

– To on mi powiedział, żebym spotykała się z Adamem. Chodziło mu o pieniądze.

– O pieniądze? Adam został uznany za niegodnego dziedziczenia.

Adela pokiwała głową.

– Tak. Bawiło go, że dostaję podarunki od Adama. Kowalczykowie byli najbogatsi w całej wsi. Nie wszystkim się to podobało. Przynosiłam mu tę forsę. Największy miał ubaw z tego, że tamci nawet nie wiedzieli, że ich pieniądze trafiają ostatecznie do niego.

– Jaki to ma związek z morderstwem? Ten mężczyzna chciał pieniądze z polisy na życie?

– Tak.

– Niby jak miał je dostać, jeżeli to Adamowi przysługiwały w chwili śmierci rodziców?

– Teraz na pewno ich nie dostanie – Adela zaśmiała się cicho.

Daria pokiwała głową. Pieniądze miał dostać jego stryj, Patryk Kowalczyk. Sklepikarz. Mężczyzna, który pobił matkę Adeli za cichym pozwoleniem wszystkich mieszkańców Mroczniska.

– Teraz pieniądze z polisy dostanie sklepikarz. To o nim mówisz?

Adela przyglądała się w skupieniu swoim paznokciom.

– To on zrobił? Odpowiedz!

*

Daria była wściekła. Adela znowu nic jej nie zdradziła. Dziennikarka miała dość tych uników i zwodzenia. Mimo tego była coraz bardziej przekonana, że za całą sprawą być może stoi ktoś inny, niż wszyscy myśleli. Wiedziała, że policja ma swoich techników kryminalistyki, odciski palców, ślady traseologiczne i biologiczne. Ale przecież błędy się zdarzały.

– I jak idzie?

Nie słyszała, jak naczelny podszedł do jej boksu. Nawet nie podniosła na niego wzroku, wpatrzona w ekran komputera. Miała dokumentację do przejrzenia. Udało jej się dotrzeć do raportów z sekcji zwłok. *Kilkadziesiąt ran kłutych i ciętych całego ciała z następowym uszkodzeniem płuc oraz naczyń żylnych i tętniczych, a także wątroby i kreski jelita cienkiego*. Skutkiem tej rzezi były krwotoki wewnętrzne i zewnętrzne.

– Co to ma do cholery znaczyć *anemizacja narządów wewnętrznych?* – zaśmiał się Ostrowski, nie pozwalając jej dokończyć czytania.

Nie odpowiedziała. Nie miała teraz dla niego czasu. Musiała działać.

– Stępień? Słyszysz, co do ciebie mówię? Masz materiał, czy nie?

– Potrzebuję jeszcze paru dni, żeby dokładniej się temu przyjrzeć – odparowała. Zabrzmiało to ostrzej, niż planowała.

Ostrowski znowu zaśmiał się głośno. Była w tym wyraźna nuta złośliwości.

– No proszę, kto by pomyślał! – zakpił. – Zapomniałaś już o tych swoich staruszkach?

– Sam mówiłeś, że Kacper się tym teraz zajmuje. Daj mi dokończyć temat Mroczniska.

– Materiał miałaś mieć na dziś. Co ja niby jutro puszczę?

– Nie obchodzi mnie to, do cholery. Zrozumiałeś?

Cały *open space* zamarł na te słowa. Daria wątpiła, żeby kiedykolwiek było w tym upiornym pomieszczeniu tak cicho. Słyszała niemal bicie swojego serca. Prawdopodobnie zaraz zostanie zwolniona. Nic jej to nie obchodziło. Była już praktycznie pewna, że to Patryk Kowalczyk ze sklepu. Potrzebowała tylko potwierdzenia. Niestety Adela ciągle milczała.

– Pojutrze dam ci tekst. Będziesz miał materiał na pierwszą stronę. Obiecuję.

– Pojutrze? Stępień, czy ty już kompletnie ochujałaś? Miałaś mieć materiał na dziś. Nie masz, to spadaj.

*

– Nie, to nie Patryk – powiedziała Adela. W końcu.

Daria oddychała ciężko. Bolała ją głowa. Znowu nie miała czasu na posiłek. Właściwie to nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio cokolwiek jadła. Ale to nieważne. Musiała się dowiedzieć. Musiała.

– To kto?

– Sołtys.

– Sołtys? Przecież twierdziłaś, że ten twój kochanek miał dostać pieniądze z polisy. Niby jak? Przecież sołtys nie był członkiem rodziny.

– Ja miałam mu dać. Po tym, jak dostanie je Adam. Wyciągnięcie kasy od niego to byłby dla mnie pikuś.

– Nie wierzę ci.

– Twój wybór.

– I twierdzisz, że to sołtys zabił Kowalczyków? Nic na niego nie wskazywało. Żadne ślady. Wskazywało natomiast na ciebie i Adama – milczenie. – Kto to zrobił?

– Jakie to ma teraz znaczenie, skoro dostałam już wyrok?

– Dwadzieścia pięć lat siedzenia w więzieniu. Tyle dostałaś. Drugie tyle, ile dotychczas przeżyłaś. Zupełnie stracone lata. Nie chcesz sprawiedliwości? Ja ci mogę ją dać. Sprawiedliwość! Nie chcesz tego?

– Nigdy jej nie otrzymam.

– Otrzymasz. Obiecuję ci. Powiedz tylko, kto to zrobił. Powiedz!

– Widzenia skończone – strażniczka zbliżyła się szybkim krokiem. – Dostaliśmy telefon z pani redakcji. Podobno pani już się nie zajmuje tą sprawą. Koniec tej rozmowy.

Herod-baba wyglądała na wściekłą, że Daria ją oszukała, kiedy tu wchodziła. A przecież dziennikarka nie kłamała. Nadal zajmowała się tą sprawą. Tylko że nie z ramienia redakcji. Co za różnica?

– Kto to zrobił? – wrzasnęła do Adeli.

– Cóż, w tej sytuacji chyba nigdy się pani nie dowie – stwierdziła dziewczyna z uśmiechem.

Daria rzuciła się w stronę Adeli, ale strażniczka ją odciągnęła. Podeszła druga i wyprowadziły dziennikarkę na odrapany więzienny korytarz.

– Proszę się uspokoić – poradziła jedna z bab. – Nie panią pierwszą opętała ta cała Adela. Z takimi jak ona trzeba uważać. Są najgorsze ze wszystkich. Żadna resocjalizacja nie pomoże. Nic.

– Ona jest niewinna!

– Czy pani sama siebie słyszy? Ta suka i jej chłopak zamordowali dwoje ludzi. We śnie. Czy jest coś obrzydliwszego? Dziewucha karmi się zainteresowaniem mediów i takich młodych naiwniaczek jak pani. Ile pani jest w zawodzie? Rok? Dwa?

– Półtora.

– To powinna się pani jeszcze wiele nauczyć.

*

Minęło wiele nieprzespanych nocy i spędzonych na poszukiwaniach dni. Coś koło południa Daria z trudem przyjechała pod dom Kowalczyków. Wyłączyła silnik i przetarła oczy. Łzawiły nieprzyjemnie. Szczerze mówiąc, ledwo mogła utrzymać je otwarte. Kolejną noc spędziła przed ekranem komputera i wertowała materiały. Wyłączyła laptopa dopiero rano. Miała się kłaść spać, kiedy odezwał się telefon. Z więzienia. Adela. Dobrze się sprawowała, więc pozwolono jej zadzwonić. Chyba coś takiego, bo Daria z trudem trzymała się na nogach, nie mówiąc już o rozumowaniu. Dopiero to, co powiedziała Adela, obudziło ją zupełnie. Od razu zadzwoniła do redakcji.

Ktoś zapukał w szybę samochodu. Daria odwróciła się w tę stronę. Cholerny hipster Kacper. Czyli to on dostał temat po niej. Znowu. Za plecami kolegi stał Ostrowski. Ręce miał skrzyżowane na piersi, a na jego twarzy malowało się zniecierpliwienie. Cieszyła się, że udało jej się przekonać naczelnego do przyjazdu.

– Stępień, lepiej, żeby to było coś naprawdę istotnego... – zaczął mówić, kiedy tylko uchyliła okno. – O, cholera! Stępień! Jak ty wyglądasz!

– Chyba przydałoby ci się trochę snu, koleżanko – zadrwił Kacper i odwrócił się do szefa: – Tracimy tylko czas. Materiał mam już gotowy...

– Zamknij się i daj mi robić swoje – przerwała mu Daria. Nie zamierzała tego wszystkiego tak po prostu odpuścić.

– Niby co? Ciągle uważasz, że ta twoja Adela jest niewinna?

Nie zaszczyciła go odpowiedzią. Kacper wyglądał na rozeźlonego.

– Poszukałem sobie trochę informacji na twój temat, wiesz? – powiedział z wyraźną satysfakcją. – Zdaje się, że byłaś w podobnej sytuacji jak ta dziewczyna. Dostałaś pieniądze z polisy po zmarłym krewnym. I nie tylko to. Znalazłem coś jeszcze...

– I co z tego? – warknęła, przerywając mu. – Że to niby ja zabiłam tych ludzi?

Kacper i Ostrowski wymienili spojrzenia, zaniepokojeni chyba jej wybuchem.

– Droczę się z tobą, dziewczyno. Wyluzuj trochę.

Daria oddychała ciężko. Brzydziło ją, że ten typ miałby grzebać w jej przeszłości. Nie zamierzała jednak tracić na to czasu. Chciała doprowadzić sprawę do końca. Wymierzyć sprawiedliwość w imieniu Adeli i jej matki. Zaczęła gramolić się z samochodu. Przez ostatnie tygodnie prawie nie spała, więc każdy ruch był ponad siły. Pot spływał jej po czole. Z trudem sięgnęła po torebkę. Wydawała się ciężka, za ciężka, ale musiała ją wziąć. W środku miała przecież schowany nóż.

– Wiem, kto jest winny...

Dyszała. Ostrowski patrzył na nią z pewną troską.

– Stępień, dostałem od ciebie jakieś sto maili. W każdym inna teoria.

– Pięćdziesiąt dwa – poprawiła automatycznie.

Mężczyźni znowu wymienili spojrzenia.

– Nieważne. Cały czas zmieniasz zdanie. Raz to jest ten agent nieruchomości, który był winny pieniądze i dodatkowo zabrał tym ludziom psa – naczelny mówił teraz z wyraźną kpiną. – Potem kto jeszcze? Sołtys? Ten sklepikarz? Stępień, weź się w garść. Niepotrzebnie w ogóle wysłałem cię do tej Adeli. Ona się bawi twoim kosztem. Ma rozrywkę w więzieniu. Zostaw już ten temat. Wypocznij i potem może nawet dam ci z powrotem tych twoich emerytów.

Daria sięgnęła drążącą dłonią do torebki i wydobyła nóż. Skierowała ostrze w stronę Ostrowskiego.

– Co do cholery? – wykrztusił na ten widok Kacper. Przezornie wyciągnął też telefon komórkowy i zaczął dokumentować całą sytuację. Może nawet lepiej.

– Stępień, co ty wyprawiasz?!

– To ty – pokazała palcem naczelnego.

– Ja? Potrzebujesz pomocy, Stępień. Zwłaszcza jeżeli to, co jeszcze znalazł o tobie Kacper, jest prawdą.

Naczelny mówił pewnym tonem, ale Daria widziała w jego oczach niepokój. Czuła, że tym razem morderczyni jej nie zwodziła. Nie zamierzała dać się zagadać.

– Adela i Adam naprawdę to zrobili, ale ty im pomogłeś. Policja dotychczas nie ustaliła, jak stąd uciekli. Ja już wiem. Przyjechałeś tu po nich. W zamian za świeżego newsa! Adela kochała się w tobie, więc chciała ratować gazetę przed bankructwem. Dla ciebie. Po waszej pierwszej relacji z Mroczniska nakład wzrósł trzykrotnie.

– Stępień, to już przechodzi wszelkie pojęcie. W życiu nie słyszałem większej bzdury!

– Spotykaliście się w sekrecie! – walczyła dalej Daria. Zrobiła kilka kroków w stronę naczelnego. Nogi jej się plątały. Zamachnęła się nożem w jego stronę, ale chybiła. Upadła na ziemię.

– Zadzwoń po karetkę, Kacper.

Daria chciała protestować, ale usta zupełnie jej nie słuchały. To nic. Odpocznie trochę i wszystkim opowie. Ktoś na pewno jej uwierzy. Będzie głosem sprawiedliwości. Tak, jak zawsze chciała.

*

Nie była pewna, ile dni jest już na oddziale psychiatrycznym. W świetlicy wisiał kalendarz, ale nikt nie zmieniał dat. Każdy dzień był jednym i tym samym. Identycznym. Miała być tu chwilę. Została na dłużej. Urojenia. Schizofrenia paranoidalna. Dlaczego przestała pani brać leki? Byłam zajęta śledztwem. Tak wyszło. Dlaczego przestała pani brać leki? Nie chcę leków. Nie chcę leków. Nie chcę leków. Dlaczego przestała pani brać leki? Sam fakt, że cierpisz na paranoję, nie oznacza, że nie chcą cię dopaść. Joseph Heller? Nie chcę leków. Dlaczego przestała pani brać leki? Dlaczego przestała pani brać leki? Dlaczego przestała pani brać leki?

*

Dziewczyna i chłopak wychodzą z domu. Nie wszystko poszło tak, jak trzeba, ale już zrobione. Rodzice walczyli jak głupi. Wszędzie krew. Dobrze, że w plecaku są ubrania na zmianę. Przebierają się w krzakach. Potem szybko, furtką z tyłu, żeby nikt na ulicy ich nie zobaczył. Biegną przez zarośla na szosę. Samochód czeka na nich, jak to było umówione.

Opowiadanie inspirowane prawdziwymi wydarzeniami, jednak sytuacje i osoby w nim opisane są całkowicie fikcyjne. ■

MARTA GUZOWSKA

PLAN B

Fot. Wojciech Rudzki

MARTA GUZOWSKA

Marta Guzowska (ur. 1967) planuje przeżyć dziewięć żyć, jak kot. Na razie udało jej się zrealizować trzy: jest pisarką, archeolożką i mamą. Jako archeolożka od kilkunastu lat pracuje w Troi, prowadziła też badania na terenie Grecji i Izraela. Jako pisarka zadebiutowała w 2012 r. powieścią „Ofiara Polikseny", która zdobyła Nagrodę Wielkiego Kalibru dla najlepszej powieści kryminalnej roku. „Głowa Niobe", druga powieść z cyklu z cynicznym antropologiem Mariem Yblem, oraz „Chciwość", pierwsza z cyklu z archeolożką-złodziejką Simoną Brenner, zostały uhonorowane nominacjami do tej samej nagrody. Guzowska napisała jeszcze dwie powieści w cyklu z Mariem Yblem („Wszyscy ludzie przez cały czas" i „Czarne światło") oraz wiele opowiadań zebranych w tomach „Mordercze miasta", „Kryminalny Wrocław. Mroczne przechadzki po mieście" i „Cztery zbrodnie na cztery pory roku".

A jako mama powtarza słowa Shirley Jackson, amerykańskiej pisarki horrorów i mistrzyni Stephena Kinga: „Jak się ma dzieci, pisanie krwawych historii przychodzi naturalnie, bo człowiek cały czas ma ochotę kogoś zabić”.
Marta Guzowska jest też współzałożycielką grupy pisarskiej Zbrodnicze Siostrzyczki.

Zobaczyłem ją koło Aja Sofia. Tam zawsze jest tłum, chociaż ostatnio trochę mniejszy – turyści się boją. Szkoda, że terroryści, podobno walczący z kapitalizmem, nie poświęcą pięciu minut na rozważenie sytuacji mieszkańców, którzy tracą na braku gości. Na przykład kupcy, hotelarze i właściciele knajpek. Albo złodzieje.

Wypatrzyłem ją chyba tylko dlatego, że było mniej ludzi niż normalnie. Nie rzucała się w oczy. Owszem, ładna, ale trochę szara myszka: bure włosy związane w kucyk, opalona, ale bez przesady, na pewno nie przeleżała dwóch tygodni na słońcu w all inclusive. Stare spodnie bojówki, trochę spłowiały tiszert i plecak zamiast torebki. Tylko oczy miała niezwykłe, jaskrawobłękitne jak woda w basenie i to w naprawdę ekskluzywnym hotelu. Nigdy nie widziałem takich oczu. I dlatego od razu miałem pewność, że to ona.

Pod Aja Sofia łatwo jest kogoś obserwować, bo chociaż turystów mniej, zawsze jacyś się znajdą. Mogłem więc iść za nią i nie wzbudzać podejrzeń. Zresztą ja też dbam o to, żeby mało rzucać się w oczy: dżinsy, koszulka, normalna fryzura, zero zarostu. Większość ludzi patrzyła na mnie jak na ścianę ze szkła. Ona też kilka razy przebiegła po mnie spojrzeniem, ale nieuważnie, jak po innych.

Chociaż było już późne popołudnie, upał nie chciał zelżeć. Cieszyłem się, że moja koszulka jest czarna i nie widać na niej plam potu. Dziewczyna wyglądała, jakby skwar jej nie dotyczył. Szła powoli, nie szukała cienia, a jej tiszert nie miał najmniejszego zagniecenia, jakby dopiero go wyprasowała.

Interesowało ją badziewie, normalnie, jak wszystkie kobiety. Chociaż muszę przyznać, że badziewie, które oglądała, było trochę mniej badziewne. Nawet nie dotknęła makatek z napisanym zawijasami „Istanbul” albo „Türkiye” i rysunkiem jakiegoś zabytku w tle, porcelany z Kütahyi *made in China* ani wyszywanych brokatem i cekinami strojów do tańca brzucha. Raz wdała się w pogawędkę z handlarzem malowanych na talerzach widoczków z Bosforu (kto chciałby mieć widoczek z Bosforu na ścianie?!) i musiałem się schować za stosem gównianych dywanów, podróbek produkowanych też gdzieś w Azji. Na szczęście odmówiła wypicia herbaty, z którą kupcy zaraz lecą do każdego, kto zechce się choć na sekundę zatrzymać. A potem odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie tak szybko, że omal jej nie zgubiłem, chociaż jestem dobry w obserwowaniu ludzi. Znalazłem ją kilka straganów dalej. Oglądała szkatułki z mosiądzu albo czegoś takiego, nie znam się na metalach. Nic specjalnego, masowa produkcja dla turystów i to nawet nie turecka, tylko z Bangladeszu. Myślałem, że je odłoży i pójdzie dalej. Ale ona wybrała taką w kształcie prawosławnego krzyża. Przysunąłem się bliżej i usłyszałem, jak kupiec zaśpiewał czterdzieści lir. Czterdzieści lir! Za taką sumę na tyłach Wielkiego Bazaru mogłaby kupić szkatułkę ze srebra i jeszcze dostać porządną kawę, a nie tę ohydną herbatę. Ale dziewczyna nawet nie próbowała się targować. Zapłaciła, ile żądano, a sprzedawca zapakował jej szkatułkę w ozdobne pudełko i przewiązał wielką czerwoną kokardą. Dziewczyna podziękowała i włożyła szkatułkę do plecaka, a mój szacunek do niej trochę zmalał. Ale w końcu wracała do domu i pewnie chciała komuś przywieźć prezent. Jak prawie każdy w tym mieście.

Zadzwonił jej telefon, odebrała i przez chwilę rozmawiała, skanując tłum tymi swoimi niesamowitymi oczami, więc

poudawałem jeszcze przez chwilę, że interesują mnie podrabiane dywany. Rozłączyła się, schowała komórkę do kieszeni i znów powiedziała coś do sprzedawcy, a on zniknął na chwilę we wnętrzu straganu. Kiedy wyszedł, wręczył jej reklamówkę z jakimś niewielkim przedmiotem. Podziękowała i ją też wcisnęła do plecaka. Nie miałem szansy podejrzeć, co schowała, ale to w sumie nieważne. Dziewczynę miałem śledzić, a nie jej zakupy.

Przeszła na drugi koniec placyku, usiadła w malutkiej kawiarence pod platanem, gdzie – dzięki niech będą Allahowi – było trochę przewiewu, i zamówiła kawę w tygielku. To mi pasowało, bo kawiarenka miała tylko trzy stoliki, wszystkie zajęte, a przy dwóch pozostałych siedziały pary. Była jedyną osobą, do której mogłem się dosiąść. Uniosła lekko brwi, kiedy zapytałem o wolne miejsce, ale skinęła głową. Piła kawę tak gorącą, że pewnie parzyła ją w usta (bardzo ładne usta, tak przy okazji), i wodziła wzrokiem po tłumie. Zagadałem więc.

No co wam będę opowiadał, gadka-szmatka, wiadomo. Nie chciałem iść na chamski podryw, zacząłem ostrożnie. Jest turystką? (Nie). To kim? (Archeolożką, wraca z wykopalisk). Jedzie do domu? (Za dwa dni, chce jeszcze powłóczyć się po Stambule).

Czyli bingo. A raczej prawie bingo. Archeolożka z jaskrawobłękitnymi oczami mogła być tylko jedna. Ale musiałem się jeszcze upewnić. Przedstawiłem się i zapytałem o jej imię. Zawahała się przez ułamek sekundy, ale w końcu mi je podała. Simona. Tadam! Trafiony-zatopiony! Ale miałem szczęście! Myślałem, że znalezienie jej wśród milionów turystów w Stambule pochłonie więcej czasu i więcej kasy, którą dostałem na łapówki dla hotelarzy. A tak, kasę mogłem schować do kieszeni. To był jednak piękny dzień!

Musiałem działać ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć. Zacząłem więc opowiadać o sobie. Fotograf-amator. Próbuję się przebić, ale wiadomo jakie to trudne w dzisiejszych czasach, kiedy każdy pstryka fotki telefonem i wstawia je na Instagrama. Chwilowo bez stałej pracy, jeżdżę po Turcji, szukam inspiracji. Może na jesieni uda mi się zorganizować wystawę w jakiejś małej galerii tu, w Stambule, znajomy obiecał.

A ona słuchała tego z uśmiechem i mrużyła lekko swoje niesamowite oczy.

*

To był już początek września, a upał jak w piekarniku. Nie mogłam nawet założyć soczewek zmieniających barwę tęczówek. Bo moje oczy mają kolor spotykany tylko u jakiegoś niewielkiego promila ludzi na kuli ziemskiej i stanowią niezawodny znak rozpoznawczy. A nie zawsze miałam ochotę, żeby mnie rozpoznawano. Ale tamtego dnia machnęłam na to ręką. Miałam spędzić w Stambule jeszcze tylko dwie noce i było tyle do zrobienia, że brakowało czasu, żeby się nad sobą użalać.

Po pierwsze, musiałam znaleźć dobry sposób na przemycenie tej złotej zawieszki, a po drugie...

A prawda, powinnam była to od razu powiedzieć: jestem archeolożką i złodziejką (no to już wiecie, dlaczego nie zawsze chcę być rozpoznana). Oficjalnie jestem specjalistką od starożytnej biżuterii, i to światowej sławy, zapraszaną na wykopaliska jako ekspertka. Nieoficjalnie (bardzo nieoficjalnie) kradnę starożytne klejnoty, najczęściej prosto z wykopaliskowych magazynów. Przyjemne z pożytecznym: wiem ,co jest ile warte, wiem skąd to ukraść i wiem jak. Akurat teraz miałam w plecaku złotą zawieszkę z Artemizjonu w Efezie, który nazywa się dzisiaj Selçuk. Przepiękną zawieszkę

w kształcie ptaka z rozłożonymi skrzydłami, ozdobioną filigranem i granulowaniem, datowaną pomiędzy ósmym a szóstym wiekiem przed naszą erą. Powinnam dostać za nią sporo pieniędzy. Tylko najpierw muszę ją wywieźć ze Stambułu i w ogóle z Turcji.

Najprościej byłoby pojechać autobusem do Bułgarii i tam spróbować przejść przez granicę. Ale nigdy nie wiadomo, czy akurat nie przetrzepią bagażu. A poza tym spieszę się. Po pierwsze więc, musiałam wymyślić sposób na przemycenie zawieszki. Konkretnie na przeniesienie jej przez aparaturę, która prześwietla na lotnisku bagaż. A po drugie, musiałam znaleźć sobie jakieś zajęcie na najbliższe dwie noce. Zajęcie na tyle ciekawe i intensywne, żeby spać mało, a najlepiej wcale.

Gdy będziecie kiedyś na lotnisku, to zamiast gapić się w ekran telefonu, poobserwujcie trochę ludzi. Bardzo łatwo rozpoznać wśród nich przemytników-amatorów, przede wszystkim dlatego, że nie kontrolują mowy ciała: pocą się, próbują (nieudolnie) czymś się zająć, usztywniają ramiona i kark, co chwilę zerkają na obsługę. Mowę ciała trudno jest kontrolować, ale ja mam swój sposób. Kiedy coś przemycam, przychodzę na lotnisko potwornie zmęczona. Nie przesypiam nocy przed podróżą, a jeśli przewożę coś ważnego – dwóch. Potem, w kolejce do kontroli słaniam się, mam podkrążone oczy, opuszczone ramiona, totalnie rozluźnione mięśnie i co chwilę ziewam. Tego nie można podrobić, dlatego muszę naprawdę być niewyspana. Ale przecież nie będę chodzić dwie noce w kółko po hotelowym pokoju, a w kinie natychmiast bym usnęła. Musiałam wymyślić coś innego. A konkretnie, musiałam znaleźć kogoś, z kim spędzę te dwie noce.

Właściwie facet, który od jakiegoś czasu gapił się na mnie, udając, że interesują go podrabiane dywany, był jakimś rozwiązaniem. Wyglądał na czystego (chociaż był nieludzko

spocony, jak wszyscy), miłego i był nieźle zbudowany. Ale najpierw musiałam znaleźć rozwiązanie pierwszego problemu. Oglądałam więc stosy ohydnych makatek, miseczek i podrabianej biżuterii, aż wreszcie u jednego handlarza znalazłam metalowe szkatułki. Wzięłam jedną do ręki i przyjrzałam się jej uważnie. Wyglądała na miedzianą, z małą domieszką czegoś, chyba srebra. Pewnie zrobiona w Indiach, ale nie przyszłam tu po autentyczne zabytki. Najważniejsze, że miała kształt prawosławnego krzyża, czyli podobny do kształtu złotego ptaka z Efezu.

Aparaty rentgenowskie na lotnisku nie rozróżniają metali. Celnik zobaczy na ekranie szkatułkę i na pewno poprosi, żebym otworzyła bagaż. Pokażę mu pięknie zapakowane pudełko i rachunek ze straganu spod Aja Sofia. A on nie będzie zadawał dalszych pytań, ani sprawdzał, co jest w środku. W ogóle się nie zorientuje, że tam coś jest. Przerabiałam to już nieraz.

Dlatego nie targowałam się, tylko kazałam handlarzowi zapakować szkatułkę w ozdobne pudełko i przewiązać wielką czerwoną kokardą. Chyba nie ja pierwsza miałam takie wymagania, bo kupiec zrobił to wszystko bez słowa. Schowałam szkatułkę do plecaka i wtedy zadzwonił mój telefon.

Ten pieprzony Konstantinos, niech go piekło pochłonie! Ale zanim go pochłonie, niech go spotkają jeszcze wszystkie nieszczęścia tego świata, niech mu się wykop zawali na głowę, niech dostanie udaru słonecznego, niech manikiurzystka – do której, sądząc ze stanu jego paznokci, chodzi co tydzień – utnie mu palec!

– Moja droga – usłyszałam, bez żadnego „dzień dobry” albo „jak ci minął dzień”. – Gdzie jest zawieszka?

– Jaka zawieszka? – Chciałam zyskać chwilę, żeby zebrać myśli.

– Nie udawaj głupiej – warknął. – Gdybyś była głupia, nie pracowałbym z tobą. Zawieszka w kształcie ptaka. Z Artemizjonu w Efezie. Zawieszka, którą mi obiecałaś.

– Niczego ci nie obiecywałam!

– Moja droga – głos złagodniał, a nawet nabrał ciepłych tonów. – Nie obiecywałaś mi, co prawda, tej konkretnej zawieszki, ale mieliśmy razem pracować. Ty kradniesz antyki, a ja je upłynniam. I dzielimy się pieniędzmi. Do tej pory tak świetnie nam się układało, więc po co te dąsy.

To było pół prawdy. Układało nam się, dopóki Konstantinos nie próbował mnie zabić. Od tej pory już nam się nie układa. Nie miałam od niego znaku życia przez prawie rok, od kiedy zaszył się w swoim domu na Samotrace. Aż do dzisiaj.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, usłyszałam:

– Wyślę człowieka, który odbierze od ciebie zawieszkę. Żebyś nie musiała się martwić, jak ją przewieźć przez granicę. Widzisz, jak o ciebie dbam, moja droga? A, i nie martw się, on cię sam znajdzie.

Rozłączył się, a ja stałam jak sparaliżowana, z telefonem przy uchu.

Konstantinos ma dobrych ludzi. Nie wątpiłam, że jego człowiek znajdzie mnie w Stambule, chociaż to wielkie miasto. Znalazłby mnie nawet w piekle, gdybym zdecydowała się tam ukryć.

Rozejrzałam się, ale zauważyłam jedynie tego faceta za stosem dywanów, który ciągle się na mnie gapił. Tylko że zbir od Konstantinosa nie będzie miał przecież napisane na czole „to ja”.

I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł.

*

Wypiła ostatni łyk kawy i pochyliła się lekko do przodu, jakby chciała już wstać i sobie pójść. Więc zapytałem, czy była już na bazarze egipskim. Zaprzeczyła ruchem głowy, ale ciągle wpatrywała się w przestrzeń, zamiast patrzeć na mnie. Nagle się przestraszyłem, że nic z tego nie będzie, że wstanie i odejdzie, a ja przecież nie zabiorę jej zawieszki siłą, nie tutaj, gdzie jest pełno ludzi. Ale ona nagle odwróciła głowę i powiedziała, że chętnie by się wybrała.

Bazar egipski to najlepsze miejsce na podryw: drażniące zmysły zapachy, tłum, w którym można się o siebie ocierać, miliony smaków. Szybka i skuteczna metoda, żeby sprawdzić, czy da się coś zdziałać. Tym razem dało się nawet szybciej, niż przypuszczałem. Na początku była trochę nieuważna i rozglądała się, jakby czegoś szukała. Albo kogoś. Ale już przy wejściu złapała mnie za rękę, żeby, jak powiedziała, nie zgubić się w tłumie. Dłoń miała drobną i ciepłą, lekko lepką (w końcu to Stambuł), o silnych palcach. Nie zaprotestowała, kiedy przyciągnąłem ją do siebie, żeby mógł przejechać wózek tak wyładowany, że przeczył prawu grawitacji. A potem przymknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze, gdy dotknąłem wargami jej szyi. Ta laska była szybka!

Nic więcej się nie wydarzyło, bo to jednak Turcja i nikt tu nie obściskuje się na ulicach. Ale kiedy wyszliśmy z bazaru, nie puściła mojej ręki. Zatrzymała się, spojrzała mi głęboko w oczy i spytała:

– Do mnie czy do ciebie?

Oczywiście, że do niej. Wolałem nie zostawiać po sobie zbyt wielu śladów.

Miała pokój na tyłach Aja Sofia, w małym pensjonacie w drewnianym domku przylepionym do muru pałacu Topkapı. Klimatyczny, ale maleńki pokoik, w którym ledwo mieściło się

łóżko (podwójne!), z łazienką wielkości szafy. Archeolożki pewnie nie stać na nic bardziej luksusowego.

Miałem szczęście, że tak szybko ją znalazłem. Pod innym względem też. Powiem wam tylko tyle: laska naprawdę była napalona. Nie pozwoliła mi zasnąć przez calutką noc.

*

Był całkiem zadbany, chociaż w złachanych ciuchach (moje wyglądały jeszcze gorzej po dwóch miesiącach wykopalisk). Podjęcie decyzji zajęło mi pół minuty. A potem poszło jak z płatka. Koleś naprawdę był napalony. Wystarczyło dotknąć jego ramienia w ścisku na zatłoczonym bazarze, a poszedł za mną, gdzie chciałam, czyli konkretnie do mojego pokoju. W ten sposób rozwiązałam problem nocnych zajęć. I miałam też nadzieję, że facet pomoże mi wymknąć się cynglowi Konstantinosa.

Poszło świetnie, przez całą noc nie zdrzemnęłam się dłużej niż dwie godziny. Kiedy rano podniosłam się z łóżka, Aslan (to po turecku znaczy lew, bardzo ładne imię, tak jak on sam) spał jak zabity. Podniosłam wysoko but i upuściłam na podłogę. Aslan wymamrotał coś i przewrócił się na drugi bok. Kiedy zrobiłam to samo z drugim butem, nawet nie drgnął. Ziewnęłam i uznałam, że to dobry moment na pogrzebanie w jego rzeczach. Bo reguła numer jeden w moim wewnętrznym kodeksie dobrej złodziejki brzmi: nie ufaj nikomu. A już na pewno nie facetowi przygodnie poderwanemu koło Aja Sofia w Stambule.

Znalazłam jego paszport, ale nie wyróżniał się niczym specjalnym, zdjęcie i imię się zgadzały. Miał kilka stempelków z wizami, niewiele, ale nie tak mało, żeby to było podejrzane. Głównie z Grecji, z Lesbos (pewnie weekendowe wypady

z panienkami – to tutaj bardzo popularne) plus kilka z niskobudżetowych wypadów do Bułgarii, z przejścia granicznego koło Edirne.

Postanowiłam przejrzeć jego komórkę, większość ludzi nosi w telefonie całe życie. Ale miał zablokowaną, a po kilku podejściach i wstukaniu najbardziej popularnych kodów (data urodzenia, jeden-dwa-trzy-cztery, jeden-trzy-pięć-osiem) system ostrzegł, że została mi tylko jedna próba. Nie chciałam, żeby się zorientował, że go sprawdzam, więc zostawiłam to na później.

Zadzwonił mój telefon. Upuściłam jego telefon na łóżko, chwyciłam mój i nacisnęłam zieloną słuchawkę. Aslan poruszył ręką, ale spał dalej. Zamknęłam się w łazience.

– No i jak, moja droga? – spytał głos, który ze wszystkich głosów na świecie najmniej chciałam usłyszeć. – Przekazałaś już mojemu człowiekowi tę zawieszkę?

Walnęłam w przycisk „rozłącz” i przez chwilę poważnie zastanawiałam się, czy nie rozłożyć telefonu na czynniki pierwsze i nie spuścić karty z wodą w toalecie. Problem w tym, że w dwudziestym pierwszym wieku nie możesz tak po prostu odciąć się od świata.

Najlepiej myśli mi się pod prysznicem, więc wlazłam pod gorącą wodę, wylałam szampon na włosy i zaczęłam kombinować.

*

Niektóre dziewczyny naprawdę nie potrafią być cicho. Obudziła mnie, kiedy upadł jej na podłogę but. Próbowałem zacisnąć powieki i spać dalej, ale po chwili rzuciła drugim butem, potem czymś długo szeleściła, a na koniec zadzwonił jej telefon. Do diabła z tym! Nawet drzwi do łazienki były chyba zrobione z dykty, bo prysznic bębnił jak ulewa o kabinę brodzika.

Ziewnąłem i przeciągnąłem się. Trudno, skoro i tak nie pośpię, równie dobrze mogę wziąć się do roboty.

Podrapałem się po brzuchu i w samych gatkach przykląkłem na podłodze. Woda się lała, a ona śpiewała (i fałszowała!), więc nie musiałem być przesadnie ostrożny. Wyjąłem po kolei jej rzeczy z plecaka, układając je na linoleum w stos, żeby w razie czego włożyć je szybko mniej więcej w tej samej kolejności. Ale nie znalazłem nic ciekawego.

Zawieszkę miała w plecaku podręcznym. Pan Megalioyannis opowiadał o niej tak dużo, więc myślałem, że będzie ostrożniejsza. A ona włożyła złoty zabytek z ósmego wieku przed naszą erą, zawinięty w jednorazową chusteczkę, do kosmetyczki. Uchyliłem rąbek ligniny i pobawiłem się przez chwilę, odbijając od złota zajączki na ścianie. A potem przeciągnąłem się jeszcze raz.

Właściwie mogłem się po prostu ubrać, wsadzić zawieszkę do kieszeni i wyjść. Ale pod prysznicem coś stuknęło. Simona krzyknęła cicho, a potem na długą chwilę zamilkła, a ja zamarłem z ręką w jej plecaku. Ale po minucie, czy coś koło tego, zaczęła śpiewać inną piosenkę. Mój penis drgnął. W sumie nigdzie się nie spieszyłem. Miałem mnóstwo czasu, bo na przekazanie zawieszki umówiłem się dopiero na następny dzień. Do tego czasu i tak musiałem coś ze sobą zrobić, więc równie dobrze mogłem spędzić najbliższą dobę na przyjemnościach.

*

Kabina była ciasna i ledwo dało się w niej obrócić. Potrąciłam łokciem wajchę do wody i lunął na mnie lodowaty strumień. Krzyknęłam, odskoczyłam w bok i znieruchomiałam. Lodowate

kropelki pryskały na moją skórę, ale nie odsunęłam się, ani nie zwiększyłam temperatury. Bo coś sobie przypomniałam.

W końcu odkręciłam ponownie ciepłą wodę i zaczęłam nucić pod nosem. Kiedy skóra na moich opuszkach zaczęła się marszczyć, miałam już gotowy plan. Tak, to mogło się udać. Nie mogę przecież przez cały czas rozglądać się na wszystkie strony i uciekać przed człowiekiem Konstantinosa, o którym nie wiem nawet, jak wygląda. Ale mogę wykorzystać fakt, że mam przy sobie faceta. Nawet jeśli tylko na dwie noce.

Wyszłam spod prysznica, przetarłam zaparowane lustro i spojrzałam sobie w oczy. A potem roześmiałam się.

*

Zakręciła wodę. Odłożyłem plecak na miejsce i wskoczyłem do łóżka. Przykryłem się prześcieradłem, odwróciłem na bok i zamknąłem oczy. Niepotrzebnie się spieszyłem, bo jeszcze sobie podśpiewywała przy ubieraniu. Potem stuknęła drzwiami, przysiadła na brzegu materaca, po czym najwyraźniej wciągnęła buty. I wyszła. Szybko otworzyłem oczy, byłem gotowy za nią pobiec, gdyby się okazało, że się zwinęła bez pożegnania. Ale ona wzięła tylko mały plecaczek, duży zostawiła, podobnie jak kosmetyczkę w łazience i rozwalone na podłodze ciuchy. Pewnie tylko poszła na kawę. Rzuciłem się z powrotem na łóżko i chyba przysnąłem, bo poderwałem się, kiedy znowu stuknęły drzwi.

– Obudziłam cię – uśmiechnęła się, chociaż nie przeprosiła. – Ale przyniosłam nam coś na śniadanie.

Wyciągnęła z plastikowej siatki dwie dojrzale brzoskwinie, słodkie bułki i ayran.

– Tylko na kawę musimy gdzieś pójść. Nigdzie w okolicy nie mają na wynos.

Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. Ciągle pachniała pastą do zębów. Po tej nocy nie bardzo miałem siłę na więcej, ale liczyłem, że do wieczora nabiorę ochoty.

Na razie rzuciłem się na jedzenie. To była dobra decyzja, żeby się tak od razu stąd nie zmywać.

A ona sięgnęła do plecaka i wydobyła pudełko, które kupiła wczoraj pod Aja Sofia. Rozsupłała kokardę i wyjęła ze środka szkatułkę. Przez chwilę obracała ją w palcach i oglądała, wyraźnie zadowolona. A potem zrobiła coś, co sprawiło, że bułka stanęła mi w gardle.

Wyciągnęła z plecaka kosmetyczkę, a z kosmetyczki – zawiniętą w ligninę złotą zawieszkę. Złotego ptaka z Artemizjonu w Efezie.

– Poklepać cię po plecach? – zapytała obojętnie. Pokręciłem głową i spróbowałem uspokoić kaszel, a Simona obejrzała zawieszkę z obu stron, zanim złapała moje spojrzenie.

– Fajna, nie? Zrobił to dla mnie jeden jubiler w Çanakkale. Mówię ci, oni tu w Turcji potrafią zrobić wszystko. Wygląda całkiem jak jakiś starożytny zabytek, nie? Ale spokojnie, to nie kradzione. Gdzieś tu mam certyfikat. – Pogrzebała w plecaku, ale w końcu machnęła ręką. – Nie mogę teraz znaleźć.

Była niezłą aktorką. Gdybym nie wiedział dokładnie, co to za zabytek, i gdybym nie dostał zlecenia, żeby go jej odebrać, na pewno uwierzyłbym, że ptak pochodzi z jednego z warsztatów złotniczych w jakiejś prowincjonalnej dziurze. To prawda, że w Turcji było wielu uzdolnionych jubilerów.

– Teraz muszę go tylko ładnie zapakować.

Włożyła zawieszkę do swojej szkatułki, zamknęła wieczko, szkatułkę włożyła do pudełka, nasunęła wieczko i zawiązała kokardę. A potem schowała wszystko do plecaka. Sięgnęła po bułkę i spytała z pełnymi ustami.

– Masz jakieś plany na dzisiaj?

Usiadłem na łóżku, odkaszlnąłem ostatni okruch, który utkwił w tchawicy, i wzruszyłem ramionami. Miałem w planie ukraść jej zawieszkę. A potem zniknąć. Ale nie powiedziałem tego.

– Nic specjalnego. Chciałem powłóczyć się trochę z aparatem. I z tobą. – Przesunąłem dłonią po jej talii.

Odsunęła się odrobinę.

– Łaskoczesz – wyjaśniła. – Jakieś konkretne miejsce?

Znowu wzruszyłem ramionami.

– No to chodź – powiedziała i pociągnęła mnie za rękę.

Miasto było nasze. Powłóczyliśmy się po ogrodach Topkapı, poszliśmy do Błękitnego Meczetu, pojechaliśmy tramwajem na Wielki Bazar i zjedliśmy lunch w jednej z knajpek na tyłach. A potem łaziliśmy bez celu ulicami. To był naprawdę fajny dzień. A raczej byłby, gdyby temperatura na dworze chociaż raz spadła poniżej czterdziestu stopni. Po południu moje ubranie można było wyżymać. Nawet Simona miała ciemne plamy potu na podkoszulku i podkrążone ze zmęczenia oczy.

– Potworny ten upał – wysapałem, kiedy usiedliśmy na chwilę w kafejce, żeby napić się lodowatej coli.

Pokiwała głową, zamyślona.

– Słyszałam… Nigdy tam nie byłam, ale podobno jest tu gdzieś w pobliżu taka podziemna cysterna.

Poprawiłem się na krześle.

– Yerebatan sarnıcı. Świetny pomysł!

Byłem na siebie trochę zły, że sam o tym wcześniej nie pomyślałem. Bo to był świetny pomysł. Cysterna (a właściwie ogromna hala z setką kolumn) znajdowała się pod ziemią, a na posadzce stało pół metra wody. Nie mogłem sobie wyobrazić lepszego miejsca na spędzenie kilku godzin w upale. Ani lepszego miejsca, żeby niepostrzeżenie podprowadzić jej tę szkatułkę.

*

Do cysterny schodzi się po kilkudziesięciu schodach i ulga jest natychmiastowa, jakby człowiek wszedł do wanny z chłodną wodą. Zamiast jaskrawego słońca – półmrok i kolorowe reflektory wydobywające z ciemności detale kolumn, zamiast miliona stopni w słońcu – przyjemny chłód i wilgoć, zamiast klaksonów samochodów – cichy chlupot wody, nad którą ułożono plątaninę pomostów. Od razu poczułam, że odżywam i że nie wyjdę stąd przez parę godzin. Był tylko jeden problem, o czym przekonałam się na drugim zakręcie. Debil, który projektował pomost, nie wpadł na pomysł, żeby oznaczyć niewielki schodek. A deski były śliskie od wilgoci. Dokładnie w tej samej chwili Aslan podszedł bliżej, żeby coś mi pokazać, a ja potknęłam się o jego nogę. No i wpadłam do tej cholernej wody! Jak jakaś głupia, nierozgarnięta turystka!

Było płytko, na siedząco woda sięgała mi do pasa, ale kiedy próbowałam wstać, znowu się poślizgnęłam na porośniętym glonami dnie. Obok mnie przepłynął wielki tłusty karp, blady jak dżdżownica od ciągłych ciemności. Zatrzęsłam się z obrzydzenia.

Aslan rzucił się, żeby mnie ratować. Chciał wskoczyć za mną, ale zdążyłam krzyknąć, żeby tego nie robił. Na kolanach podpełzłam do pomostu i pozwoliłam mu wyciągnąć się na deski.

– Cholera jasna, kurwa mać! – wyplułam z siebie przekleństwo. Odwróciłam plecak do góry dnem i wysypałam wszystko na pomost. Pudełko ze szkatułką i jedna ze szminek omal nie ześlizgnęły się do wody, ale Aslan złapał je na krawędzi. Na szczęście paszport był suchy, foliowe zawiniątko też, a na kosmetyczce widać było tylko kilka plam wilgoci.

Zaczęłam drżeć z zimna, miałam mokre ciuchy a temperatura w cysternie nie przekraczała kilkunastu stopni.

Podbiegł do nas (co za wyczucie czasu!) ktoś z obsługi i spytał, czy wszystko w porządku. Aslan zaczął z nim dyskutować po turecku, a ja przypomniałam sobie tego karpia. Zerwałam się, odwróciłam do nich plecami i z obrzydzaniem spróbowałam strząsnąć lepkie ślady glonów z bluzki i spodni. Ale nic to nie dało. Powinnam jak najszybciej zdjąć ubranie i najlepiej od razu je wyrzucić.

Aslan podał mi plecak, do którego w międzyczasie pozbierał moje rzeczy, chwycił mnie za ramię i podciągnął do wyjścia.

– Chodźmy stąd, zanim się zaziębisz – powiedział.

Ale ja nie zamierzałam nigdzie iść. Jeszcze nie.

*

Odepchnęła moją rękę i powiedziała głośno i wyraźnie (a w tej pieprzonej cysternie niesie się echo):

– Ten facet mi coś ukradł.

Człowiek z obsługi, który już odchodził zadowolony, że nikt się go nie czepia, stanął jak wryty i odwrócił się na pięcie.

– On mi coś ukradł – powtórzyła Simona. – Takie pudełko z kokardą. W środku jest szkatułka. Proszę sprawdzić jego plecak.

Skąd wiedziała, do cholery? Przecież stała odwrócona plecami i otrząsała się z glonów. Nie mogła zauważyć, że pudełko ze szkatułką z tym cholernym złotym ptakiem w środku wsunąłem do mojego plecaka, nie do jej. Chyba nie ma trzeciego oka z tyłu głowy!

– Na co pan czeka! – krzyknęła Simona do gościa z obsługi. – Niech pan dzwoni na policję!

Rozejrzałem się. Mógłbym się odwrócić i po prostu uciec. I to bym właśnie zrobił, gdybym nie widział wcześniej przy drzwiach dwóch ochroniarzy. A kto ucieka, na pewno ma coś za uszami. Lepiej było grać niewiniątko.

Sięgnąłem do plecaka i wyciągnąłem pudełko z kokardą.

– Masz na myśli to? – spytałem. – A, przepraszam, to przez pomyłkę.

– To nie była żadna pomyłka – powiedziała ponuro Simona. Nie patrzyła na mnie, tylko na tego drugiego faceta. – W środku jest bardzo cenna zawieszka. On mi ją ukradł.

– Nic nie ukradłem – broniłem się.

Facet z obsługi patrzył na zmianę na jedno i na drugie z nas, jak na meczu tenisowym.

– No niech pan wezwie policję, do cholery! – krzyknęła Simona, a on dopiero wtedy wyjął komórkę z kieszeni.

Zmusiłem się, żeby oddychać wolno i spokojnie. Nic na mnie nie mieli. Paszport czysty, nie byłem nigdzie notowany, nikt mi nigdy nie zdjął odcisków palców. Jej słowo przeciwko mojemu. Ale to ja coś na nią miałem, nie ona na mnie.

Policjanci przyjechali szybko, wysłuchali, co miało do powiedzenia każde z nas, zabrali pudełko (ciągle z zawiązaną kokardą) i zawieźli nas na posterunek. Simona nie wyglądała już tak ponętnie jak wcześniej. Jej błękitne oczy były podbite, włosy w strąkach (w tej wodzie musiały być różne paskudztwa), a bluzka i spodnie pokryte brązowymi plamami. Śmierdziało od niej glonami. Ode mnie jechało potem, ale nic nie mogłem na to poradzić.

Na posterunku wszystko ciągnęło się w nieskończoność. Kazali nam czekać pod strażą jednego mundurowego, potem znowu czekać, a później jeszcze trochę poczekać. W korytarzu komisariatu było duszno i co chwilę ktoś potykał się o moje nogi. Na dworze na pewno zapadła już noc, a powietrze znowu

było wilgotne i rześkie. Rozejrzałem się, ale nie zobaczyłem żadnego okna.

W końcu wzięli ją na przesłuchanie. Wyszła po jakichś piętnastu minutach, a oni zawołali mnie. I wtedy, nagle, przyszło mi do głowy, że pan Megaloyannis nie będzie zachwycony. Miałem ukraść tę zawieszkę, a nie oddawać ją policji. Trudno, jakoś mu wytłumaczę, że nie miałem innego wyjścia. Przecież każdy rozsądny człowiek to zrozumie, nie?

W ciasnym pokoju jeden policjant siedział za biurkiem, a drugi, najwyraźniej młodszy rangą, nudził się na baczność w kącie. Tutaj było okno, ale wychodziło na ścianę domu wznoszącą się pół metra od szyby.Śmierdziało potem, cebulą i pleśnią. Nie było krzesła dla przesłuchiwanego i musiałem stać.

– Ta pani – policjant zajrzał do papierów na biurku – Simona Brenner oskarża pana o kradzież.

Dotknął czubkiem długopisu pudełka, które leżało na krawędzi biurka.

– Wie pan, co jest w środku? – spytałem.

Policjant jeszcze raz zerknął do papierów.

– Simona Brenner zeznała, że jest tam kupiony przez nią prezent. Dla… – jeszcze jedno zerknięcie – siostry. Pozłacana zawieszka w kształcie ptaka. Simona Brenner zeznała, że zapłaciła za nią w pracowni jubilerskiej w Çanakkale dwieście osiemdziesiąt lir.

– Ona jej nie kupiła w Çanakkale – odpowiedziałem. – Ukradła ją z Artemizjonu w Efezie. Wie pan, co to jest Efez? Dzisiaj Selçuk.

– Wiem – burknął policjant.

– Ta zawieszka pochodzi z ósmego wieku. Przed naszą erą. Spełniłem tylko swój obywatelski obowiązek, odzyskałem skradziony zabytek.

Policjant pokręcił głową, przełożył na biurku kartkę, a potem jeszcze jedną. Dość długo trwało, zanim znowu podniósł głowę.

– Wezwij panią Brenner – warknął do tego, który nudził się w kącie.

Simona weszła i stanęła tak daleko ode mnie, jak tylko było to możliwe w ciasnym pokoju. Dla niej też nie było krzesła. Obejmowała plecak ramionami i przyciskała go do brzucha. Bez obaw, nie zamierzałem niczego więcej kraść.

Policjant powoli przysunął pudełko. Pociągnął za koniec wstążki. Wyglądał, jakby się bał, że w środku jest bomba. Wziął głęboki wdech, odwiązał kokardę i powoli zdjął pokrywkę. Wyjął ze środka szkatułkę i otworzył ją. Zanurzył w jej wnętrzu dwa palce jak szczypce i wyciągnął nimi zawieszkę.

Policjant przy drzwiach wypuścił ze świstem powietrze. A ten przy biurku podniósł głowę i popatrzył na Simonę.

– Czy może pani udowodnić, że to nie jest skradziony zabytek? – spytał łamanym angielskim.

– Mogę, tak, oczywiście. Proszę dać mi tylko chwileczkę – zaszczebiotała Simona. Uśmiechnęła się słodko do policjanta, jedną ręką mocniej przycisnęła plecak do brzucha, a drugą zaczęła w nim grzebać. Szukała z jednej strony, potem z drugiej i niczego nie znajdowała. Najwyraźniej grała na zwłokę. Ale nie wiem, na co liczyła.

Policjant przy drzwiach cofnął się o krok, jakby się bał, że wśród paczek ligninowych chusteczek, tubek kremu z filtrem, szminek i tym podobnych rzeczy, które kobiety zawsze noszą w torebkach, znajdzie się ręczny granat. Policjant zza biurka wychylił się do przodu i obserwował Simonę jak dziwny okaz szczura. A ona uśmiechnęła się jeszcze raz, przepraszająco, pogrzebała z przodu plecaka i znów niczego nie znalazła. W końcu ukucnęła i wyjęła z plecaka pomięty notes. Pomiędzy

kartkami tkwił jakiś papier, również pognieciony i z oślimi rogami.

Policjant starannie rozłożył dokument przed sobą na biurku i wygładził papier dłonią. A potem pogrążył się w lekturze. Kiedy skończył, jeszcze raz wygładził papier i oddał go Simonie.

– Jest w porządku – powiedział.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

– Jak to „w porządku”! – krzyknąłem.

Policjant się skrzywił i postukał palcem w biurko, w miejsce, gdzie przed chwilą leżał certyfikat. Dopiero teraz zauważyłem, że paznokieć jego małego palca lewej ręki miał co najmniej trzy centymetry długości.

– Certyfikat jest w porządku. W odróżnieniu od ciebie, Aslan. – Nagle zaczął mówić do mnie na ty. – Bo certyfikat wypisano na nazwisko pani Brenner. A są świadkowie, którzy mogą potwierdzić, że jej zabrałeś to pudełko z zawieszką.

– Ale to przecież jest skradziony zabytek!

– Gówno, nie kradziony. Przepraszam. – Policjant spojrzał na Simonę, jakby nagle zaczęła rozumieć turecki. – A my tu nie lubimy, gdy ktoś okrada turystów w naszym mieście. Bo potem idzie zła fama i nie chcą przyjeżdżać. Już i tak mamy od cholery problemów z tymi pieprzonymi terrorystami. Przepraszam. – Ukłonił się Simonie jeszcze raz.

– To jest skradziony zabytek! – wrzasnąłem. Podskoczyłem do biurka i chwyciłem zawieszkę. Policjant odsunął się z krzesłem, a drugi zatarasował drzwi. Ale ja nie zamierzałem uciekać. Chwyciłem długopis i krawędzią skuwki zarysowałem powierzchnię ptaka. – Zaraz zobaczycie, że to złoto, a nie pozłacane srebro.

Skuwka nie była ostra i przycisnąłem tak mocno, że płytka się wygięła. Ale na powierzchni wreszcie ukazała się rysa,

a potem druga. Odłożyłem długopis i przyjrzałem się uważnie. Spod złotej powierzchni błyszczał srebrny metal.

Policjant za biurkiem w końcu się pozbierał i wyszarpnął mi zawieszkę. Potem skinął na towarzysza, a ten podszedł i jednym ruchem założył mi kajdanki.

– Bardzo panią przepraszam w imieniu naszego miasta. – Policjant zza biurka znowu przeszedł na łamany angielski. – Tego pana oczywiście aresztujemy. Pani może odejść, ale obawiam się, że będziemy musieli zatrzymać pani prezent. – Wskazał głową pudełko, szkatułkę i tego cholernego ptaka.

Simona uśmiechnęła się jeszcze słodziej niż poprzednio.

– Nic nie szkodzi. Kupiłam dwa takie. Bo wie pan, jesteśmy z siostrą blisko, chciałam, żebyśmy miały takie same. Ale trudno, mojego oddam jej, bo są jej urodziny…

Szczebiocząc coś jeszcze, sięgnęła znowu do plecaka i wyciągnęła foliowe zawiniątko. Zanurzyła w nim rękę i pomachała w powietrzu pudełeczkiem. Identycznym z tym, które leżało na biurku. Nawet kokarda była taka sama!

– To tutaj ma ten skradziony zabytek! – krzyknąłem. – Musi pan ją sprawdzić!

– Musisz to ty, Aslan, trzymać gębę na kłódkę – warknął policjant. I kazał temu drugiemu mnie wyprowadzić. Zanim wyszliśmy na korytarz, usłyszałem, jak policjant jeszcze raz przeprasza Simonę. A potem mówi, żeby pozdrowiła siostrę. A ja odwróciłem głowę i spojrzałem na ścianę domu za oknem. Tak coś czułem, że nieprędko będę miał okazję wciągnąć w płuca wilgotne, nocne powietrze.

*

Nie mam siostry, a w każdym razie nic o tym nie wiem. Ale uczucia rodzinne to coś, co zawsze robi dobre wrażenie. Może

to powinna być kolejna reguła w moim kodeksie dobrej złodziejki?

Regułę numer jeden już znacie: nie ufaj nikomu. To dlatego sprawdziłam plecak Aslana. I znalazłam paszport.

Nie od razu skojarzyłam, oświeciło mnie dopiero pod prysznicem. Turcy nie trzymają paszportów w domu. Za każdym razem, kiedy chcą wyjechać za granicę, muszą złożyć wniosek do biura paszportowego. A Aslan miał swój w plecaku. Z greckimi wizami z przejść granicznych na Lesbos i w Edirne, z których prowadzi najkrótsza droga na Samotrakę. A tam mieszka Konstantinos.

Tak, reguła numer jeden się sprawdza. Ale wydaje mi się, że powinnam dopisać do tego mojego kodeksu jeszcze kilka innych, nowych zasad. Na przykład: zawsze miej plan B. Zwłaszcza gdy obserwuje cię jakiś obcy facet. Albo: nigdy nie żałuj kasy na kopię zabytku, który przemycasz. Ani na drugą szkatułkę, do której możesz schować tę kopię.

A tak w ogóle, to Aslan powinien mi podziękować. Tureckie więzienia nie są przyjemne, ale to, co mu tam zrobią, to i tak nic w porównaniu z tym, co czekałoby go z rąk Konstantinosa. Powinien być mi wdzięczny do końca życia, które dzięki mnie będzie o wiele, wiele dłuższe.

Zatrzymałam się przed wejściem do komisariatu i wciągnęłam głęboko wilgotne nocne powietrze. W Stambule jest mnóstwo spalin i w ogóle syf, ale musiałam przewentylować płuca, bo na posterunku śmierdziało wprost przeraźliwie. Zerknęłam na komórkę. Było już po pierwszej. Czyli druga noc odhaczona. Trzeba pójść do hotelu, pozbierać rzeczy i załatwić transport na lotnisko.

O tym, co zdarzyło się później, przeczytać możecie w *Regule nr 1*. ■

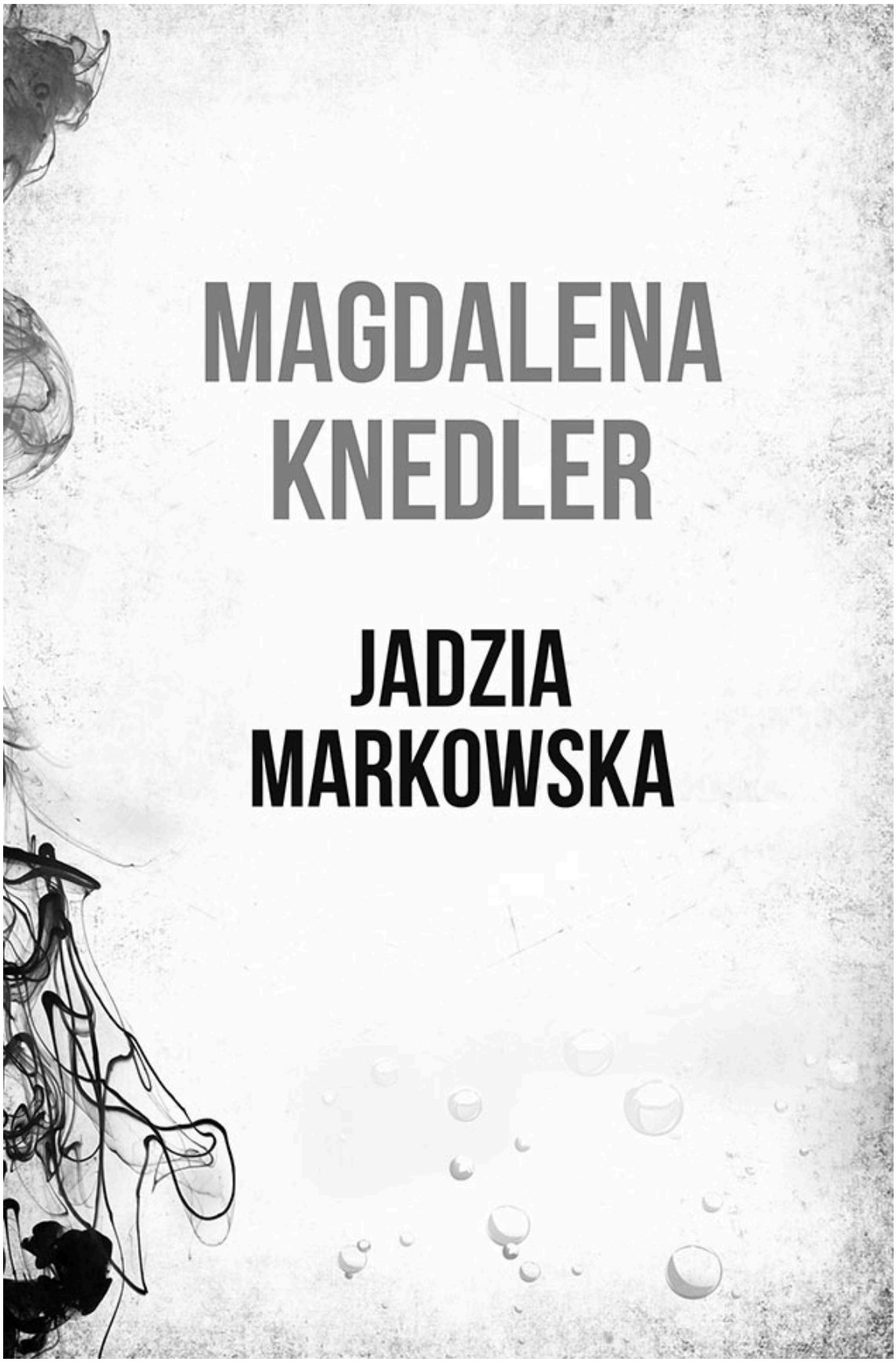
MAGDALENA
KNEDLER
JADZIA
MARKOWSKA

Fot. Wojciech Skibicki

MAGDALENA KNEDLER
Autorka powieści obyczajowych, w tym świetnie przyjętej Dziewczyny z daleka, a także detektywistycznych, w tym bestsellerowego Nie całkiem białego Bożego Narodzenia. Nagrodzona statuetką Emocje 2017 przyznawaną przez Radio Wrocław Kultura za gatunkową wszechstronność i wysoką jakość literacką, a przez Gazetę Wyborczą dwukrotnie nominowana do nagrody WARTO (w 2016 i 2018). Najnowsza powieść autorki, Twarz Grety di Biase, która ukaże się 9. maja 2018, jest jej dziesiątą książką".

Pierwszy miał szpakowate włosy i brodawkę na lewym policzku. Śmiał się za głośno i zbyt piskliwie, jak nie facet. Facet powinien śmiać się po męsku, a dżentelmen w garniturze za kilka tysięcy to już w ogóle powinien opracować sobie specjalny rodzaj manifestowania wesołości, charakterystyczny dla kasty noszącej garnitury za kilka tysięcy. Ale ten nie. Piszczał, pochrząkiwał i czerwieniał, uderzał się otwartą dłonią w udo i wołał: „A to dobre!". Straszny obciach, naprawdę. Czy może się człowiekowi przytrafić coś gorszego niż towarzystwo podstarzałego, siwiejącego dziada, który śmieje się ten sposób? Wstyd było z nim wychodzić na miasto i gdyby nie Machiavelli i jego „cel uświęca środki", dawno bym sobie odpuściła. Ile człowiek musi przełknąć żenady, żeby wymierzyć sprawiedliwość, to się w głowie nie mieści. Trzeba czytać pisma dawnych myślicieli, bo tylko oni mieli coś w życiu do powiedzenia. Taki Machiavelli, na przykład, świetnie rozumiał, że czasem człowiek musi się upodlić, żeby osiągnąć cel. To był prawdziwy facet, na pewno nie śmiał się piskliwie, nie mówił „a to dobre!", nie pocił się pod pachami i nie wrzucał na fejsa fotek z kafelkami w tle (wiadomo, że foty z kafelkami w tle robi się w kiblu). Nie przejmował się, że mu wstyd albo że akurat je kolację z debilem i musi jakoś wytrzymać. No po prostu robił to, co musiał, bo przecież cel uświęca środki. Ja też postanowiłam robić to, co musiałam. Zniosłam więc ten głupawy śmiech, choć Pierwszy wkurzał mnie najbardziej. Później było łatwiej.

Drugi nie nosił drogiego garniaka. Drugi był ekologiem, przykuwał się do drzew i wygłaszał odczyty na temat kurczących

się lodowców, niezamarzających rzek i ginących pingwinów. Albo fok, nie pamiętam już. Kiwałam głową i myślałam o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że w sumie szkoda go, bo przynajmniej nie jest idiotą i robi coś pożytecznego dla świata, być może nawet stał się właśnie taką osobą, kiedy wyzwolił się ze swojego młodzieńczego okresu zezwierzęcenia. No cóż, za późno. Trzeba było myśleć o swojej przyszłości trzydzieści lat temu. Po drugie – zastanawiałam się nad jego posturą. Był wielki, wysoki, masywny, grubokościsty. Pierwszy, ten od głupawego śmiechu, padł szybko, złapał się tylko za ramię, spojrzał na to ramię, na mnie, na ramię, a po odstawieniu tej swojej śmiesznej pantomimy odleciał i zapanował wreszcie spokój. To był tylko środek nasenny. Najważniejsze wstrzyknęłam mu później, już bez stresu. Nie chciałam, żeby się szarpał. Miał kruche żyły.

Wiedziałam, że z Drugim niekoniecznie pójdzie łatwo. Mógł nie zjechać do bazy tak szybko. Z takimi wielkoludami różnie bywa, ja to wiem, dlatego się przygotowałam, zdwoiłam dawkę środka nasennego i tego drugiego też, a wcześniej namawiałam go do picia alkoholu. Miałam także gaz paraliżujący, bo przezorny zawsze ubezpieczony. Ci, co mordowali Rasputina, zapewne nie spodziewali się, że będą go musieli truć winem i ciastem, strzelać do niego, rąbnąć pałką w czaszkę i na koniec utopić. Narobili się, a było ich kilku. Ja jestem jedna. I co, jak mi się trafi Rasputin?

Na szczęście Drugi nie był Rasputinem. Dostał starter w postaci podwójnej dawki środka nasennego i gazem po oczach też, na wszelki wypadek. Trochę mnie poniosło. Może to dlatego, że wcześniej tak ładnie opowiadał o żubrach. Cholerny ekolog. Ci, którzy dawniej zrobili coś złego, nie powinni się nigdy zmieniać, bo człowiek ma dysonans poznawczy. Na szczęście w porę przypomniał mi się Machiavelli, który na pewno powiedziałby: „Pieprzyć żubry!”.

Drugi został odhaczony. Strasznie się z nim umordowałam. Nie wiem, gdzie się tak spasł i na czym, bo przecież nie na ekologicznych marchewkach! Musiałam podjechać do jeziora z innej strony, płaskiej i piaszczystej, żeby go nie ciągnąć po krzakach. Żałowałam, że mój osobisty trener na siłowni tak mnie zawsze oszczędzał, mógł mi doładować większe obciążenie, byłabym teraz bardziej krzepka. To nie! „Doris, będziesz miała muły jak Schwarzenegger". Kurwa, prawie złamałam sobie rękę na tym ekologu, i to już przy samej wodzie, bo gdzieś mi się o kamień zaczepił. Cieszyłam się, że to już prawie koniec, że został jeszcze tylko jeden. Takie mordowanie jest bardzo męczące, naprawdę.

Policjanci ze Wschowy, jak czytałam w internecie, jeszcze nie mówili nic o „seryjnym", chociaż znaleźli w jeziorze Lgiń Duży dwa trupy w odstępie tygodnia. Musieli zamknąć plażę i turyści się okropnie wściekali, bo przecież dwa tygodnie urlopu, czas ucieka, gdzie oni mają pływać, jezioro takie duże, a trup mały, czy naprawdę trzeba to wszystko odgradzać? Rozumiem ich. Sama bym się wściekła. Ale co ja mam powiedzieć? Też wzięłam tylko dwa tygodnie urlopu, a na plaży nie siedzę.

Trzeci był najprostszy. Profesor literatury z Poznania, taki chudziutki, mały, zgarbiony, w okularach, który najchętniej zwinąłby się z tego świata i zamieszkał w „Zamku" Kafki. Denerwował się podczas kolacji, bo żona w domu, równie mała, chuda i zgarbiona, także profesor, także na polonistyce, ale ona akurat była od gramatyki historycznej, jerów i przegłosów, jakby kogoś to obchodziło. Z tego związku narodziło się dziecię, blond chłopię, równie chude i zgarbione, które teraz, a jakże, robiło doktorat – zgadniecie? – na polonistyce! Już mi się nie chciało sprawdzać, o czym ten doktorat, bo się bałam, że sama przy okazji zejdę z nudów. Kiedy wciągałam do wody Trzeciego, miałam wrażenie, że robię światu jakąś przysługę. No,

przynajmniej poszło na niego mało barbituranów, wystarczył też jeden zastrzyk nasenny i nie musiałam mu psikać gazem. Mam stresa z tym gazem. Zawsze się boję, że obrócę nie tak i psiknę sobie, a to już byłoby jak w książce napisanej przez totalnego grafomana.

Udało mi się. Trzech typów – Prawnik w gajerze, Ekolog od żubrów i Franz Kafka – zeszło z tego świata. Każdemu zawiązałam na nadgarstku czerwoną wstążkę, zaobrączkowałam ich jak gołębie. Są moi.

Powinnam wrócić do domu, to by było mądre posunięcie, ale chciałabym jeszcze chwilę zostać i popatrzeć na to, co się będzie działo. Z Kafką poszło szybciej niż się spodziewałam i zostało mi trochę urlopu. Mogłabym się poopalać. Pochodzić po lesie.

Sprawę prowadzi taki jeden podinspektor, który ostatnio, jak widziałam w internecie, dał się sfotografować w krawacie z wizerunkiem Almodovara. Nie wróżę mu sukcesu, naprawdę.

Kiedy jechałam przez las po załatwieniu Trzeciego, pomyślałam sobie, że po raz kolejny z planów nici i w tym roku znowu nie polecę na Kanary. No ale. Ze sprawiedliwością jest jak jest. Każdy to widzi.

Czasem trzeba ją wymierzyć samemu.

*

Prokurator Socha był na kacu, ale udawał, że wcale nie jest. Żuł gumę, choć z pewnością wolałby zapalić. Czekał jednak dzielnie, aż skończy się tutaj cały ten cyrk, zabiorą umrzyka, rozpędzą gapiów, wsiądą do auta i odjadą trochę w las. Wtedy będzie można przystanąć i zapalić wreszcie fajkę. Podinspektor Grzegorz Romanowski z Komendy Powiatowej Policji we Wschowie jako tubylec wiedział, że w lesie nie wolno palić, zresztą każdy głupi to wiedział, łącznie ze wszystkim

prokuratorami tego świata, ale nie wątpił też, że Socha ma takie rzeczy gdzieś. Była sobota, szósta rano. Jeżeli Socha w ogóle położył się tej nocy spać, zrobił to niedawno i w ubraniu, które właśnie miał na sobie. Teraz przestępował z nogi na nogę, żuł tę swoją gumę, udawał, że nie ma tego swojego kaca, i z nieukrywanym niesmakiem gapił się na ciało wyciągnięte z jeziora.

– To trzeci – mruknął.

Romanowski przekrzywił głowę i również zerknął na denata.

– Umiem liczyć do trzech. Chociaż może na to nie wyglądam.

Socha wypluł gumę w papierek i wetknął sobie do ust nowy listek.

– Widziałem twoje zdjęcie w necie. Nie wiesz, że Almodovar na krawacie nie dodaje ci powagi?

– A ty nie wiesz, że żucie gumy działa przeczyszczająco, zwiększa chęć na śmieciowe jedzenie, prowadzi do zaburzeń stawu skroniowo-żuchwowego i jest anty-wege, bo do większości gum pakują owczą lanolinę?

Socha przestał żuć, poruszył szczęką, a po chwili sięgnął po papierek.

– Zacznij prowadzić o tym bloga – wymamrotał, wypluwając gumę.

Stali przez chwilę w milczeniu, opędzając się od much. Wreszcie dołączył do nich jeden z techników, który wetknął ręce do kieszeni fartucha, zdmuchnął z czoła pasmo włosów i sapnął.

– Gorąco.

– Rzeczywiście – powiedział uprzejmie Romanowski.

– To trzeci – odezwał się znowu tamten.

– Będziemy się teraz przerzucać oczywistościami?

– Ja wiem, jest sobota, szósta rano, niektórzy dopiero...

– Do rzeczy.

Technik zrobił obrażoną minę. Był z tych, którzy uważali, że nawet nad trupem należy odbębnić kurtuazyjną gadkę.

– Czy miał wodę w płucach, to wykaże autopsja, ale obstawiam, że nie. Robiłbym na cito, bo już z tym pierwszym się niepotrzebnie zwlekało, dopiero jak drugi...

– Wiem, wiem!

Socha machnął niecierpliwie ręką. Pierwszy topielec, wyrzucony na brzeg przez Lgiń Duży półtora tygodnia temu, był jak ubogi krewny, którego każdy się wstydzi i nikt nie chce przyjąć pod swój dach. Leżał na płyciźnie, nie zdążył jeszcze spuchnąć i zzielenieć, miał na sobie coś, co, wcześniej mogło być ładnym garniturem, a na nadgarstku – czerwoną wstążkę. Nikt się tą wstążką z początku nie przejął, teraz ludzie noszą na nadgarstkach różne charakterystyczne bransolety, które symbolizują sprzeciw przeciwko rasizmowi, przemocy domowej, walkę z nowotworem i tak dalej. Trup nie był nikomu znany i należało go zidentyfikować, co chwilę zajęło, bo dopiero po trzech dniach pojawiła się żona, opalona i szczupła kobieta w eleganckim kostiumie, ze spiętymi wysoko włosami i naciągniętą twarzą.

Okazało się, że topielec to Jan Kornafel, prawnik z Gorzowa Wielkopolskiego, który bynajmniej nie spędzał w okolicach Wschowy urlopu. Żona utrzymywała, że pewnego wieczoru wyszedł na kolację z jakimś znajomym i nie wrócił na noc, ale tym się nie przejęła, bo takie rzeczy już im się nieraz zdarzały. Zaczęła się martwić dopiero wtedy, gdy minęła cała doba, a Jan nie pojawił się ani w kancelarii, ani w sądzie. W domu mogło go nie być, ale w pracy stawiał się zawsze. Poszła na policję, a dzień później usłyszała o topielcu z Lginia. To ona zwróciła uwagę Romanowskiego na czerwoną wstążkę i utrzymywała, że mąż nigdy czegoś takiego na nadgarstku nie nosił. Autopsja wykazała, że zmarłemu najpierw zaaplikowano silny środek

nasenny, a później coś, co przypominało tak zwany „zastrzyk trucizny” – mieszaninę barbituranów, chlorku potasu i pavulonu, przy użyciu której w Stanach wykonywano wyroki śmierci, a w Holandii przeprowadzano eutanazję.

Z odkrycia, jak również z tego, że wieści w cudowny sposób szybko się rozeszły, nikt nie był zadowolony. Ani wschowska policja, ani prokurator, ani letnicy spędzający urlopy w Lginiu, ani właściciele knajp i budek z goframi. Gorzowskiej policji udało się jedynie ustalić, gdzie Kornafel jadł kolację tuż przed swoim zniknięciem, i że z restauracji wyszedł z długowłosą brunetką w czerwonej sukience. Wsiedli do taksówki. Taksówkarz – który oczywiście „nie chciałby mieć teraz żadnych kłopotów” – wysadził ich na placu Staromiejskim. Dokąd poszli stamtąd, nie wiedział, bo on się do cudzych spraw nie wtrąca. Wyglądało na to, że Kornafel i brunetka rozpłynęli się w powietrzu. Mogli wejść do jakiegoś budynku, wsiąść do auta, a nawet do nocnego autobusu, i gdzieś pojechać. Monitoring miejski nic tu nie pomógł. Nie ustalono, kim była brunetka i gdzie mieszkała. Za kolację zapłacił on.

Zanim wysnuto jakąś sensowną hipotezę, w Lginiu Dużym pojawił się kolejny „topielec”, również z czerwoną wstążką zaplątaną na nadgarstku. Tym razem był to znany policji buńczuczny ekolog, Dariusz Michalski. Wiecznie niezadowolony, wiecznie protestujący, wiecznie w opozycji – czasem chyba sam nie wiedział do kogo. Przykuwał się do drzew, chodził nago z transparentami, na których wypisywał hasła o powrocie do natury i konieczności odejścia od chemicznych mydeł i domestosu, a raz na jakiś czas dla przykładu lądował za kratkami. Na dobę, na kilka dni, na tydzień. Albo dostawał grzywnę, o której zazwyczaj trąbił na całego Facebooka. Mieszkał samotnie w Lesznie, nie miał wielu znajomych i raczej bratał się tylko z „synami i siostrami ziemi”,

czyli ludźmi, którzy także przykuwali się do drzew. Czym się zajmował na co dzień – nikt nie wiedział. Nikt nie wiedział także, kiedy dokładnie wyszedł z domu po raz ostatni i z kim. Udało się ustalić tyle, że zmarł od tej samej mieszaniny barbituranów, chlorku potasu i pavulonu. I że na jego nadgarstku tkwiła czerwona wstążka...

A teraz mieli trzeciego umrzyka i trzecią cholerną wstążkę. Jak na niewielkie jezioro, otoczone lasem i małymi wioskami – dość dużo. Podinspektor Romanowski wcale się nie cieszył z nagłego rozgłosu, jaki zaczynała zdobywać wschowska policja. Wiedział, że z tego nic dobrego nie przyjdzie. Lgiń zarabiał na turystach, których ostatnio było tutaj coraz więcej, bo teraz ludzie woleli spędzać wakacje w Polsce, skończył się szał na oferty *all inclusive* w Egipcie, Turcji i Tunezji. Tylko co się stanie, jeśli ci turyści wyjadą? Romanowski musiał przyznać, że jezioro z trzema świeżutkimi „topielcami", którzy najpewniej padli ofiarami tego samego mordercy, było kiepskim wabikiem.

Westchnął ciężko. Spojrzał na Sochę, który z kolei niechętnie przyglądał się technikowi.

– No dobrze, na cito. Zaraz powiem staremu. Coś ciekawego dookoła?

– To samo, co zwykle. Ktoś podjechał autem, przeciągnął gościa do wody i tak zostawił. Raczej na płyciźnie. Żeby wrzucić człowieka na głębszą wodę, trzeba wypłynąć na jezioro, a to zajmuje czas i jest pracochłonne.

– Jezioro nie jest znowu aż takie duże, więc jak to możliwe...

– Za każdym razem ten ktoś wybierał inne miejsce. Po prostu. Zazwyczaj zarośnięte i rzadko uczęszczane. Pomijając tego ekologa. Jego wrzucono przy częściej uczęszczanym zejściu, jak gdyby morderca chciał sobie ułatwić robotę. Pewnie to dlatego, że ekolog był cholernie ciężki.

– Pewnie tak. Ślady opon?

– Za każdym razem inne.

– Oczywiście.

Socha skrzywił się, kiedy ofiarę przełożono na nosze. Zamienił kilka słów z pozostałymi technikami i jakimś młodym policjantem, którego imienia Romanowski za nic nie mógł zapamiętać. Miał wrażenie, że ci wszyscy młodzi policjanci wyglądają teraz tak samo, a ponieważ życie we Wschowie było i tak dość nudne, urozmaicał je sobie chociaż oryginalnymi krawatami, które lubił uznawać za ekstrawaganckie. Jak ten najnowszy, z Almodovarem. Nie wszyscy podzielali jego entuzjazm w tej kwestii. Romanowski przez chwilę słuchał, jak Socha tłumaczy przez telefon patologowi, że sprawa jest pilna i cokolwiek teraz robi, ma to natychmiast rzucić. A później wsiedli do auta i, tak jak się spodziewał, zatrzymali się w lesie na fajkę. Palił prokurator. Oparł się o maskę auta i zapatrzył w korony drzew.

– Czerwone wstążki i „zastrzyk trucizny". Ja pierdolę, no nie wierzę. Akurat w Lginiu? To już nie było ciekawszych miejsc?

– Poczytaj kryminały. Trzy czwarte z nich to książki o zabitych dechami dziurach, gdzie bociany mają zajezdnię. Wiesz, że niby na wsi nuda, to się wszyscy zaczynają mordować, a do tego większość mieszkańców jest ze sobą spokrewniona, zachodzi mutacja genów i ludziom odbija.

Socha zaciągnął się dymem.

– Grześ, jest, do kurwy, ja wiem, nie lubisz tego słowa, niemniej mamy godzinę… szóstą… chwila… a tak, trzydzieści. Co ty teraz uprawiasz, jakąś sobotnio– poranną filozofię egzystencjalną? Bo nie nadążam. Najpierw było o tym, że gumy do żucia nie są wege, co mnie stawia w jednym szeregu z mordercami zwierząt, a teraz...

– Tak tylko mówię.

– Jasne. Czy ty myślisz o tym, o czym ja myślę, i o czym my obaj nie chcemy, ani w ogóle nikt nie chce, mówić głośno?

– Chodzi ci o to, że mamy tu serial?

– Tak. Szkoda że nie *Ripper Street*. Zniósłbym chyba nawet *Detektywa w sutannie* i *Policjantów z Miami*…

– Nie wydaje mi się.

– Co? – Socha odpalił kolejnego papierosa, a niedopałek poprzedniego starannie przydeptał i schował do kieszeni. Romanowski był pewny, że gdyby nie jego obecność, pet zostałby na ścieżce.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli serial. Ale mogę się mylić – odezwał się znowu.

– Ale możesz też mieć rację. Coś ci chodzi po głowie?

– Niestety coś, co pozornie nie ma żadnego związku z tą sprawą. A już na pewno nie stanowi dowodu. Czyli jak zwykle.

– I co to takiego?

– Eutanazja w Holandii.

– Aha, to rzeczywiście. Tak, tak, teraz widzę, że eutanazja w Holandii wiele wyjaśnia.

Socha uniósł dłoń i pokazał kciuk.

– Mówiłem, że pozornie nie ma to związku ze sprawą.

– A „pozornie" jest tu jednak użyte, jak dla mnie, mocno na wyrost. No wybacz.

– Być może nie.

– Będziesz mnie teraz wkurwiał – wiem, wiem, nie lubisz tego słowa – czy powiesz, o co chodzi?

– O eutanazję w Holandii.

– Ach, tak.

– Pamiętasz, co wykazały poprzednie raporty z autopsji? Prawnikowi i ekologowi zaaplikowano coś na kształt „zastrzyku trucizny". Mieszanka barbituranów, chlorku potasu i pavulonu, a dokładnie to się chyba nazywa pankuronium. Coś takiego

podaje się w Holandii pacjentom, którzy chcą się poddać eutanazji.

– Tak...

– Kojarzysz Jadzię Markowską? Z Zaborówca?

– Tak?

– Czyli nie kojarzysz. Nic dziwnego, jesteś strasznym gówniarzem.

– Mam czterdzieści lat – oświadczył prokurator z powagą.

– Niesamowite. Ja o pięć lat więcej od ciebie, więc podtrzymuję. Poza tym urodziłeś się i mieszkałeś, z tego co pamiętam, w Poznaniu, czyli już zupełnie nic nie możesz wiedzieć. Pewnie nawet nie kojarzysz, gdzie jest Zaborówiec.

– No...

– Właśnie. To taka wiocha tu niedaleko, można z Lginia przejść przez las, leży na granicy lubuskiego z wielkopolskim. Jadzia Markowska mieszka pod Zaborówcem...

– Mówiłeś, że to mała wieś. Można w ogóle mieszkać pod Zaborówcem?

– Ona mieszka. I mieszkała całe życie. Pod lasem, kawałek od pensjonatu Mścigniew. Pamiętam taką sprawę sprzed trzydziestu lat. Ja sam miałem wtedy piętnaście, skończyłem dopiero podstawówkę. Ale tu w okolicy każdy o tym gadał...

Romanowski pamiętał dobrze tamto lato, przełomowe, po którym wszystko miało być inne. Nowa szkoła, nowi znajomi, nowe plany. To, co „nowe”, już się zaczęło, bo Romanowski mówił inaczej, wyglądał inaczej i nawet myślał jakoś inaczej. Chyba przez chwilę, kiedy razem ze swoim najlepszym kumplem, Wojtkiem Suzinem, opuścili mury starej szkoły, poczuł się prawie dorosły. A później wyszła na jaw tamta sprawa i przestrzeń wokół niego także się zmieniła. Ludzie byli przejęci, niezdrowo zaciekawieni, przestraszeni, a nawet załamani, że coś tak okropnego zdarzyło się tuż obok, w lesie,

który dobrze znali i który – jak się wydawało – nie mógł ich niczym zaskoczyć. Jadzia Markowska, uboga dziewczyna z Zaborówca, żona równie ubogiego Zenona i młoda matka, została w tym lesie napadnięta, pobita i brutalnie zgwałcona przez trzech nastolatków. Mówiło się, że chłopcy rozbili namioty gdzieś pomiędzy Lginiem i Zaborówcem, przy dzikiej plaży. To nie były jeszcze te czasy, kiedy wszędzie stawiało się płoty i wszystko kontrolowało. Chłopców ktoś widział w Lginiu w sklepie, a później raz we Wschowie, jak zaopatrywali się w alkohol. Byli tu obcy, więc mogli zwrócić na siebie czyjąś uwagę albo nie, jak wielu turystów. Ale najprawdopodobniej z nikim nie rozmawiali, nie paradowali w trójkę po wsi i raczej siedzieli przy swoich namiotach nad jeziorem. Pewnie pili, może grali w karty, może sprowadzali sobie jakieś dziewczyny. Nikt nie wiedział.

A jednak kiedy napadnięto Jadzię, każdy miał pewność, że to oni, choć sama dziewczyna dziwnie się zacięła i nic nie chciała powiedzieć. Podobno się zmieniła albo – mówiąc wprost – oszalała. Nie chciała mówić o samym zdarzeniu, a przede wszystkim długo wypierała ze świadomości fakt, że jej mąż, który przybiegł na ratunek, został przez tych samych oprawców zamordowany. Dźgnęli go nożem i wrzucili do jeziora, wypłynął dopiero po dwóch dniach. Jadzia zamknęła się w domu. Miejscowi musieli przysłać do niej milicjanta, bo sama nie zamierzała się zgłosić. Po gnojkach nie został ślad, a to nie były czasy namierzania telefonów komórkowych, badań DNA i monitoringu na trasie i stacjach benzynowych. Poza tym Jadzia konsekwentnie odmawiała współpracy. Chyba wstydziła się tego, co ją spotkało. Nie umiała patrzeć ludziom w oczy. Zamykała się w chacie, żyła dzięki kilku kurom i temu, co przynosili jej sąsiedzi, ale... miała jeszcze córkę. I tę córkę jakimś cudem zdołała posłać do szkoły, a tam się okazało, że

mała jest bardzo bystra. Ludzie współczuli Jadzi – stronili od niej także, bo każdy podświadomie ucieka od traum, swoich i czyichś – ale przede wszystkim jednak współczuli. Ona pewnie tego nie widziała albo nie chciała widzieć. A może widziała i jednocześnie wiedziała, że kieruje nimi litość i pamięć o tym, co zaszło? Może wstydziła się jeszcze bardziej, może musiała dzień w dzień przełykać na nowo swoje upokorzenie? Ludzie w każdym razie na swój sposób próbowali pomóc, zrzucali się na książki dla dziewczynki, a jakiś nauczyciel wziął ją pod swoje skrzydła i zachęcał do nauki. Udało się. Mała zdała do liceum, a później na studia. Wyjechała za granicę. Jadzia nadal stroni od ludzi, ale chyba jej się polepszyło, bo czasem zamienia z kimś parę słów, chwali się córką, że taka zdolna, że ma dobrą pracę, ale o matce pamięta, przysyła pieniądze, raz do roku odwiedza... Niedużo mówi o tej dziewczynie, nigdy nie podaje szczegółów z jej życia, ale jest szalenie dumna. Z akurat TAKIEJ córki.

Prokurator Socha, wciągnięty w opowieść, sięgnął po paczkę papierosów i z niezadowoleniem skonstatował, że jest pusta. Romanowski poluzował krawat z wizerunkiem Fridy Kahlo.

– No dobra, do rzeczy, bo fajki mi się skończyły i napiłbym się kawy. Dlaczego mi o tym opowiadasz? Chodzi o tę córkę, tak? Kim ona jest?

– Lekarzem. Mieszka i pracuje w Holandii.

Socha gwizdnął, a podinspektor otarł pot z czoła. W lesie robiło się duszno, jak to zwykle bywa w lipcowy upalny poranek.

– Okej – powiedział ostrożnie prokurator. – Ale ostatecznie nie ma nic dziwnego w byciu lekarzem w Holandii.

Romanowski skinął głową.

– Nie ma.

– Ale?

– Ale kiedyś była taka sytuacja, że Jadzia przyszła na komendę, bo ktoś jej niby ukradł dwie kury. Wydawała się zdenerwowana i pobudzona, a ponieważ uchodzi powszechnie za wariatkę, to każdy z nią uważał. Nikt jej nie chciał jeszcze bardziej denerwować. A z drugiej strony, co mieliśmy robić? Szukać złodzieja dwóch kur? Pewnie, ja wiem, że każda kura jest wartościowa i dla niektórych to majątek, moja babcia też pochodziła ze wsi. No ale... Ta część Zaborówca, w której mieszka Jadzia, podlega nam. Kradzież to kradzież. Szkoda mi się jej zrobiło, chociaż byłem na sto procent przekonany, że te kury gdzieś polazły i tyle. Niemniej odwiozłem ją do domu i próbowałem jakoś po drodze zagadywać, bo chlipała.

– I co?

– I powiedziała, że tęskni za córką, ale ta córka nie może do niej za często przyjeżdżać, bo dużo pracuje, w szpitalu i jeszcze w takim miejscu, gdzie wysyłają ludzi nieuleczalnie chorych. Czyli pewnie w jakimś hospicjum.

– I tobie się wydaje, że córka Jadzi wysyła tych chorych ludzi, w tej Holandii, do lepszego świata?

– Nie wiem, ale przyznasz...

– Przyznam – przerwał mu Socha, z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – Ale w takim razie co z nią jest nie tak, że się w ten sposób podłożyła? Niby inteligentna, wykształcona kobieta. I taką głupotę zrobiła. Dlaczego? Albo nie mów, zgadnę. Nie spodziewała się, że jakiś gościu w głupim krawacie będzie jeszcze pamiętał tamtą sprawę?

– To nie jest głupi krawat, tylko Frida. Co do lekarki, to raczej nie spodziewała się czegoś innego. Że matka komukolwiek o niej opowiada. I że te dwie rzeczy można skojarzyć.

– Ale i tak ryzykowała. Trzy trupy w tym samym jeziorze, jakieś czerwone wstążki...

– Zenon Markowski, mąż Jadzi, jak już wypłynął na powierzchnię, miał na sobie intensywnie czerwoną koszulę. Pewna kobieta go zobaczyła, turystka, o poranku. Chciała iść popływać, myślała, że to boja.

– Jezu!

– Właśnie. Myślę, że stąd ta wstążka. Morderca... Morderczyni załatwiła swoje osobiste porachunki. I potrzebny był jej jakiś symbol.

– Ty jesteś przekonany, że to ona?

– Nie wiem. Nie. Tak. Chyba tak. Myślę, że ona tutaj jest, u matki.

– Ale przywoziła ich z różnych miejsc. Ten ostatni to nie wiem, ale poprzedni – Gorzów, Leszno… No dobra, nic nie mów, przecież sam widzę. Wszystko to jednak dość blisko siebie.

– Właśnie. W każdym razie myślę, że teraz jest tutaj. Tak mi podpowiada intuicja. Że ona chciałaby choć przez chwilę się tej sytuacji poprzyglądać. Poczucie krzywdy i chęć zemsty musiały w niej narastać latami, więc teraz na pewno czuje satysfakcję. Nie chce uciekać jak tchórz, bo przecież jest górą. Wygrała. Oczywiście, nie mam dowodów, ale też nie chciałbym mieć później poczucia straconego czasu.

– Pójdziesz tam? A jeśli ją wystraszysz? Wtedy mamy przesrane, wiesz o tym.

– Tak czy inaczej mamy, bo żadnych konkretów w tych sprawach na razie nie widać. Wiesz, to nie jest deux ex machina…

– Błagam…

– Nie twierdzę, że idąc tam, sprowokuję ją do przyznania się i będziemy sobie mogli przybić piątkę. Róbmy swoje. Autopsja tego trzeciego, jego dane, gdzie mieszkał, jak się nazywał, co robił i tak dalej. Szukajmy między nimi powiązań. Sprawdźmy, czy się znali. Czy byli tutaj trzydzieści lat temu. Razem.

– Skoro wtedy nie udało się tego ustalić...

– Wtedy nikt nie wiedział, kogo szukać. Każdy mówił tylko o „trzech chłopakach”. A co to znaczy? Nic. Teraz jest inaczej. Może ich rodzice jeszcze żyją, może będą w stanie powiedzieć, czy trzydzieści lat temu wyjeżdżali razem pod namiot. Wiemy, że przynajmniej pierwszy i drugi pochodzili z różnych miast, ale to o niczym jeszcze nie świadczy. Mogli mieć ze sobą coś wspólnego. Hobby, na przykład, które ich połączyło. To da się sprawdzić. Musi być jakiś sposób. Jeśli mam rację, to przecież jej się...

– Jakoś udało ich znaleźć.

– Właśnie.

– Ale ty nie chcesz czekać, aż różne możliwości zostaną sprawdzone.

– Tak czy inaczej będę musiał. Teraz jednak... jeśli ona wróci do Holandii, to będzie ją trudno ściągnąć z powrotem, zwłaszcza przy słabych dowodach.

– Wolisz ją wziąć z zaskoczenia, przestraszyć i zobaczyć, co się stanie?

– No... chyba tak.

– Dobrze. Tylko nie wdepnij w jakieś gówno przy okazji.

– Postaram się.

Romanowski odwiózł Sochę do Wschowy, wlał w siebie dwie mocne kawy, wydał odpowiednie dyspozycje, zbył milczeniem czyjeś: „Kurwa, może to jednak seryjny?” i pojechał do Zaborówca. Jadzia Markowska mieszkała w niskim murowanym domku, teraz bardziej zadbanym niż kiedyś. Pewnie dzięki pieniądzom od „Dorotki”. „Tam, w Holandii, to podobno mówią na nią *Doris*, panie inspektorze”. Doris. Lekarka. Dziecko skrzywdzonej matki, z traumą wdrukowaną w układ nerwowy od najmłodszych lat.

Zanim zapukał, pomyślał, że w zasadzie ją rozumie.

*

Podinspektor Grzegorz Romanowski. Z tej cholernej Wschowy. Koszula, choć jest chyba czterdzieści na plusie, i krawat, tym razem z nadrukowaną twarzą Fridy Kahlo. Włosy zaczesane na bok, twarz jakby podobna do Malkovicha, ale z filmu „Być jak John Malkovich", czyli taka trochę nieobecna i nieogarniająca. Serio, kurwa, on tu teraz jest? On nie może tu być. Nie może rozmawiać z Jadzią, która mówi o mnie, o pracy w Holandii, o byciu lekarzem, o byciu dumną z córki – lekarza, o tym, że nie wie, kto zabił jej męża przed laty, ani w ogóle co się z nim stało, ani z nią, ona nie pamięta kto napadł, nie chce pamiętać, nie widziała, nie zdążyła się przyjrzeć, nie, naprawdę wcale nie wie, nie kłamie, już trzydzieści lat temu mówiła, że nie wie i dlaczego on się jej teraz czepia.

Właśnie, dlaczego się czepia? Co mu się udało skojarzyć? Gdzie popełniłam błąd? Wstążka? Ślady butów? Niemożliwe. Za każdym razem miałam na stopach inne buty, włożyłam rękawiczki, wynajęłam trzy samochody, w trzech wypożyczalniach, w trzech miastach, zaparkowałam je na trzech różnych parkingach, pod trzema średniej klasy hostelami, w których nocowałam. Gorzów, Leszno, Poznań. Trzy miasta, trzech facetów, trzy peruki, trzy rodzaje cieni do powiek i trzy kolory pomadek, kilka spotkań, telefonów, SMS-ów, flirtów łagodnych i niełagodnych, i wreszcie ta jedna kolacja, po której wszystko miało się zakończyć, a raczej trzy kolacje, po których trzy razy miał nastąpić koniec. Tak długo badałam teren, krążyłam wokół nich, starałam się ich poznać, uwieść, wreszcie – zabić. Zajęło mi to trzy lata. Trzy lata uwodzenia, zdobywania zaufania, przełykania obrzydzenia, udawania, grania ról. Trzy taksówki, które musiały zaparkować w wyznaczonym przeze mnie miejscu, trzy razy: „Chodź, to

tylko kawałek, a teraz wsiądź, nie będziesz żałował", trzy fałszywe życiorysy i trzy fałszywe dowody. Danuta, Donata, Daria. Trzy razy „D", tak sobie wymyśliłam, chciałam mieć jakąś rozrywkę.

„Zastrzyk śmierci" mnie zdradził? Matka mówi o Holandii. O tym, że jestem lekarzem...

Tak, to musi być to. Holandia i trzech mężczyzn, którzy dawniej byli nastolatkami.

I Jadzia Markowska.

I Romanowski, który jednak wszystko skojarzył, a teraz – wiem to – nie da mi spokoju.

Wiozłam ich tutaj w nocy, nad to jezioro, które kiedyś, jako zezwierzęceni gówniarze, dobrze znali. Z trzech różnych miast, do trzech różnych brzegów. Nie musiałam. Mogłam porzucić ciała gdziekolwiek, mogłam ich nie obrączkować czerwoną wstążką. Ale chciałam porwać się na symboliczny gest. Musiałam jakoś zaznaczyć swoją obecność, swoją nienawiść za to, co zrobili i kim się przez nich stałam.

Za to, że zgwałcili moją matkę i zabili ojca.

Bo chcieli zobaczyć, jak to jest.

Bo nudziło im się na wakacjach.

W jakimś zasranym Lginiu, w dziurze zabitej dechami, pod namiotami, gdzie pili wódkę, a może nawet zwykły bimber, bo na nic innego nie mogli sobie pozwolić, był przecież rok osiemdziesiąty siódmy. To nie te czasy co teraz, kiedy wystarczy wejść w Lidlu na monopolowy i kupić wyborową, a przy okazji zostać zarejestrowanym przez kilka kamer, bo permanentna inwigilacja. Dla zachowania bezpieczeństwa. No więc siedzieli w tym Lginiu, w tym lesie, gdzie chlali, gdzie palili i gdzie chcieli uprawiać seks, ale jakoś nie było z kim, bo wszystkie dziewczyny ich olały.

Zobaczyli ją między drzewami i okazała się całkiem ładna i całkiem młoda. Nie wiedzieli, kim była, że miała dziecko i męża. I że ten mąż zechce ją ratować, bo jest akurat w pobliżu, zbierają jagody, które później spróbują sprzedać przy drodze, w końcu dziecko – czyli ja – małe, a pieniędzy też mało i trzeba się jakoś ratować, chociaż jagodami, chociaż grzybami, przecież znają ten las, nic się tu nigdy złego nie działo...

Napadli ją we trzech. Kiedy pojawił się ojciec, jeden z nich wyciągnął nóż. Nie tracili czasu. Później wrzucili ciało ojca do jeziora, wypłynęło dopiero pod dwóch dniach. Który to zrobił? Kto wyciągnął nóż i zadał cios? Czy był to Prawnik, Ekolog, czy może Kafka? Matka nie wie. Gwałcili ją później kilkakrotnie, a na koniec wrzucili w dzikie maliny. Nigdy już nie była tą samą osobą. Nie potrafiła powiedzieć, kto to zrobił, jak się nazywali, jak wyglądali. Zezwierzęceni gnoje zwinęli namiot i uciekli do domów. Uniknęli kary, tak jak unika jej wielu im podobnych.

Matce wszyscy współczuli, ale też woleli trzymać się od niej z daleka. W małej społeczności gwałt to nie tylko krzywda, lecz także i wielki wstyd. Chciała odejść, ale nie miała pieniędzy i nie miała dokąd. Jej krzywda i wstyd przeszły na mnie. Takie było moje dzieciństwo, takie było moje życie. I byłoby zawsze, gdyby nie nauczyciel, który mną pokierował. Zostałam lekarzem. Pracuję w Holandii, leczę ludzi. I zabijam ludzi. Tych, którzy chcą odejść, którzy się na to świadomie decydują. Umiem przygotować „zastrzyk trucizny” o wiele lepiej i szybciej, niż zaparzyć dobrą herbatę.

Umiem to robić. Umiem zabijać.

A teraz muszę tam iść, bo głos matki się trzęsie, po raz trzeci mówi, że nie wie, co się stało, nie kłamie i dlaczego on ją o to pyta, to przecież stare dzieje i ona nie chce pamiętać. Podinspektor Romanowski mówi cicho i łagodnie, coraz łagodniej, nie jest złym gliną.

Wchodzę do kuchni, w której siedzą. Nie ma sensu udawać, że nic nie zrobiłam i że wrócę do Holandii truć ludzi na ich własne życzenie.

Siadam przy stole. Matka płacze. Romanowski patrzy mi w oczy. Wiem, co zaraz powie, ale przez chwilę mam wrażenie...

Mam wrażenie, że mnie rozumie. ■

BARTOSZ SZCZYGIELSKI

SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA WSZYSTKICH

Fot. Maksymilian Rigamonti/ Wydawnictwo WAB

BARTOSZ SZCZYGIELSKI
Dwukrotny laureat za opowiadanie w konkursie organizowanym w ramach Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu. Wielbiciel dobrego filmu, książki i tatuażu. „Aorta”, jego debiut powieściowy, otrzymała Nagrodę Specjalną im. Janiny Paradowskiej ufundowaną przez Fundację Świat ma Sens. W 2017 r. ukazała się kolejna powieść „Krew”.

Świeże?

Staruszka stała obok wystawki z owocami. Jej znaczona plamami wątrobowymi skóra niebezpiecznie szybko zbliżała się w stronę cytrusów.

– Słucham?

– Pytałam, czy świeże?

Sprzedawczyni skinęła głową i wróciła do zamiatania podłogi. Chciała powiedzieć kobiecinie, że ostatnia dostawa owoców przyjechała w zeszłym tygodniu, a ona przed godziną odpędzała ze stoiska muchy wielkości landrynek. Chciała też poinformować ją, że za chwilę zamykają sklep i powinna się pośpieszyć. Chciała, ale nie mogła. Kierownik pozwalał jej na wiele, ale dwóch rzeczy nie tolerował nigdy. Wypraszania klientów oraz mówienia im prawdy o produktach. Ostatnio ciągle chodził wkurzony. Podejrzewała, że to przez powiększającą się pustą przestrzeń na jego głowie i żonę, która opróżniała sklepową kasę.

Nadchodzące rozwolnienie, które z całą pewnością dopadnie staruszkę, nie było warte ryzyka utraty stałego źródła dochodów.

– Wezmę dwie. Dobre są?

– Dobre. Pani weźmie trzy. Promocję mamy.

Wskazówka wiszącego nad drzwiami zegara przeskoczyła na dwie po dziewiątej. Od trzech minut powinna być już na zewnątrz. Nawet padający od godziny deszcz nie zepsułby jej humoru. Im dłużej będzie siedziała w sklepie, tym większa szansa, że nie zdąży na wieczorny seans. W soboty leciały

komedie romantyczne. Dziś Hugh Grant grał obrzydliwie bogatego, dziecinnego i samolubnego faceta. Wypisz wymaluj jej mąż, minus kwestia pieniędzy i fakt, że przyłapała go z białą prostytutką.

Był tradycjonalistą.

– Zapraszam. – Odłożyła miotłę i usiadła za kasą.

Od upragnionej wolności dzieliło ją podliczenie utargu, zamknięcie sklepu i wyrzucenie śmieci. Maksymalnie piętnaście minut. Zanim wróci do domu, zacznie się pierwsza przerwa reklamowa. Nie straci za wiele. Poprawiła stołek, który straszył kawałkami wystającej z siedziska gąbki. Co wieczór zbierała je z podłogi i dopychała ponownie do środka. Nie mogła liczyć na nowy, ale cieszyła się, że nie musi stać. To lepiej niż ostatnio. W poprzednim sklepie nie miała nawet spersonalizowanego fartucha. Nie bolało jej nawet to, że imię wyhaftowano z błędem. „Zofja" podobało się jej nawet bardziej.

Nabiła pomarańcze. Staruszka zaczęła wyciągać drobne z portmonetki. Zofia mogła rozprostować plecy. Po skórze przeszedł jej dreszcz. Poczuła zimny powiew powietrza, znak, że drzwi do sklepu stanęły otworem, a do środka wszedł kolejny klient.

– Zamknięte już – odważyła się po raz pierwszy Zofia. Naprawdę pragnęła być już w domu. – Zapraszam jutro.

– Jezusie Nazareński.

Portfel wylądował na blacie. Po metalowej powierzchni rozsypały się drobniaki. Zofia westchnęła głośno i zaczęła podnosić jednogroszówki. Czas nie działał na jej korzyść.

– Tylko proszę się pośpieszyć – rzuciła, nie patrząc na nowego klienta. – Powinnam już zamykać.

Staruszka odsunęła się od blatu, przepuszczając przybysza. Zofia otworzyła kasę i włożyła do środka odliczoną za pomarańcze kwotę. Zatrzasnęła głośno szufladę z pieniędzmi,

oderwała paragon i rzuciła go wprost pod dłonie nowego klienta. Dopiero teraz zauważyła, jak ogromne były. Grube palce, zrogowaciała skóra i brud pod paznokciami. Widywała klientóww gorszym stanie.

Krew.

To krew ją przeraziła.

Odrywająca się gęstymi strumieniami od ciała. Niemal każdy centymetr monstrualnego cielska pokrywała brunatna breja. Spojrzała na podłogę. Od wejścia ciągnął się szeroki, tłusty ślad, którego Zofia nie domyje przez tydzień.

Teraz na pewno nie zdąży na film.

*

Ta dupa z telewizji miała jednak rację.

Deszcz intensywnie przypominał o tym, że lato trwało w najlepsze. Metalowy daszek, umieszczony na dwóch rurkach i kawałku deski przyczepionej do ściany, dawał iluzję schronienia. Przeciekał, a wielkie zimne krople spadały wprost na buty, ale można było pod nim wytrzymać cztery minuty. Komisarz nie lubił długich przerw na papierosa i długich rozmów.

– Która dupa?

Nie miał wyboru. Nie tym razem. Spędzi z tym człowiekiem następnych kilka godzin, najwcześniej wyjedzie z miasteczka rano. O ile mu się poszczęści. Musiał poznać lokalnych policjantów. Śmierdzieli niewyprasowanymi i przepoconymi koszulami, ale znali mieszkańców jak nikt inny.

– No ta, co pogodę zapowiada. – Policjant splunął pod nogi. – Ta z dużymi cyckami. Mówiła dziś, że będzie padało całą noc. I proszę. Pada.

– Faktycznie.

Cisnął papierosa na równo przyciętą trawę. Porastała cały teren wokół domu i w ogóle do niego nie pasowała. Nawet w nocy było widać, że ktoś przyłożył się, by każde źdźbło wyglądało na zdrowe. Komisarz obejrzał się za siebie. Trawnik odcinał się od pożółkłych ścian, obsikanych przez dwa psy biegające teraz wokół posesji. Kiedy przyjechał na miejsce, zastał zwierzaki uwiązane do budy. Rzucił im kanapkę z szynką, by nie zagryzły go, gdy odpinał je od łańcucha. Mieszańce właśnie rozkopywały mokry trawnik, a on ani przez chwilę nie żałował, że pozbył się kolacji.

– Miejmy to już za sobą.

– Zapraszam komisarzu. – Chłopak otworzył drzwi do domu. – Proszę, ja już tam byłem.

Otoczył ich metaliczny zapach, który od zawsze przypominał ludziom, że nie są nieśmiertelni. Woń krwi trudno było pomylić z czymkolwiek innym, a patrząc na stan korytarza, to, co dotarło do nozdrzy komisarza, z całą pewnością nie było zapachem środka czystości. Ściany uginały się pod dewocjonaliami pamiętającymi czasy, gdy Karol Wojtyła podglądał maturzystki w damskiej szatni.

– Łazienka jest w głębi.

Komisarz czuł na karku gorący oddech policjanta. Parzył go tak samo jak myśl o tym, że ten podlotek, zaledwie starszy posterunkowy, będzie odgrywał przed nim wszechwiedzącego glinę. Kogoś, kto wie o zdarzeniu wszystko, choć do tej pory oglądał tylko obite ryje lokalnych żuli. Zastanawiał się, jak długo wytrzyma tę szopkę.

– Gdzie są wszyscy?

– Nie rozumiem?

– Technicy, reszta ekipy, no i prokurator – doprecyzował. – Popełniono tu morderstwo, tak?

Głębokie westchnienie, które wydobyło się z ust posterunkowego, mogło oznaczać wiele rzeczy. Zmęczenie, zniechęcenie, astmę lub nadciągające problemy. Spodziewał się tego ostatniego.

– Komisarzu Lebowski…

– Lebawski – poprawił go. – Komisarz Daniel Lebawski. Częsty błąd.

– Przepraszam, to pewnie przez ten film.

– Ta. – Nie wiedział o czym chłopak mówi. Ostatni film, jaki oglądał, pochodził z wizji lokalnej i nie było to przyjemne doświadczenie. – Więc jak? Ściągacie mnie na ten koniec świata samego? Gdzie reszta?

– Jadą, ale trochę im to jeszcze zajmie. – Zdjął czapkę z głowy. – Prokurator utknął przy jakiejś sprawie na Woli, a technicy zabezpieczają ślady u pojeba, który zrobił sobie w piwnicy skład amunicji. Będą, tylko nie wiem kiedy. Wszystkim się zająłem. No i nie jesteśmy na końcu świata.

Wyprzedził go, znikając w korytarzu. Daniel uraził jego dumę. Chłopak przynależał do miasteczka i prawdopodobnie nie wyjeżdżał poza jego obszar bez poważnego powodu. Bardzo mu tego w tym momencie zazdrościł. Ściągnięto go z dyżuru i gdyby nie ten incydent, siedziałby spokojnie w cieple i uzupełniał raporty. Nie pomagała świadomość, że był zaledwie dwadzieścia kilometrów od granic Warszawy.

Plecy starszego posterunkowego tarasowały wejście do łazienki. Chłopak przesunął się, gdy poczuł palce komisarza uderzające o jego pagony. Lebawski pożałował swojego pośpiechu. Wszystko wokół nich było nietrafione. Beżowe kafelki wyglądały na produkt przywieziony jeszcze z RFN, a i tak stanowiły najnowszy element wyposażenia. Bateria przytwierdzona do ściany ociekała rdzą, a światło wiszące pod sufitem ledwo oświetlało pięć metrów kwadratowych, na

których zmieściła się jeszcze wanna. I to w niej czekała na komisarza niespodzianka.

Worek na śmieci zawiązany sznurkiem, ale nie na tyle szczelnie, by jedna z kości nie wystawała na zewnątrz. Wypolerowana, błyszcząca i bez żadnego śladu mięsa czy ścięgien. Ktoś musiał czyścić ją przez długie godziny, by usunąć każdy element przypominający, że należała kiedyś do żywej istoty. Worek wyglądał jakby miał zaraz pęknąć i rozsypać w wannie całą swoją zawartość. Jej emaliowana powierzchnia była pełna rdzawych śladów. Kropek i zacieków, które w połączeniu z brudem tworzyły dzieło godne MoMA.

– Słucham? – Lebawski zdał sobie sprawę, że chłopak coś mamrotał.

– Widywał pan gorsze rzeczy, co?

– Ta.

Podszedł ostrożnie do krawędzi wanny. Podłoga wyglądała na czystą, co nie pasowało do całej reszty łazienki. Powinien zaczekać, aż pojawią się technicy, ale nie miał ochoty siedzieć całą noc w zatęchłej dziurze, gdzie brud roznosił się z każdym podmuchem wiatru. Lebawski nachylił się nad workiem i przysunął nos do wystającej kości.

– To prawda? To, co mówią o tamtym zatrzymaniu?

Chłopak ściskał w dłoniach swoją czapkę i próbował ją wyżąć. Zdenerwowanie aż tryskało z porów jego skóry.

– Którym zatrzymaniu? – Miał dość rozmów na ten temat i bardzo liczył, że dzieciak mu odpuści.

– Wie pan, komisarzu. Tego handlarza. Dilera, którego pobił pan gazrurką. Podobno skonfiskował pan kontener koki.

Trzydzieści dwa kilogramy. Ogromny sukces polskiej policji, który przewalcowała każda telewizja w kraju. Dostał pochwały nawet od księdza celebryty, który wspomniał o jego wyczynie między kolejnym zdrowaśkami, odmawianymi wspólnie ze

staruszką przyklejoną do słuchawki. Wspomniało o nim nawet BBC, pokazując zdjęcia funkcjonariuszy w kamizelkach kuloodpornych i kominiarkach na twarzy. Lebawskiego też pokazali. W pełnej krasie. Ilość narkotyków, które udało mu się przechwycić, rosła w tempie logarytmicznym. Nie panował nad tym.

– To nie był kontener.

– Ale pobił go pan? Na śmierć? – dopytywał. – Słyszałem, że jego kumple wyznaczyli nagrodę. Pół miliona.

Oczy posterunkowego rozbłysły. Pieniądze zawsze potrafiły podnieść temperaturę dyskusji, a wymieniona kwota nawet Lebawskiemu podsuwała do głowy zdrożne myśli. Mógłby spłacić kredyt, a jego kot przez kolejne dziewięć żyć zajadałby się tuńczykiem. I to błękitnopłetwym. Plotki o cenie za głowę komisarza rozniosły się po Warszawie i dotarły nawet do uszu matki Daniela. Kobieta w warzywniaku podbiła wtedy jego wartość do dwustu tysięcy. To było ponad pół roku temu. Lebawski wątpił, by w ogóle jakakolwiek nagroda czekała na śmiałka, który zechce uciąć łeb policjantowi.

Wątpił, ale przydzielono mu ochronę. Dopiero do niedawna mógł poruszać się bez stójkowego, który krążył wokół jak zepsuty satelita. Czuł się wtedy jak Whitney Houston, której Costner po cichu musiał wąchać bieliznę, gdy udawał, że szuka zamachowca w sypialni. Lebawskiego aż tak dokładnie nie pilnowali, ale skutecznie utrudniało mu to życie.

– Nie ma żadnej nagrody – uciął.

– Słyszałem co innego. – Czapka wróciła na prawowite miejsce, przyszpilając przydługie włosy posterunkowego do czaszki. – Ale co ja tam mogę wiedzieć. Nie stać mnie nawet, żeby na wakacje do Mielna pojechać, to wie komisarz jak jest.

– Długo jesteś w firmie?

Lebawski lustrował twarz starszego posterunkowego. Nie podobał mu się tok rozumowania chłopaka i świadomość, że dopiero teraz zauważył nieregulaminowe obuwie na jego stopach. Logo zielonego krokodyla było już lekko wytarte, ale dalej przyciągało wzrok.

– Za długo.

Przynajmniej w tej kwestii myśleli podobnie.

– Kto tu mieszka?

– Halina Zakrzewska. – Posterunkowy otworzył notatnik. – Lat osiemdziesiąt trzy. Mąż odpoczywa na pobliskim cmentarzu. Córka w Londynie i chyba ma tam własną firmę, bo na święta posyła dużą paczkę herbaty. Listonosz tak mówił.

– Wrogowie?

– Niech pan nie żartuje. Tym bardziej szkoda. To jej wnuczek.

– Wnuczek?

– No ten, co go zatrzymałem. Przyjechał przed dwoma tygodniami i sam pan widzi. W tym worku to musi leżeć pani Halina.

Ruszył z wyciągniętą dłonią. Lebawski złapał za jego nadgarstek, zanim posterunkowy zdążył dotknąć czegokolwiek.

– Nie ruszamy tego, dopóki nie pojawi się ekipa. Zrozumiano?

Kiwnął głową, odsuwając się na bezpieczną odległość.

– Chciałem sprawdzić, co jest w środku.

– W środku są kości. Zabezpieczmy miejsce zdarzenia i jedźmy na komisariat.

– Z tym może być pewien problem.

*

Sklepowe zaplecze zastawiono pudłami wielkości najedzonego rottweilera. Od podłogi aż po sufit przestrzeń uginała się pod

naporem warzyw, owoców i opakowań pieluszek. Lebawski przeciskał się między nimi, z trudem łapiąc oddech.

– Musiałem go tu zamknąć. – Starszy posterunkowy złapał spadającego z góry banana. Odłożył go na wierzch pudełek. – Remont komisariatu się przedłuża. Sam na nocce jestem. Co miałem zrobić?

– Zadzwonić po wsparcie?

– No przecież pan przyjechał.

Drzwi do magazynku zamknięto na kłódkę. Za nimi czekał na komisarza jedyny podejrzany.

– Chyba powinienem odwieźć sklepikarkę do domu. – Chłopak odchrząknął. – Późno już. Marudzić zaczyna.

– Poradzę sobie z jednym kolesiem.

– On jest trochę… inny.

Do listy rzeczy, które zaczynały Lebawskiego denerwować, właśnie mógł dopisać kolejną.– Co masz na myśli?

– Jest trochę… powolny. Opóźniony chyba. Lubi słodycze i można z nim wtedy pogadać, ale ma swoje odchyły. No i jest gigantyczny.

Posterunkowy przecisnął się obok komisarza. Wyciągnął z kieszeni klucze, a następnie otworzył drzwi na oścież. Magazynek był niemal pusty. Pośrodku stało tylko jedno krzesło. W rogu siedział facet. Pod jego zwalistym cielskiem wykwitała właśnie wielka kałuża czegoś, co Lebawski czuł z odległości kilku metrów.

– Chryste – wymsknęło mu się. – Odwieź tę kobietę do domu i wracaj.

– Oczywiście, komisarzu.

– Najlepiej przywieź ze sobą kogoś. Nie pracujesz na tym wypizdowie sam, co?

– Tak, oczywiście.

Wsunął w dłoń Lebawskiego klucze i ruszył ponownie na sklep. Sprzedawczyni wyglądała na wkurzoną. Daniel na jej miejscu już dawno poszedłby do domu. Jego zegarek pokazywał drugą w nocy. Zamknął drzwi i stanął w przeciwległym rogu magazynku. Mężczyzna zdawał się nie dostrzegać, że w pomieszczeniu znalazła się jeszcze jedna osoba. Kołysał się w przód i w tył. Lebawski sprawdził, czy broń jest na swoim miejscu. Podszedł odrobinę bliżej.

– Hej, mam na imię Daniel.

Zero odpowiedzi.

– Chciałem z tobą chwilę porozmawiać.

Ręka mężczyzny przysunęła się do twarzy. Lebawski zobaczył, że jego skóra pokryta była brunatną breją. Podobnie jak całe ubranie.

– Pamiętasz… – zaciął się. Zapomniał jak miała na imię kobieta, której kości widział wciśnięte w worek na śmieci. – Pamiętasz swoją babcię.

Podniósł głowę. Przez krótki moment patrzył w oczy komisarza, a następnie otworzył usta i wskazał na nie swoimi palcami.

– Nie rozumiem.

Z gardła olbrzyma wydobył się cichy pomruk, którego nie zrozumiałby nawet logopeda. Daniel podszedł bliżej.

– Co mówiłeś?

– Guma – powtórzył.

– Chcesz gumę?

Potaknął. Daniel zobaczył, że facet nie jest skuty. Jeżeli miał na sobie wcześniej kajdanki, to albo je zdjął, albo stal musiała pęknąć pod naporem jego ogromnych mięśni.

– Poczekaj.

Wyszedł i upewnił się, że dobrze zamknął drzwi do magazynku. Z ulgą przyjął otwarte sklepowe wnętrze. Podłoga

lśniła, choć mu się zdawało, że podczas rozmowy telefonicznej z posterunkowym tamten wspominał o czymś zupełnie innym. Widać kobiecie, która tu pracuje, musiało się nudzić, gdy czekała na przyjazd komisarza z Warszawy.

Podszedł do kasy i zaczął przeglądać wystawione obok niej słodycze. Kilka rodzajów batonów. Wziął jeden do ręki, ale poczuł, jak czekolada wewnątrz opakowania rozpływa się. Odłożył go z obrzydzeniem na miejsce. Nie mógł znaleźć nic, co pasowałoby do olbrzyma siedzącego na zapleczu. Wśród gum, które mają nadać zębom śnieżnobiały odcień, zobaczył coś, czego nie widział od dawna.

Szczękołamacz.

Sam ledwo zmieściłby go do ust, ale dla zamkniętego na zapleczu mężczyzny powinien być idealny. Wziął jednego. Wyciągnął z kieszeni dwuzłotową monetę i położył przy kasie.

Czekał w magazynku w tej samej pozycji. Tylko smród strachu stał się wyraźniejszy. Mężczyzna nie poruszył się nawet o centymetr. Trzymał palce między wargami. Wyglądały na znacznie czystsze niż ostatnio. W jego oczach Daniel dostrzegł podniecenie. Widać czekał na przekąskę.

– Może być?

Na dłoni komisarza leżała kulka. Facet przez chwilę wahał się, ale w końcu odważył się i chwycił ją między serdelkowate palce. Włożył szczękołamacza do ust i zaczął powoli ssać. Daniel odsunął się na bezpieczną odległość.

– Dobra. – Wytarł dłoń w spodnie. – Skoro uprzejmości mamy już za sobą, może teraz porozmawiamy o tym, co zaszło w domu twojej babci?

Po brodzie mężczyzny ściekała strużka śliny. Wymieszała się z mazią, która zalegała na masywnym podbródku i skapnęła na podłogę. Lebawski odwrócił wzrok. Ludzkie wydzieliny przyprawiały go o odruch wymiotny. Znał komisarza, który

zabrudził kiedyś całe prosektorium na Oczki. On na szczęście potrafił się powstrzymać.

– Nie dawała ci z emerytury na cukierki czy co?

– Mam pieniądze.

Tembr jego głosu wrzynał się pod skórę. Zniknęła nieporadność, która przed paroma minutami wydawała się Danielowi czymś naturalnym.

– Widzę, że cukier faktycznie krzepi. – Żart nie trafił na podatny grunt. – Powiem ci w tajemnicy, że mam w dupie, dlaczego to zrobiłeś. Zapomnę o tym, gdy prokurator wystawi kwity, choć jestem odrobinę ciekaw, co cię do tego skłoniło. Babcia to przecież też rodzina.

– Moja babcia ma się dobrze – podniósł się z podłogi. Spodnie oderwały się z nieprzyjemnym mlaśnięciem od podłoża. – Mieszka w Gdańsku i codziennie chodzi z kijkami po deptaku, a to, co znalazłeś w wannie, to pies posterunkowego. Skurwiel długo się bronił, ale w końcu sam zatłukł kundla, jak powiedziałem, że odpalę mu większy procent, gdy tu przyjedziesz. Do byle gówna nie ruszyłbyś się z pałacu, co?

Temperatura musiała podskoczyć wewnątrz pomieszczenia o kilka stopni. Daniel czuł spływające po czole pierwsze krople potu.

– Brzydko o mnie mówisz. Mówiłem, że jest nagroda.

Posterunkowy stał w drzwiach składziku i obierał pomarańczę.

– Zofię do Ameryki zabiorę. Zasłużyła – dodał, rzucając kawałek skórki na ziemię. – Trochę nabałaganiliśmy w sklepie. W domu to lepiej nie mówić. Muszę jej jakoś wynagrodzić Gacka, lubiła tego kundla.

Lebawski próbował sięgnąć po broń, ale łapy zasikanego potwora chwyciły jego nadgarstki i nie pozwalały na

najmniejszy ruch. Czuł pękające pod naporem siły kości. Daniel przed twarzą miał pysk wysmarowany krwią.

Pocałunek.

Poczuł ciepło, gdy ich usta się zetknęły. Chciał zacisnąć zęby, ale nie potrafił. Mężczyzna wpychał mu do gardła gumę.

Głęboko.

Przestał, gdy zupełnie zatkała przełyk. ■

BARTOSZ SZCZYGIELSKI

ZERO, ZERO OSIEM

Krew nie dopływała do jej dłoni.

Tak przynajmniej uważała, wpatrując się we wbijającą się w skórę pętle. Wyblakły od światła polietylen w niczym nie przypominał tego, co widziała wcześniej na powieszonej przy kasie reklamie. Uśmiechająca się z niej kobieta zachęcała, by korzystać z ekologicznych rozwiązań tak, jakby nie zdawała sobie sprawy, że sama trzyma produkt rozkładający się w środowisku setki lat. Gdyby była świadoma tego, ile gołębi udusiło się, próbując wyciągnąć z jednorazowej reklamówki kawałek chleba, nie emanowałaby taką radością.

Wyglądałaby tak samo jak ona.

Przerażona.

Zastanawiała się, czy nie odstawić toreb z zakupami na ziemię i nie dać odpocząć zmęczonym dłoniom, ale zrezygnowała z tego, spoglądając pod nogi. Piasek przykrywający chodnik drażnił ją nawet przez buty. Wystarczyłaby sekunda, by drobinki przedostały się przez półprzezroczystą warstwę ochronną. Grzegorz dostrzegłby je nawet wtedy, gdyby wsadziła torebkę z zakupami pod prysznic i spłukiwała bród ulicy tak długo, aż odpływ w wannie zapchałby się doszczętnie.

Rozejrzała się dokładnie tak, jak ją uczył.

Raz w lewo, później w prawo i jeszcze raz w lewo. Zielone światło oznaczało, że mogłaby bezpiecznie wejść na jezdnię, ale nigdy nie wiadomo, czy kierowca pędzącego samochodu zdąży się zatrzymać przed namalowanymi na asfalcie liniami.

Mitycznymi kreskami mającymi zapewnić ochronę każdemu, kto stawia na nich stopę.

Niemal przebiegła przez pasy. Unikała wzroku ściskających kierownicę mężczyzn. Zakupy odbijały się od ud. Modliła się, by ciężkie torby nie zostawiły na skórze żadnych śladów. Śladów, które ktoś mógłby zinterpretować nie tak, jak powinien. O ile zobaczyłby ją w samej bieliźnie. Grzegorz bardzo dbał o to, by podbiegnięcia krwawe nigdy nie wykwitały na jej ciele.

Lata praktyki.

Poprawiła uchwyt, by dać swoim palcom choć odrobinę wytchnienia, a później spojrzała na stojący za drzewami blok. Znała każdą szparę i wyżłobienie w elewacji powstałe z powodów naturalnych, czyli sterczących pod budynkiem pijaków i ich butelek lądujących na ścianach. Spółdzielnia mieszkaniowa miała rozwiązać problem, ale ograniczyła się tylko do usunięcia stojącej pod oknami ławki. Jednej z pięciu rozstawionych w najbliższej okolicy.

Musiała się pospieszyć.

Wpisała kod wejściowy na domofonie i schowała się między grubymi murami. Ledwo dotarła ze sklepu, a na myśl o tym, że musi wejść na trzecie piętro, poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Wiedziała, co czeka za drzwiami mieszkania. Zapach, który w niczym nie przypominał tego, co próbowali jej wmówić w telewizji śniadaniowej. Żaden rumianek, leśne runo czy jaśmin nie był w stanie przykryć smrodu dziecka. Rozłaził się po całym mieszkaniu i wwiercał w nozdrza. Czuła go już na półpiętrze, gdy przytrzymywała się poręczy, by złapać równowagę. Miała ciało siedemdziesięciolatki po udarze. Nic dziwnego, że Grzegorz dotykał ją tylko po ciemku i zawsze w tej samej pozycji, by nie widzieć jej zmęczonego spojrzenia.

– Co tak długo?

Odstawiła zakupy na podłogę, uważając, by przypadkiem nie uszkodzić położonych na wierzchu jajek.

– Kolejka była – odpowiedziała, ściągając buty. – Niedziela.

Wiedziała, że nie przekroczyła czasu, który Grzegorz jej wyznaczył. Spojrzała na zegarek i według niego miała jeszcze prawie osiem minut zapasu.

– Nie było koperku.

Złapała za torby i szybko przeniosła się do kuchni. Wypakowała zakupy na blat i dopiero wtedy pozwoliła sobie na moment odpoczynku. Usiadła na krześle i czekała. Grzegorz wszedł do pomieszczenia i pogłaskał ją po policzku jak psa. Zanim zabrał dłoń, lekko uderzył ją w twarz. Dobrze się spisała.

– Nie mogłaś zajść do warzywniaka? – spytał, patrząc na leżące przed nim produkty. – Tam zawsze mają.

– Dziś nieczynne.

– Tak, racja.

Obserwowała, jak przegląda produkty. Każdy podnosił i ważył w dłoni tak, jakby miało mu to pomóc w określeniu jego wartości. Grzegorz odpowiadał za domowy budżet. Była mu za to wdzięczna, bo zdjął jej z barków kolejny ciężar. Tak jak wtedy, gdy zajmował się leżącym w pokoju obok dzieckiem, kiedy ona wychodziła na zakupy. Nie robił tego codziennie, by przypadkiem się nie przyzwyczaiła. Dawkował jej przyjemność chodzenia po świeżym powietrzu, wypchanym spalinami.

Zaczęła wygładzać spódnicę.

Wyjściową.

Idealną.

Żadnej plamy po nieprzetrawionym pokarmie czy wydzielinach, które wydostawały się z dziecka przy każdej próbie poruszenia go.

– Paragon.

Wytrzymał dłużej niż zazwyczaj.

– Proszę – sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej lekko naderwany wydruk. Nie chciała się kłócić z kasjerem, który ledwo nadążał z nabijaniem kolejnych produktów, ale postanowiła sobie, że następnym razem poprosi o kopię. Całą, a nie taką porwaną u spodu przez pośpiech. – Wszystko się zgadza.

Rozłożył paragon na blacie. Papier wił się między jabłkami a słoikami z papką dla niemowląt. Uśmiechnięty bachor z opakowania zdawał się wodzić wzrokiem za palcem Grzegorza, który metodycznie studiował każdą nadrukowaną pozycję.

Westchnął.

Zgniótł wydruk w dłoni i wyrzucił do umywalki. Wystarczyło, żeby nie było jej w mieszkaniu, a już w zlewozmywaku pojawiły się dwa brudne kubki, sztućce i talerz wysmarowany ketchupem. Nie musiała nawet zaglądać do lodówki, by wiedzieć, że brakuje w niej opakowania po parówkach. Zjadł je na zimno, jak zawsze, gdy nie było jej w okolicy.

Stanął nad nią i pokręcił głową.

Otworzył zamrażalnik tak szybko, że drzwiczkami uderzył o krzesło, na którym siedziała. Nie okazała strachu. Przełknęła kilkukrotnie ślinę, by nawilżyć przełyk przyzwyczajony już do tego, co Grzegorz mu szykował.

– Mówiłem ci – zaczął grzebać pomiędzy wciśniętymi w szufladzie mrożonkami. – Tyle razy ci o tym mówiłem. Sądzisz, że pieniądze wiszą na drzewie?

Dawno temu, gdy jej życie nie było zamknięte w klamry, pozwalała sobie na żarty. Mogłaby odpowiedzieć Grzegorzowi, że przecież banknoty mają w sobie papier, a ten robi się właśnie z drewna, ale wątpiła, czy wyłapałby ten niuans.

– Nie, nie wiszą na drzewie.

– Nie po to urabiam się po łokcie, byś wydawała pieniądze na głupoty – znalazł to, czego szukał. – Z czego kupimy jedzenie dla dziecka pod koniec miesiąca?

Odwróciła wzrok.

Na blacie stała nowa butelka żołądkowej.

– Zapomniałam.

– Zapomniałaś? – wyprostował się. Z zaciśniętej pięści zaczęła skapywać woda. – Który to już raz?

Chciała odpowiedzieć, że najwyżej trzeci, ale nie zdążyła.

Przywarł do niej i rozwarł szczękę. Czuła na języku, jak zimna kostka lodu prześlizguje się po jego powierzchni i wpada głębiej. Nie na tyle, by przedostać się w głąb ciała. Utkwiła dokładnie tam, gdzie Grzegorz tego chciał. Zatyka jej usta dłonią i czeka, aż z oczu polecą łzy. Wyrywanie się nie miało sensu. Nauczyła się, że lepiej przeczekać. Bez dostępu powietrza mogła wytrzymać dłużej niż Jean Reno w „Wielkim Błękicie". Lód roztapiał się na tyle szybko, że po kilkunastu sekundach pierwsze cząsteczki tlenu dostawały się do płuc. Udawała, że się dusi, by widzieć, jak pęcznieje nogawka w spodniach jej męża.

Pora na kolejny dowód oddania.

Liczyła, że to ostatni raz.

Modliła się o spokój.

Samotność.

Ciszę.

*

– Wiedziałeś, że światło księżyca jest zimne?

– Co?

Udawał, że ją słucha.

– No bo wiesz – odwróciła głowę w jego stronę. – Odbija promienie słońca i, na logikę, powinny być one ciepłe, nie? A tu

niespodzianka. Nie pamiętam tylko, dlaczego tak się dzieje.

Nie miał pojęcia, skąd u sierżant pojawiła się nagła ochota na to, by podzielić się z nim tą wiedzą. Wolał nie wnikać. Chciał tylko, by ten dzień dobiegł końca. Jeździli już do czterech interwencji, a zaczął pracę dopiero przed dwoma godzinami.

– Nie słuchasz mnie – szturchnęła go w ramię.

– Słucham – skłamał. – Zamyśliłem się.

– Na temat?

– Odbieram jutro dzieciaka od żony i chciałbym w końcu z nią normalnie pogadać.

– Byłej. Byłej żony.

Klasyka.

Sierżant nigdy nie omieszkała mu przypomnieć, że jego związek definitywnie dobiegł końca z chwilą, gdy rozwód się uprawomocnił. O Alinę walczył do ostatniej chwili, ale nic to nie pomogło. Nie cierpiała tego, jak wracał z pracy i śmierdział patologią. Pijakami tłukącymi swoje konkubiny do nieprzytomności, a później oddające ją kompanom od kieliszka jako zapłatę za ciągle rosnące długi. Alimenciarzami, którzy rzucali się na policję z łapami, bo ośmielali się przypomnieć im o zaciągniętych zobowiązaniach. Mógłby wymieniać tak w nieskończoność. Sam tego nienawidził, ale ktoś musiał to robić.

On był przecież inny.

Alina tego nie rozumiała.

– Ile ma? Cztery lata?

– Skończy trzy – uśmiechnął się. – Za tydzień zabieram go do rodziców. Mają działkę pod Warszawą, przynajmniej nie będzie siedział w mieście.

Znów to zrobił.

Miał unikać rozmów na tematy prywatne, gdy ubierał się w mundur. Powinien oddzielić życie prywatne od zawodowego,

bo przy ostatniej próbie ich połączenia skończyło się posiedzeniem na sali sądowej. Ludzie w togach jednogłośnie stwierdzili, że prawo do opieki powinna mieć Alina i najlepiej jeśli on będzie widywał dziecko w weekendy.

Co drugi.

– Skoczymy na kebab?

Sierżant przekręciła kluczyk w stacyjce. Kontrolki na desce rozdzielczej sygnalizowały, że warto zajrzeć pod maskę przy najbliższym postoju. Kobieta zignorowała ostrzeżenie, włączyła światła i wrzuciła bieg. Obydwoje potrzebowali czegoś, co zapchałoby ich żołądki, bo na walory smakowe nie mieli co liczyć. Widzieli już podświetloną reklamę najlepszego kebabu w mieście, gdy odezwała się dyspozytorka.

Przemoc domowa.

Sąsiedzi zaniepokojeni głośnym płaczem dziecka postanowili zrobić coś więcej, niż tylko wydrukować prześmiewczą kartkę. On sam widział taką na swojej klatce schodowej. Wchodzący i wychodzący mogli podziwiać erudycję piszącego, któremu przeszkadzała głośno działająca pralka odbijająca się od rur. W takich przypadkach dzwoniono pod 112 częściej niż wtedy, gdy słyszało się głuche tąpnięcie w mieszkaniu obok, po którym następowała cisza. Dalej wierzono, że takie problemy należało rozwiązywać w zaciszu domowym.

– Przyjęłam – sierżant odwiesiła słuchawkę na miejsce. – Cóż, widać będziesz musiał zaprosić mnie na kolację kiedy indziej.

– Da się zrobić.

Zawrócili na najbliższym skrzyżowaniu.

Włączanie koguta mijało się z celem. Dyspozytorka nie wspominała nic o zagrożeniu życia, a oni wiedzieli, jak kończą się takie interwencje. Zapewnieniami, że nic takiego się nie stało, a rosnący właśnie na twarzy siniak to wynik trafienia na otwartą szafkę kuchenną. Taką wersję słyszeli, gdy podjeżdżali

pod nowoczesne, zamknięte osiedla, gdzie każde mieszkanie było apartamentem. Tam, gdzie bloków nie odgradzały płoty i ochroniarze na emeryturze, nie słyszeli nic. Wystarczyło jedno spojrzenie w przestraszone kobiece oczy, a stawało się jasne, że żadnych zeznań nie będzie.

Osiedle wyglądało znajomo.

Jak wszystkie.

Podjeżdżając pod szlaban, sierżant włączyła na chwilę światła na dachu, by oznajmić siedzącemu na ławeczce ochroniarzowi, że wypadałoby wpuścić władzę do środka. Facet nie kłopotał się tym, by podnosić się z miejsca. Wyciągnął tylko dłoń i nacisnął przycisk na pilocie.

Podjechali pod samą klatkę.

– Wiesz, który numer?

– Sto osiemdziesiąt cztery.

– Chryste – zaczął wciskać przyciski. – To jak mrowisko.

– Tylko bądź miły – pogroziła mu palcem. – Ja rozmawiam z kobietą.

Znał przepisy.

Mieli szczęście. Drzwi prowadzące do środka budynku były otwarte. Nawet winda już na nich czekała.

– Masz nazwisko zgłaszającego?

– Anonim.

– Jak zawsze – wcisnął przycisk z numerem siedem. – Gotowa?

Kiwnęła głową. Pracowali razem od niedawna, ale doskonale się rozumieli. Na szczęście nigdy nie musieli sprawdzać, czy którekolwiek z nich będzie skłonne zaryzykować za drugie życie. Miał nadzieję, że tym razem też nie zajdzie taka potrzeba.

Wysiedli z windy.

Apartament znajdował się na końcu korytarza wypełnionego ostrym, białym światłem. Drzwi z odpowiednim numerem

znaleźli od razu. Przez szparę między skrzydłami a framugą dostrzegli świeżo wyczyszczoną podłogę. W takich mieszkaniach nigdy nie widzieli, by parkiet pokrywało cokolwiek innego niż gruba warstwa płynu do czyszczenia.

Stanęli po obu stronach framugi.

– Dobry wieczór – zaczął przyjaźnie. – Dostaliśmy wezwanie.

– Policja – doprecyzowała.

Żadnych dźwięków dobiegających ze środka.

– Halo.

Pchnął lekko drzwi i odpiął pasek przy mocowaniu kabury. Korytarz powitał go wielkim lustrem, na którego tafli dostrzegł niewyraźne smugi. Przypominały ślady palców i ciągnęły się od wysokości wzroku aż po same nogi.

– Policja – krzyknął tak, by sąsiedzi wiedzieli o ich obecności.

Usłyszał skrzypienie sprężyn dobiegające zza zamkniętych drzwi. Domyślił się, że prowadziły do sypialni. Rozkład pomieszczeń wszędzie był podobny. Korytarz, sypialnia, kuchnia i salon. Przekrój dobrobytu klasy średniej, marzącej wieczorami o tym, by przenieść się na wieś i strzyc owce. On też o tym myślał. Odkąd syn zaczął wykazywać coraz większe zainteresowanie otaczającym go światem, chciał mu pokazać jak najwięcej. W mieście jedyne, co mógł mu zaoferować, to kino i parki, gdzie równie łatwo było znaleźć storczyka jak pustą butelkę po wódce.

On nie pił od kilku miesięcy.

Dziewięćdziesięciu ośmiu dni.

Sierżant szła za nim i nerwowo rozglądała się na boki.

Zapukał.

– Otwarte.

Wstrzymał oddech.

Znał ten tembr głosu.

Alina.

– Co tu robisz? – otworzył drzwi.

Kobieta siedziała na łóżku i przyglądała się paznokciom. Pomalowanym krwistoczerwonym lakierem. Odkąd przestali być małżeństwem, w końcu zaczęła o siebie dbać. Znał ją, przechodzili razem przez każdy z etapów jej poporodowej depresji i teraz nie mógł uwierzyć w to, jak bardzo się zmieniła. Widział ją w zeszłym tygodniu, gdy odwoził syna z niedzielnego spaceru po zoo. Siedziała wtedy w ich starym mieszkaniu i przeglądała plotkarskie gazety.

– Co tu robisz? – powtórzył. – Jak?

– Nigdy mnie nie słuchałeś – odparła, nie zmieniając pozycji. – Nigdy.

– Kto to jest? – sierżant niemal położyła się na jego plecach. – Znacie się?

– Zostaw nas samych – przesunął się. – To moja żona.

Kobieta podniosła głowę.

– Była – uściśliła.

Policjantka schowała broń i zaczęła się wycofywać z sypialni.

– Zawołaj mnie, jak już skończycie.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Spodziewał się najgorszego, ale nie tego, że interwencja zamieni się w spotkanie małżeńskie.

– Jakim cudem jesteś w takim mieszkaniu?

– Oszczędzałam – podniosła się z łóżka i zbliżyła do niego. – Nauczyłeś mnie tego, by szanować pieniądze.

Zacisnął pięść. Mógł wybić jej jedynki i patrzeć, jak krew wypełnia przełyk. Zatkać usta i odliczać sekundy, a później minuty. Brakowało mu jej.

– Spokojnie – położyła mu dłoń na ramieniu. – To tylko wynajęte mieszkanie. Nie dostałabym kredytu z tymi alimentami, które mi płacisz. Zasługuję na trochę luksusu.

Odsunął się.

– Masz kogoś? – powstrzymał się, żeby jej nie odepchnąć. – Co to za chuj?

Pokręciła głową.

– Nie rozumiesz prawda – uśmiechnęła się. – Nie mam już nikogo, kto by mnie tłamsił. Jestem wolna.

Dopiero teraz to zauważył. Łóżko, na którym jeszcze przed chwilą siedziała Alina, pokrywały setki paragonów. Wyblakłych i pożółkłych kawałków papieru.

– To dla ciebie.

Wcisnęła mu coś w dłoń. Powoli rozprostował papier. Kolejny paragon z zakupów. Data się wytarła, ale nawet jeżeli byłby w stanie ją odczytać i tak by nic mu nie powiedziała. Zwykły wydruk, których w ciągu roku zbierało się tysiące. Jedna z pozycji została zakreślona.

Reklamówka jednorazowa.

Wybiegł z pokoju.

Sierżant siedziała w kuchni przeglądając gazetę.

– Gdzie on jest? – ledwo był w stanie cokolwiek powiedzieć. – Gdzie?

– Kto?

Odwrócił głowę. Salon po przeciwnej stronie wyglądał na pusty. Została mu łazienka. Złapał za klamkę.

Przestał oddychać.

Znalazł go w wannie. Spomiędzy ust wystawało mu naręcze plastikowych torebek.

Przestał oddychać.

Leżał spokojnie.

Cicho. ■

RYSZARD
ĆWIRLEJ

KTO SIĘ BOI CZARNEJ WOŁGI?

Fot. Jakub Ćwirlej

RYSZARD ĆWIRLEJ
Dziennikarz i wykładowca akademicki, twórca nowego gatunku literackiego – kryminału neomilicyjnego. Jego powieść „Błyskawiczna wypłata” otrzymała nagrodę dla najlepszej miejskiej powieści kryminalnej na Festiwalu Kryminalna Piła w 2015 roku. W roku 2016 książka „Śliski interes”, została uhonorowana prestiżową Nagrodą Czytelników Wielkiego Kalibru.

Poznań
Wtorek, 21 maja 1968 r.
Godzina 22.30

W dupie mam czarną wołgę – powiedział do siebie Dionizy Ograbek, referent z centrali PKO w Poznaniu. – Nie jestem dzieckiem i nie mam się czego bać – stwierdził, wychodząc z Restauracji Dietetycznej na nierówny chodnik ulicy Czerwonej Armii. Żadnej czarnej wołgi nie było widać. Spojrzał w prawo i w lewo w poszukiwaniu jakichś osobliwości, ale nic ciekawego się nie działo na ulicy. Ot, normalny widok w postaci kilku facetów stojących po bramach i palących papierosy. Ograbek wiedział dokładnie, kim są. To miejscowi pijacy czekający na okazję, żeby naciągnąć jakiegoś frajera na flaszkę. On na szczęście nie był frajerem i nikomu bez potrzeby nie stawiał. No, ale dzisiaj postawić musiał kierownikowi Antczakowi. To był człowiek, od którego zależała cała urzędnicza kariera Ograbka. Od pięciu lat harował jako referent w okienku, czyli obsługiwał petentów dokonujących wpłat i wypłat ze swoich książeczek oszczędnościowych. Była to nudna i monotonna praca, w której człowiek o wielkich ambicjach nie miał szansy rozwinąć skrzydeł. A Ograbek chciał je rozwijać i przejść z okienka do pokoju na drugim piętrze, gdzie przez całe osiem godzin siedziało się za biurkiem, przerzucało papiery z jednej kupki na drugą i nic się nie robiło. Tylko żeby tam przejść, do tego biurowego raju, musiał zostać starszym referentem. No i dlatego zaprosił swojego kierownika na wódkę – do Dietetycznej, gdyż kierownik był jaroszem.

Wypili więc dwie butelki. Ograbek udawał, że pije, a Antczak żłopał bez umiaru. Na wódce się nie skończyło. Poszła jeszcze butelka bułgarskiego wina i cztery piwa poznańskie. W sumie z tymi sałatkami i galaretkami z halibuta wydał na biesiadę prawie pięćset złotych. Był to prawdziwy majątek, no ale przecież na takiej bankowej inwestycji nie było co oszczędzać.

Przez cały wieczór Ograbek próbował swojemu kierownikowi zasugerować, że czas najwyższy byłby już na przeniesienie go wyżej, ale Antczak jakoś nie podejmował tematu. Intrygowało go za to coś zupełnie innego.

– Ja ci mówię, Ograbek, że z tego będzie niezła afera.

– Jaka afera, że się spytam?

– Ogólnopolska afera. Przecież tak nie może być, żeby po mieście jeździła se czarna wołga i porywała dzieci.

– Jak to?

– No normalnie. Czarna wołga podjeżdża, a ulicą idzie sobie jakieś dziecko i trach, wołga staje, drzwi się otwierają i już po dzieciaku.

– Niemożliwe.

– Możliwe, mówię ci Ograbek, całkowicie możliwe.

– A skąd to niby wiadomo?

– Jak to skąd? Wszyscy o tym gadają. Po całej Polsce ta wołga grasuje i porywa.

– Ale po co porywać dzieci?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Cholera ich wie.

– Kogo?

– Tych porywaczy.

– A gdzie ich wywożą, tych porwanych?

Antczak wzruszył ramionami.

– Kto to może wiedzieć? – Zrobił minę, która powinna świadczyć o kompletnej niewiedzy, ale zaraz potem mrugnął i potrząsnął głową dwa razy w lewo. Ograbek nie był tak głupi,

żeby nie pojąć, w czym rzecz. Jeśli gdzieś wywozili, to tylko tam, gdzie się ludzi wywozi.

Rozlał drugą butelkę wyborowej do końca i znowu wypili po kielichu, zagryzając kotletem jarskim z jajek.

– A swoim awansem się nie przejmuj. Na dwudziestego drugiego lipca dostaniesz awans – stwierdził kierownik, klepiąc Ograbka w ramię. – No chyba, że cię prędzej czarna wołga porwie…

Zadowolony z żartu wstał od stolika i pożegnawszy się z referentem, a całkiem niedługo już starszym referentem, oddalił się z knajpy, nawet nie pytając, czy aby czegoś nie dopłacić do rachunku. Ograbek uregulował należność i też wyszedł z restauracji.

Nie należał do ludzi nadużywających alkoholu. Pił umiarkowanie raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. A do tego jeszcze był człowiekiem spokojnym, nieawanturującym się w domu. Dlatego tym bardziej nie miał zamiaru wchodzić w jakieś awantury na ulicy. Spojrzał więc jeszcze raz w lewo, tam gdzie stali pijacy, i postanowił iść w prawo. Po chwili był już na skrzyżowaniu z ulicą Ratajczaka. Tu przystanął na chwilę, zastanawiając się, co zrobić z tak dobrze rozpoczętym wieczorem. Plan się powiódł, dostał obietnicę awansu, więc teraz mógł się spokojnie napić. Tylko gdzie? Całkiem niedaleko na ulicy Kantaka była sympatyczna knajpa z dancingiem o wdzięcznej nazwie Moulin Rouge. Dawno tam nie zaglądał i nie wiedział, czy z Armii Czerwonej można było teraz skręcić w Kantaka, bo cała prawa strona ulicy była odgrodzona drewnianym płotem. Na miejscu kamienic, które jeszcze niedawno tu stały, wznoszono jakąś nowoczesną budowlę. Czytał w „Expressie Poznańskim”, że ma to być ogromne centrum handlowe. Ciekawe tylko, co tam będą sprzedawać, jak nic w sklepach nie można dostać?

Przeszedł ulicę i ruszył wzdłuż płotu, mając nadzieję, że przejście do restauracji jest otwarte. Na szczęście było. Ulica Kantaka wyglądała teraz jak wąwóz pomiędzy dwoma płotami, a zaraz za nimi zaczynały się normalne, stare przedwojenne kamienice. Restauracja, do której zmierzał, znajdowała się po lewej stronie ulicy. Właśnie miał przejść na tę drugą stronę, gdy nagle zauważył stojącą pod wejściem do knajpy małą dziewczynkę.

– Co ona tu, do cholery, robi o tej porze bez rodziców? – pomyślał i już chciał podejść do niej, by wypytać o wszystko, gdy nagle z przeciwległego końca ulicy wyjechał samochód osobowy z zapalonymi światłami. Ograbek zmrużył nieco oczy, bo światła były mocne i oślepiające. Auto podjechało pod drzwi Moulin Rouge, zatrzymało się i otworzyły się drzwi. Dziewczynka przez chwilę stała wpatrzona w kogoś, kto siedział za kierownicą.

Ograbek chciał krzyknąć, by ją ostrzec, żeby przypadkiem nie wsiadała, ale nim to zrobił, wskoczyła do środka. Trzasnęły zamykane drzwi i auto ruszyło. Zanim oszołomiony przyszły starszy referent zdążył zareagować i zrobić cokolwiek, by uniemożliwić ucieczkę kidnaperów, czarna wołga uwożąca dziecko w nieznane minęła go i z piskiem opon skręciła w prawo. Chwilę później po aucie porywaczy pozostał tylko smród etyliny 78 i swąd przypalonej gumy.

Środa 22 maja
Godzina 8.15

Teofil Olkiewicz spojrzał z obrzydzeniem na szklankę z gorącą kawą. Nie lubił tej czarnej lury, ale nie miał innego wyjścia. Musiał wypić, bo inaczej nie wypadało. Gdyby odmówił, major

gotów byłby jeszcze się obrazić. A na cholerę mu obrażony major, który w dodatku jest jego nowym przełożonym. Bo plutonowy Olkiewicz właśnie zmienił pracę. Od wczoraj pracował w komendzie miejskiej przy placu Wolności. Dotąd był zatrudniony w komisariacie Stare Miasto, ale w ubiegłym tygodniu dowiedział się od swojego przełożonego kapitana Wróbla, że od poniedziałku ma nowy przydział.

– Komenda miejska rozszerza zasób kadrowy wydziału dochodzeniowo-śledczego i w związku z tym przesłali do nas zapotrzebowanie na jedną sztukę podoficera znającego dobrze teren poznański. Tom zaraz se pomyślał o was, Olkiewicz, bo wy jesteście chyba z Poznania, nie?

– Z Poznania – burknął Teofil, któremu wcale nie w smak było przenoszenie się do jakiegoś tam wydziału. On był milicjantem z ambicjami i najlepiej czuł się w tym, co robił od zawsze, czyli przy patrolowaniu ulic i interweniowaniu, gdy była taka potrzeba. A teraz to pewnie każą mu siedzieć cały czas za biurkiem i jeszcze pisać jakieś raporty. A Teofil szczerze nienawidził pisać, zresztą czytać też za bardzo nie lubił. Jednak w milicji od czasu do czasu trzeba było coś napisać w kwestii zatrzymania czy przesłuchania. No, ale jako milicjant z patrolu robił to raczej rzadko, przerzucając takie bzdury na niższych rangą. A tam, w tej komendzie, w tym rozszerzonym wydziale, jak oni ślą zapotrzebowanie na jednego podoficera, to znaczy, że nie mają tam żadnych podoficerów a jedynie oficerów, a to będzie oznaczało, że jemu, jako najniższemu rangą, przypadnie cała papierkowa robota.

– Całą papierkową robotę robią oficerowie śledczy, a wy, Olkiewicz, jako znający teren pracujecie w terenie – wyjaśnił major, który był szefem wydziału. – No, nie krępujcie się, pijcie kawę. – Wskazał na parująca szklankę.

Teofil chwycił ją, ale zaraz odstawił z powrotem na stolik.

– Gorąca, cholera!

– Gorąca najlepsza. No, to co myślicie o waszych zadaniach?

– Melduję, że jeszcze nic nie myślę, bo nie wiem, o co się tak do końca rozchodzi.

– Rozchodzi się o to, żebyście byli naszym wywiadowcą.

– Że jak?

– Normalnie, wtapiacie się w tłum i słuchacie, co w trawie piszczy.

– W jakiej trawie?

– W trawie, w tramwaju, na ulicy, w bramie czy knajpie. Macie słuchać ludzi i z nimi rozmawiać.

– Rozmawiać w knajpie? To się nie uda.

– A to czemu?

– Wiara w knajpie nie będzie gadać ze szkiełem. Mundur rozmowy nie ułatwia. – stwierdził Teofil, który dobrze wiedział, co mówi. Nieraz już zachodził do knajpy podczas patrolu i zawsze, nawet w najbardziej zatłoczonej piwiarni, robiło się wokół niego luźno, a pijacy odwracali się plecami.

– A kto wam powiedział, że macie chodzić w mundurze?

– To niby jak?

– Oczywiście, że po cywilnemu. Macie chyba jakieś cywilne ubranie w domu.

Owszem, miał jedno ubranie. Dwa lata temu, gdy szedł do ślubu, kupił sobie czarny garnitur. No, ale był to elegancki strój, który zakłada się na uroczystości rodzinne, a nie do roboty w knajpie.

– Coś się tam znajdzie – stwierdził bez przekonania, zastanawiając się, co teraz zrobić. W domu, po przyjściu z pracy przebierał się w spodnie dresowe, które kupił kiedyś w sklepie mundurowym, ale w takich spodniach nie wypadało iść do ludzi. Trzeba więc będzie się wybrać na Rynek Łazarski i coś

kupić – pomyślał z pewną przykrością, bo nie lubił niepotrzebnie wydawać pieniędzy.

– Na pierwszy ogień idzie czarna wołga. – Opałko przywołał go do rzeczywistości konkretnym zadaniem.

– Jaka wołga? – Teofil nie zrozumiał, o co chodzi.

– No ta, co o niej wszyscy gadają, że porywa dzieci.

– A, ta – to ja wiem. Jeździ po mieście i dzieci są do niej wciągane i gdzieś wywożone.

– Właśnie, o to się rozchodzi. Będziecie słuchać, co ludzie o tej wołdze mówią, bo że mówią, to wiemy, ale nie wiemy nic o porwanych dzieciach. Nikt nam nie zgłosił dotąd żadnego porwania.

– Może porywają dzieci, co nie mają rodziców?

Kapitan Opałko spojrzał uważnie na Olkiewicza. To był właśnie człowiek, na jakim mu zależało. Prawdziwy ćwok, który w cywilnych ciuchach będzie wyglądać jak reszt ćwoków zapełniających miejskie piwiarnie.

– Tylko wiecie, Olkiewicz, żebyście się nie ubierali za bardzo elegancko. Żadne tam garnitury czy odświętne ciuchy. Macie wyglądać tak jak ci wszyscy ludzie, co w knajpach przesiadują. No i jeszcze jedna kwestia: w tej robocie to trzeba będzie od czasu do czasu z ludźmi wypić. Mam nadzieję, że nie jesteście abstynentem?

– Nigdy w życiu, obywatelu kapitanie – zaprzeczył szybko, pukając się przy tym w pierś. – Ja tych wszystkich abstymentów, tobym im pokazał cholernikom jednym…

– I bardzo dobrze. W takim razie od jutra zaczynacie.

Teofil Olkiewicz pokiwał głową. Robota całkiem niezła mu się szykowała, bo gadanie z ludźmi przy wódeczce albo piwie to coś, co lubił najbardziej.

Godzina 10.30

– Czarna przegrywa, czerwona wygrywa! Obstawiasz, płacisz, nic nie tracisz. Jeśli szczęściu dopomożesz, kupę forsy wygrać możesz. Którą pan szanowny obstawia? Masz pan pewność? – Krupier próbował zasiać ziarno niepewności w umyśle zdecydowanego klienta.

– No tą! Czerwoną! – Gracz położył na karcie sto złotych i przytrzymał ją pięścią, tak żeby rozgrywający nie miał szansy jej podmienić

– Chwileczka, zaraz się przekonamy, czy to czerwona! – Krupier chwycił za brzeg karty i spróbował wyciągnąć ją spod pięści klienta. Ten jednak trzymał mocno.

– Płacisz kasę, gościu. Myślisz, że dam się zrobić w trąbę?

– Ma facet rację. Płacisz, bo ma czerwoną – wtrącił się jakiś obserwator o wyglądzie urzędnika.

– Ktoś jeszcze obstawia? Ostatnia szansa! – Rozgrywający rozejrzał się po twarzach kilkunastu facetów, którzy z napięciem obserwowali rozgrywkę. Im głośniej się robiło przy stole hazardowym – który powstał na skwerku przy Rynku Łazarskim z odwróconego do góry dnem aluminiowego kubła na śmieci – tym szybciej tłum gęstniał. Krzywy Felek, nazywany tak ze względu na zdefasonowaną niegdyś mocno gębę i krzywy uśmiech, który mu do dziś pozostał, znany był na Łazarzu z lewych interesów i gry w trzy karty. Gry, w której to zawsze on był górą, bo ręce miał zwinne i potrafił kartę zamienić tak szybko, że nikt nie zdołał się zorientować. Tym razem jednak wyglądało na to, że trafił na zdecydowanego przeciwnika, który przygwoździł mu wygrywającą kartę pięścią.

Nikt nie miał ochoty na obstawianie. Widzowie czekali na wynik tego pojedynku. Nie wiedzieli jednak, że facet

w ortalionowym, zielonym kapeluszu i kraciastej marynarce, przyciskający pięścią kartę, to dobry znajomy Krzywego Felka, Bronek Kielonek, którego przezwisko wzięło się od jego ulubionego naczynia.

– To co, gościu, sprawdzamy? – zapytał Bronek.

– No sprawdzamy! – odparł drżącym z emocji głosem Felek.

– To jeszcze raz gadaj, frajerze, ile płacisz za wygraną.

– Dziesięć do jednego.

– Czyli za moją stówkę…

– Tysiaka. Dalej, nie gadaj już, tylko odkrywamy karty.

– Chwila, chwila! – Do przodu wysunął się jakiś facet w robociarskich ciuchach. – Ja też obstawiam.

– Już za późno! – warknął Felek.

– Jak za późno? – odezwał się Bronek. – Jak klient se życzy, to ma prawo, co nie?

– Pewnie, że ma – odezwał się ktoś z tłumu.

– Niech obstawia! – zawołał inny.

– Stawiam dwie stówki na kartę tego pana. – Robociarz wskazał na Bronka. Ten z uśmiechem wziął dwie setki i położył na karcie, cały czas przyciskając wszystko dłonią.

– Ja stawiam jeszcze trzy. – Szczupły młodzieniec o wyglądzie niedożywionego studenta podał trzy banknoty Bronkowi. Wtedy rzucili się inni. W niecałą minutę Kielonek miał pod pięścią prawie dwa tysiące.

– I co gościu, masz tyle bejmów, żeby wypłacić wszystkim? Bo coś mi się widzi, że będziesz musiał sprzedać swoje pory i trzewiki – zażartował Bronek, a jego żart towarzystwo przyjęło z radosnym rechotem. Krupier wyglądał na człowieka przegranego.

– Nie twój zasrany interes. Sprawdzamy i wypłacamy – odburknął Felek z wyraźną irytacją w głosie, świadczącą o tym, że pogodził się z kolosalną stratą.

Bronek podniósł pięść do góry, a Felek chwycił pokaźny plik pieniędzy i podniósł go ponad głowę, tak by wszyscy zobaczyli, że nie ma zamiaru oszukać graczy. Spojrzenia powędrowały w ślad za plikiem forsy a Bronek szybko podmienił kartę, przesuwając środkową na miejsce tej, którą przytrzymywał kułakiem.

– No to sprawdzamy! – zawołał krupier i chwycił kartę. Przez sekundę trzymał ją w ręce, a potem z namaszczeniem położył na śmietnikowym stole. Ludzie jęknęli. As pik przegrywał. Dla porządku Felek odwrócił jeszcze dwie pozostałe karty. As kier był tuż obok.

– No trudno, uczciwie przegrałem – stwierdził Bronek, błyskawicznie pogodziwszy się z porażką.

– Ja pierdolę, moje trzy stówki! – zawołał student, który się nie pogodził.

– Oddawać kasę! – krzyknął niezadowolony robociarz.

Bronek rozłożył bezradnie ręce.

– Jak się gra, to można i stracić. Rozkładaj pan karty, bo się muszę odegrać.

Nie zdążył, bo tłum nagle rozpłynął się po targowych alejkach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Krupier podniósł wzrok znad kubła na śmieci i dojrzał wpatrzone w siebie oczy milicjanta.

Plutonowy Teofil Olkiewicz wziął się pod boki i z zadowoleniem przyglądał się staremu znajomemu. Obaj pochodzili z tej samej dzielnicy i znali się od dziecka.

– Jak pragnę socjalizmu, co mnie pan klientelę straszysz! – jęknął Felek na widok dawnego kolegi. Oczywiście mówili sobie po imieniu, ale przy ludziach nie wypadało się tak do siebie zwracać, zwłaszcza że Olkiewicz był w mundurze, a karciany oszust nie powinien mieć kolegi szkieła.

– Kiedyś się doigracie, obywatelu, za te nabieranie naiwnych i wasze oszustwa.

– Jakie oszustwa? – próbował ratować swojego wspólnika Bronek, ale milicjant nie dał mu szansy na kontynuację rozmowy.

– A ciebie kto pytał, Kielonek, co? Wypierdalaj mi zaraz stąd, pókim dobry, bo zaraz cię na czterdzieści osiem za zakłócanie porządku wpakuję.

– Czy ja co gadam, panie władza? Mnie tu w ogóle dziś nie było – powiedziawszy to, zniknął natychmiast między straganami ze starzyzną.

– Teoś, jak Boga kocham, co ty mnie obciach na ulicy robisz? – Felek spojrzał na milicjanta z wyraźnym żalem w oczach.

– Wielkie czasy wymagają wielkich poświęceń – zacytował z głowy frazes, który usłyszał na kursach ideologicznych, ale nie zapamiętał, kto to powiedział i dlaczego.

– Jakich poświęceń?

– No różnych. Na ten przykład takich, że musimy pogadać, a ja nie mam czasu czekać.

– No to trzeba było tak od razu. Weź ino mnie skuj w łańcuchy i idziemy – zgodził się Felek, bo nie miał innego wyjścia. Wszyscy widzieli, że gadał z milicjantem, więc tylko zatrzymanie było honorowym wyjściem.

Po chwili obaj dawni koledzy siedzieli na tylnej kanapie milicyjnego wozu. Olkiewicz klepnął kierowcę w ramię.

– Jedź, bracie, na pętlę autobusową naprzeciw szkoły pancernej.

Starszy szeregowy włączył silnik i auto pomknęło przez miasto.

– A czemu tam jedziemy? – zapytał aresztowany Felek, któremu Olkiewicz właśnie zdejmował kajdanki.

– Bo tam jest knajpa na tej pętli. Jedyna taka knajpa w Poznaniu, gdzie nikogo nie dziwi, że ktoś w mundurze siedzi przy stoliku z cywilem i razem piją piwo. A ja se zamierzam z tobą wypić i jeszcze do tego pogadać.

– A o czym pogadać, że się kurturalnie zapytam.

– Jak o czym? O tym, o czym wszyscy gadają. O czarnej wołdze.

Czwartek 23 maja
Godzina 16.30

Dionizy Ograbek nie spieszył się do domu. W zasadzie to nie chciał wcale tam wracać po tym, co wydarzyło się ostatnio. Gdy wrócił nocą po piciu ze swoim szefem i z radosną nowiną, że niedługo już będzie starszym referentem i do tego jeszcze z sensacyjną wiadomością o uprowadzeniu na jego oczach małej dziewczynki – żona Krystyna, zamiast pochwalić jego przedsiębiorczość i umiejętność załatwiania, wystrzelała go po pysku, tak że przewrócił się w przedpokoju i leżąc między butami i parasolkami, spędził tak całą noc. Następnego dnia rano umył się, ogolił i nie odezwawszy się do kobiety słowem, wyszedł z domu. Postanowił, że nie będzie już nigdy więcej rozmawiał z tym durnym babskiem i w ogóle dobrze by było, gdyby porwała ją w cholerę jakaś czarna wołga. No, ale skąd wziąć taką wołgę, jak jego nie było stać nawet na motorower Komar. No więc dopóty dopóki nic jej nie porwie, postanowił ukarać ją w ten sposób, że po pracy zamiast do domu miał zamiar udawać się do knajpy i tam pić radośnie w wesołej kompanii równie wesołych pijaków.

Jako że mieszkał na Wildzie, zdecydował, że będzie chodził pić do pobliskiej piwiarni na ulicy Dzierżyńskiego, która kiedyś

nazywała się Półwiejska a od pewnego czasu nosiła dumne nazwisko radzieckiego rewolucjonisty. Jednak nikt w Poznaniu nie chodził po ulicy Dzierżyńskiego, bo wszyscy nadal spacerowali Półwiejską. Krwawy Felek nie miał tu wielkiego poważania. Za to piwiarnia przy ulicy jego imiennika była jak najbardziej lokalem cieszącym się wielką estymą, gdyż było to jedno z nielicznych miejsc w mieście, w którym piwo poznańskie było w ciągłej, całodziennej sprzedaży.

Ograbek przyszedł tu drugi raz z rzędu i miał po wczorajszym biesiadowaniu już kilku znajomków. Rozpoznał ich i każdemu z osobna grzecznie się ukłonił, a potem przy barze zamówił sobie duży kufel jasnego z pianką. Zadowolony usiadł przy wolnym stoliku, zamoczył usta w piwie i pociągnął spory łyk.

Właściwie życie pijaka może być całkiem przyjemne, pomyślał, delektując się musującym napojem, którego dotąd prawie w ogóle nie pijał, gdyż szkoda mu było na to pieniędzy.

– Wolne tu jest? – zapytał niezbyt wysoki mężczyzna o okrągłej, uśmiechniętej i ogolonej twarzy, z wyraźną łysiną na czubku głowy. Do tego jeszcze był najwyraźniej umyty, bo nie śmierdział potem a przemysławką. Facet mógł mieć około trzydziestki i nie wyglądał na pijaka tracącego w knajpie wszystkie pieniądze. Ograbek, który znał się na ludziach, rozpoznał w nim raczej takiego, co pije sporadycznie, ale czyni to z radością.

– Siadaj pan. – Wskazał na wolne krzesło. Facet usiadł, stawiając przed sobą swój kufel.

Przez chwilę referent bankowy lustrował przybysza taksującym spojrzeniem. Wrażenie sprawiał całkiem dobre. Miał na sobie szarą, nieco zbyt obszerną marynarkę, a pod nią koszulę, w kolorze milicyjnym – taką łatwo było dostać, jeśli się miało znajomych w milicji, bo funkcjonariusze, którzy

dostawali przydział sortów mundurowych, wyprzedawali wszystko, co tylko ktoś chciał od nich kupić.

– Ładna pogoda – powiedział łysy, żeby coś powiedzieć.

– No – zgodził się z nim referent. – W zeszłym roku o tej porze też było ładnie.

– No, w maju jest ładnie, przeważnie. A pan szanowny to z Poznania?

– Z Wildy.

– O proszę, ja też z Wildy. Coraz więcej samochodów jeździ po naszych ulicach – stwierdził łysy, wpatrując się w auto zaparkowane przy chodniku, na wprost barowego okna.

– Dużo zagranicznych również – zgodził się z nim Ograbek, choć pod barem stała polska syrenka. – Ludziom się lepiej żyje w sumie.

– Piwa można się napić, a w restouracji zawsze kotleta dewolaj zamówić.

– A na pierwszego maja to dawali parówki z bułką prosto z dostawczaka i piwo było, i orenżada.

– Parowki były, prawda – przypomniał sobie łysy wywiadowca Teofil Olkiewicz, który pierwszego maja zjadł chyba dziesięć parówek, bo miał z pracy załatwione bezpłatne talony. Przysiadł się do tego człowieka nieprzypadkowo. Wczoraj jego dawny kumpel Felek wspomniał mu o facecie, który w barze na Półwiejskiej opowiadał ludziom o czarnej wołdze i porwanej dziewczynce. Dlatego Olkiewicz swój pierwszy dzień wywiadowczej służby postanowił zacząć od odnalezienia owego gościa. Zaprzyjaźniony z Olkiewiczem barman wskazał mu tego od czarnej wołgi, więc Teofil przysiadł się do niego natychmiast.

– Aut to nawet za dużo – stwierdził tajniak. – Spaliny w powietrzu trujące się unoszą i w ogóle kłopot z tymi samochodami…

– Prawda panie – podchwycił zaraz temat Ograbek. – A co poniektóre to nawet niebezpieczne są.

– Tak jest! – zgodził się Olkiewicz. – Pędzą tak, że strach przez ulicę przejść.

– I jeszcze ludzi porywają!

– Niemożliwe.

– Możliwe. Sam widziałem.

– Co pan widziałeś?

– Porwanie. Jak porwali małą dziewczynkę.

– Kto porwał?

– Kto, to ja nie wiem, ale widziałem, jak porwała ją czarna wołga!

Godzina 22.30

Plutonowy Olkiewicz nie był człowiekiem odznaczającym się szczególnie przenikliwym umysłem. Obce były mu też wszelkie kalkulacje, jakie cechowały śledczych oficerów. On do celu zmierzał zawsze drogą najprostszą i zazwyczaj ten sposób działania przynosił efekty. Może nie zawsze takie, jakich się ów sumienny funkcjonariusz spodziewał. Najczęściej nie były spektakularne, ale na pewno odbijały się głośnym echem od ścian jego macierzystego komisariatu. Tym razem miał nadzieję, graniczącą niemal z pewnością, że jego kolejna akcja zakończy się olśniewającym wszystkich, a przede wszystkim jego nowego dowódcę, sukcesem. To dlatego – zamiast iść do domu po wypiciu dwóch flaszek wódki z przyszłym starszym referentem Ograbkiem – pełen energii poszedł na ulicę Kantaka. Zamierzał przeprowadzić coś w rodzaju wizji lokalnej. Dotąd nie dane mu było uczestniczyć w prawdziwym milicyjnym eksperymencie śledczym, jednak słyszał, że

oficerowie tak właśnie robią. Idą na miejsce zdarzenia i przy pomocy pozorantów odtwarzają całą sytuację związaną z przestępstwem. Był jednak pewien problem – Olkiewicz nie miał pod ręką żadnego pozoranta. Ale od czego głowa na karku i zapał do działań? Postanowił, że w trudnych warunkach wizja lokalna może się odbyć bez udziału statystów. Wystarczy on sam do zbadania miejsca, w którym doszło do porwania – zwłaszcza że znał je dość dobrze, bo od czasu do czasu korzystał z uroków dancingu w Moulin Rouge.

Wkroczył na ulicę Kantaka obok ogrodzonego drewnianym płotem ogromnego placu budowy. Idąc wzdłuż płotu, zastanawiał się, co też ciekawego powstanie w tym miejscu, bo ludzie różnie mówili. Większość jednak była przekonana, że postawią tu jakieś wieżowce, żeby Poznań wyglądał jak prawdziwie wielka metropolia.

Przystanął na chwilę i przez dziurę w płocie zajrzał na plac budowy, ale niczego nie dostrzegł, bo było zbyt ciemno. Postanowił więc, że w najbliższym czasie sprawdzi, co tam się dzieje, a nawet porozmawia sobie ze stróżem budowlanym, żeby się wszystkiego wywiedzieć. Musiał przyznać, że praca wywiadowcy dawała mu nieograniczone możliwości.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zdecydował więc, że rozejrzy się na miejscu przed knajpą, a później wejdzie do środka i może tam z kimś sobie pogada. No a jak już pogada, to może i coś jeszcze wypije. W końcu godzina była młoda, a on całkowicie trzeźwy. Ruszył więc w głąb ulicy i nagle przystanął, bo to, co zobaczył, przyprawiło go o szybsze bicie serca. Przed wejściem do lokalu stała mała dziewczynka. Stała przy chodniku i spoglądała w kierunku ulicy 27 Grudnia.

W pierwszej chwili Olkiewicz pomyślał, że ma halucynacje. Zamrugał więc oczami, a gdy wizja nie uleciała, trzepnął się w czoło otwartą dłonią. Nic nie pomogło. Ruszył więc szybko

w kierunku dziewczynki, by ją ostrzec, że tu się porywa dzieci, jednak nie zdążył. Naraz na ulicy pojawił się czarny samochód. Kierowca zatrzymał auto przy chodniku i zaraz otworzyły się przednie drzwi od strony pasażera. A dziewczynka zamiast uciekać, wskoczyła do środka. Olkiewicz jednak nie dał za wygraną. Pobiegł ile sił w nogach i po chwili był już przy czarnej wołdze. W pierwszym odruchu chciał rzucić się na maskę, by uniemożliwić porywaczowi ucieczkę, jednak górę wziął czysty milicyjny profesjonalizm. Szarpnął klamkę tylnych drzwi i niewiele się zastanawiając, wskoczył na tylne siedzenie za kierowcą.

– Milicja obywatelska, nie ruszać się! – zawołał groźnym głosem, wydobywając jednocześnie z kieszeni marynarki swój pistolet TT.

Kierowca i dziewczynka jednocześnie odwrócili się do tyłu.

– Co jest, do kurwy nędzy! – krzyknął mężczyzna. – Wypierdalać mi stąd, bo jak nie…

Teofil nie zamierzał spokojnie słuchać, jak ten obrzydliwy porywacz brzydko się wyraża, zwłaszcza w obecności dziecka. Chwycił pistolet za lufę i kolbą przyłożył krzykaczowi w łeb. Ten zwalił się na kierownicę, uderzając głową w klakson. Samochodowa syrena zaczęła przeraźliwie wyć, mimo to Olkiewicz, dumny ze swojego czynu, zwrócił się do uratowanego dziecka.

– Wolna jesteś dziewczynko. Już ci nie zrobi krzywdy…

– Ty pierdolony kretynie, całkiem cię popierdoliło?

Otworzyła drzwi i wysiadła z auta. Teofil chciał ją chwycić za rękę, ale nie zdążył. Dziecko zniknęło, a Olkiewicz pomyślał, że to dziecko nie jest zbyt dobrze wychowane, skoro już od maleńkości używa brzydkich wyrazów.

Wokół samochodu tymczasem zebrał się spory tłum gapiów, którzy zaciekawieni trąbiącym autem wylegli z Moulin Rouge.

Teofil wysiadł więc z auta, zlustrował ludzi stojących na chodniku. Dostrzegłszy wśród nich znajomą twarz szatniarza, pana Zdzisława, powiedział, wskazując na ogłuszonego kierowcę:

– Panie Zdzichu, zadzwoń pan na milicję i powiedz, że plutonowy Olkiewicz właśnie zatrzymał czarną wołgę wraz z porywaczem dzieci.

Pan Zdzisław spojrzał na samochód, potem na Olkiewicza i, nie wiedzieć czemu, wybuchnął gromkim śmiechem.

Czwartek 23 maja
Godzina 8.30

Kapitan Wróbel siedział za swoim biurkiem w pokoju na drugim piętrze komendy Stare Miasto i z zainteresowaniem czytał raport, który przed chwilą dostarczono mu z komendy miejskiej. Olkiewicz – ubrany w swój wysłużony mundur plutonowy – stał przed biurkiem na baczność i wpatrywał się w okno, a dokładniej w dwa gołębie, które siedziały na dachu budynku po drugiej stronie ulicy Marcinkowskiego. Właściwie to jeden siedział, a drugi chodził koło niego to w jedną, to w drugą stronę. Teofil zastanawiał się, po jaką cholerę gołąb tak łazi, jednak obserwację ornitologiczną przerwał mu kapitan.

– No tak, Olkiewicz, wygląda na to, że jeszcze długo w poznańskiej milicji będą o was ludzie mówić.

Teoś chrząknął, bo chciał coś z siebie wydusić, ale tak naprawdę nie miał pojęcia, co wypada powiedzieć w takiej sytuacji. Nie zdążył. Wróbel powstrzymał go wyciągniętą dłonią.

– Trzeba być skończonym kretynem, żeby nocą napadać na służbowe auto. Ale jeszcze większym kretynem trzeba być, żeby

po rejestracji nie poznać, że to auto należy do Milicji Obywatelskiej. A skończonym idiotą trzeba być, Olkiewicz, żeby siedząc w tym aucie, nie rozpoznać w kierowcy komendanta miejskiego milicji i tego komendanta kropnąć w głowę pistoletem.

Odłożył raport na biurko i spojrzał ostro na swojego podwładnego.

– Do tego wszystkiego mam jeszcze protokół przesłuchania niejakiej Loli Dzidzi – prostytutki, która znana jest z tego, że ubiera się jak mała dziewczynka. I ta prostytutka opisuje, jak wskoczyliście do auta i zdzieliliście w głowę człowieka, który zaprosił ją na przejażdżkę. I na tym właśnie polega wasze szczęście, Olkiewicz. Bo gdyby nie zeznanie tej małej dziwki, już by było po was. Ale zeznanie jest spisane i komendant miejski już je przeczytał. Więc mu trochę jest głupio, że został przyłapany w służbowym aucie z tą małą kurewką. Dlatego sprawy w ogóle nie będzie. Zapominamy o wszystkim, tyle że komendant nie ma ochoty widzieć was w swojej komendzie. A to oznacza, że ja będę musiał was znów codziennie widywać u siebie. Wasza kariera wywiadowcy z komendy miejskiej nieodwracalnie się skończyła. Wracacie w mundurze na ulicę.

Olkiewicz spuścił głowę i wbił spojrzenie w swoje wyglancowane milicyjne buty.

– No co, Olkiewicz, cieszycie się? Bo ja wam powiem, że wcale się nie cieszę.

Teofil pokiwał głową, ale nic nie odpowiedział, bo jakoś mu zabrakło słów. Zresztą o czym tu było gadać. Cieszył się, że sprawa czarnej wołgi skończyła się dla niego pomyślnie. Mogli go przecież wyrzucić ze służby, a to by było dla niego największą karą. W końcu był milicjantem z krwi i kości. Wiedział, że jeszcze niejedno śledztwo przed nim. Nie wykazał

się teraz, to spróbuje następnym razem. Jeszcze się na nim poznają... ■

ROBERT
MAŁECKI

KOSA

Fot. Łukasz Piecyk

ROBERT MAŁECKI
Jest filozofem, politologiem i dziennikarzem, autorem powieści „Najgorsze dopiero nadejdzie” i „Porzuć swój strach”. Opublikował kilka opowiadań, jest laureatem ogólnopolskich konkursów na opowiadanie kryminalne (Międzynarodowy Festiwal Kryminału we Wrocławiu, Kryminalna Piła). W 2017 r. ukazał się drugi tom powieści „Porzuć swój strach”, a niebawem Marek Bener powróci w kolejnym tomie „Koszmary zasną ostatnie”.

O czym pomyślisz, jeśli zaraz umrzesz?

Nie. Nie za tydzień ani za miesiąc, tylko tu i teraz. W chwili, w której widzisz, jak żółte światło ulicznych lamp błyska na stali noża, migocze w zaspach śniegu i odbija się w zamarzniętych kałużach.

Co zrobisz, kiedy nie będziesz już czuł własnego ciała? A może zwalisz to na odmrożenie? Na ten cholerny mróz…

Czy będziesz się bał?

Bo ja się bałem. Strach owinął się wokół żołądka, kiedy spojrzałem na swoje ręce. Lepiły się od krwi. Jej metaliczny zapach drażnił nos i chociaż biegłem, nie opuszczał mnie nawet na moment.

Obejrzałem się za siebie.

Był coraz bliżej.

Przeklinałem tych kilka piw, które wychlałem na szybko. Spowalniały mnie, szumiały w głowie, gdy łapiąc równowagę zatańczyłem na oblodzonym parkingu. Z każdym krokiem opadałem z sił. A właściwie z każdym kolejnym krokiem wchodziłem śmierci pod kosę.

Tak to właśnie czułem.

A ty?

O czym pomyślisz, jeśli już wiesz, że zaraz umrzesz?

*

Zabójstwo w święta Bożego Narodzenia

Toruń. W nocy z 25 na 26 grudnia, pod oknami rektoratu przy ul. Gagarina, 23-letni mężczyzna padł ofiarą nożownika. Policja poszukuje sprawcy.

Ze wstępnych ustaleń śledczych wynika, że w pobliskim barze doszło do sprzeczki dwóch mężczyzn. Po kłótni jeden z nich opuścił lokal, zostawiając w nim swoich znajomych. Jego śladem ruszył oprawca. Dogonił i zadał kilka ciosów nożem. Mimo podjętej akcji ratunkowej ofiara zmarła po przewiezieniu do szpitala.

Do sprawy wrócimy.

ALDONA TERLECKA

*

Kiedyś w radiu leciała taka piosenka: „Bo to się zwykle tak zaczyna”. Stare gówno o miłości, moja babka słuchała, stąd pamiętam. A przypomniały mi się te słowa, bo pasują do tego, co chciałem opowiedzieć. Bo teraz też zaczęło się jak zwykle. Łubu-dubu było później.

Kiedy masz dwadzieścia trzy lata, świat stoi przed tobą otworem. I przed nami też by stał, gdyby nie Jądro. Tak go przezywaliśmy, bo on podobno nosił w majtach tylko jedno jajko. Niby od urodzenia tak miał. Olek zapewniał, że Jądro jest swój chłop i żadnej chryi nie będzie. I ja, głupi, mu zaufałem.

Jądro nagrał nam jedną robotę u papugi, który miał w domu sporą kolekcję monet. Zaczęło się od jego dziadka, potem zbiory przejął ojciec, a kiedy ten zmarł, kolekcję odziedziczył jedyny syn, adwokat. Pisali o nim nawet w gazetach, że ta kolekcja waży więcej niż on sam, grubas jeden, i że nie da się jej wycenić. Sroty pierdoty. Wszystko da się wycenić, tak mówił Jądro.

Matka Jądra co tydzień sprzątała temu papudze chałupę. I ten adwokacina ciągle nawijał jej o swojej kolekcji, pokazywał te okrągłe skarby, pieścił szmatką białe kruki. No to ona nawijała o tym synowi, gdy zmęczona kładła się na wersalce w swoim mieszkaniu.

Spotkaliśmy się we trójkę na piwku, od słowa do słowa, a raczej od żartu do żartu, obmyśliliśmy, jak mu ten bilon dmuchnąć. Ale my nie palcem robieni. Ukraść kolekcję to jedno, ale spieniężyć to już insza inszość. O to miał się zatroszczyć Olek. Podobno był taki jeden alchemik, co potrafił wszystko zamienić w dolary. Jakiegokolwiek fanta by nie dostał, zawsze znalazł kupca. Gość był obrotny. Olek ustalił z nim szczegóły, mieliśmy dostać kasę od ręki. Tylko, jak to w życiu bywa, niełatwo coś dużego podzielić na trzy. Zresztą co tu gadać. Po jaką cholerę cokolwiek dzielić.

No dobra, początkowo miałem ochotę, żeby samemu się wziąć z tym za bary, ale wiedziałem, że nic z taką kolekcją nie zrobię, że nie oddam jej przecież na złom. Być może Olek też chciał nas wystawić, ale najlepsze było to, że wyruchał nas facet z jednym jajkiem.

Robota była łatwa. W dniu, w którym matka Jądra szła do papugi, dał jej znać, że wychodzi na siłkę. Nic nowego, zawsze tam łaził, więc alibi miał dobre. W rzeczywistości poszliśmy we trójkę na kilka browarków, żeby dodać sobie animuszu. Jądro stawiał. Potem pojechaliśmy pod dom adwokata. Zmierzchało już, wewnątrz paliły się światła. Ding-dong i nawijka przez domofon, potem brzęczyk i już szedłem chodnikiem w stronę ganku. Naciągnąłem kominiarkę, a kiedy kobitka uchyliła drzwi, wjechałem z buta. Zagnałem papugę z matką Jądra do jednego pokoju. Kosę trzymałem w zaciśniętej dłoni, więc byli grzeczni. A Jądro w tym czasie miał zabrać klasery z poddasza.

Długo to trwało, ale w końcu dał znać, że już czas. Razem puściliśmy się biegiem do samochodu. Gaz i w długą.

Olek nastawił muzę, basy łupały mi pod czaszką, darliśmy się w niebogłosy. Byliśmy panami tego świata. Pierwsza robota i od razu sukces. Ale szybko mi przeszło, bo odwróciłem się do Jądra. Siedział na tylnej kanapie i nie wyglądał na żadnego władcę. Nie cieszył się. Mi też nie było już do śmiechu, bo torba obok niego ziała pustką. Nie jechały z nami żadne klasery.

– Stchórzyłem – Jądro załkał, kiedy wjeżdżaliśmy na nowy most.

– Kurwa! – ryknąłem i chciałem mu przywalić.

Olek ściszył muzykę.

– Spokój! – urwał. Jądro to jego kumpel, więc był wyrozumiały. – Zdarza się. Nie rozpoznają nas, dymu nie będzie. Postawisz po piwie i gra. Będą jeszcze inne okazje.

Dwa dni później wypiliśmy piwo, wróciły humory. Pierwszy test mieliśmy za sobą i narastał w nas głód nowej roboty, tego zastrzyku adrenaliny i szansy na szybki zysk.

A jednak, ilekroć wracałem myślami do domu papugi, coś mi w tym wszystkim nie grało. Pomyślałem więc, że muszę spotkać się z Olkiem sam na sam, że ten Jądro jest jakiś trefny.

I wtedy właśnie było łubu-dubu, po którym zacząłem się zastanawiać, o czym się myśli, kiedy już wiadomo, że śmierć nie wypuści cię spod kosy.

*

Trwają poszukiwania nożownika

Jak wykazała sekcja zwłok, napastnik zadał 23-letniemu Marcinowi O. pięć ran kłutych w klatkę piersiową. Do zbrodni doszło w nocy z pierwszego na drugi dzień świąt.

Nożownik zaatakował na parkingu przed rektoratem przy ul. Gagarina. W miejscu, gdzie do niedawna było widać plamę krwi, wciąż leżą kwiaty i palą się znicze.

Przypomnijmy – w jednym z pobliskich barów między mężczyznami doszło do kłótni. W ruch poszły pięści. Dotarliśmy do świadków zdarzenia. O co poszło?

– To była zwykła pyskówka. Ten, który wszedł do baru, potrącił dziewczynę, jedną ze znajomych ofiary. Chłopak zwrócił mu uwagę, doszło do krótkiej bójki. Na szczęście w porę rozdzielili ich znajomi – wspomina właściciel lokalu, który przekazał nagrania z monitoringu toruńskiej policji.

Na filmie widać, że wkrótce po tym zdarzeniu Marcin O. opuszcza lokal. Później, korzystając z drobnego zamieszania, pub opuszcza też drugi mężczyzna.

Policja poszukuje świadków zabójstwa i apeluje o pomoc w ujęciu przestępcy. W tym celu publikujemy udostępnione przez funkcjonariuszy zdjęcia z kamer wideo, na których zdaniem policji widać podejrzanego o dokonanie zbrodni.

Szerzej o sprawie napiszemy w kolejnym tekście. Wtedy też przedstawimy nowe wątki w innej bulwersującej grudniowej sprawie – zaginięcia Jędrzeja Wolskiego.

ALDONA TERLECKA

*

Spotkaliśmy się z Olkiem jak zawsze w Piwniczce Gagarina, w pawilonie naprzeciwko uniwerku.

– Jądro nas wystawił – powiedziałem to, co czułem.

– Jak?

– Skubnął jakiegoś kruka – przypomniałem sobie, jak długo to trwało, zanim Jądro dał znak do odwrotu. Miał na poddaszu

sporo czasu. Za dużo, by wyjść z niczym. Od początku wiedział, co chce zabrać z kolekcji papugi, a przed nami aktorzył, że aż miło.

– Co ty pieprzysz?

– Mówię ci, podpieprzył coś i wyniósł w kieszeni. Mydlenie oczu z tymi klaserami. Zrobiliśmy mu laskę, a gnój od początku chciał nas wystawić.

I wtedy Olka coś tknęło. Zerwał się, ja za nim. Do wozu, strzał ze sprzęgła i już parkowaliśmy pod blokiem Jądra. Wpuścił nas, bo nawinęliśmy mu o nowej, szybkiej akcji. Jądro niechętnie pojechał z nami. Olek wywiózł nas za Toruń. Długo kluczył, mówiliśmy mu o nabitej fantami willi, do której dziś wieczorem mieli wrócić właściciele. Z ciepłych krajów. To miał być bezpieczny włam. Olek zatrzymał wóz w lesie i wysiadł. To samo zrobił Jądro. Ja też, ale od razu przyłożyłem gnojowi w brzuch. Zgiął się, nie mógł złapać tchu. Olek wyjął z bagażnika sznur, przewiązał chłopa w pasie, a pętlę zaczepił o hak. Podciął mu kolana, Jądro pacnął w śnieg.

– Wyruchałeś nas – spojrzałem mu prosto w oczy, gdy Olek siadał za kierownicą.

Z rury wydechowej buchnął kłąb czarnych spalin. Jądro jęknął.

– Gdzie go masz, co? – spytałem.

– Co ty pieprzysz? – spytał przerażony, bo już wiedział, że zrobimy mu kulig, o jakim nie marzył nawet w dzieciństwie.

– W chuja lecisz? – spytałem. – No to leć!

Klepnąłem w bagażnik.

Koła zabuksowały na ubitym śniegu, ale szybko złapały przyczepność i Jądrem szarpnęło. W ostatniej chwili złapał moją nogę, przewróciłem się i huknąłem głową o ziemię, aż zobaczyłem gwiazdy. Poczerniało mi w oczach. Długo mrugałem, zanim w końcu dostrzegłem oddalający się

samochód, który ciągnął za sobą jednojajowego. Jądro podskakiwał na wyślizganej leśnej drodze i darł ryja. Silnik wył na wysokich obrotach. W końcu wóz zniknął za zakrętem i wtedy nastała cisza. Wstawałem na raty jak pijak, bo las wciąż wirował. Kiedy złapałem równowagę, ruszyłem za nimi, ślizgając się na tym pieprzonym lodowisku. W końcu dotarłem do łuku leśnej drogi.

Wóz stał w poprzek, a Jądro z zakrwawionym ryjem leżał bez ruchu. Po pniu spływała świeża, czerwona maź. Musiał mocno przyłożyć. Patrzyłem na to, co zostało z Jądra, i zastanawiałem się, co czuje człowiek, kiedy wie, że za chwilę umrze. Bo sądzę, że on to wiedział. Dostrzegłem to kilka chwil wcześniej w jego oczach. I wtedy pomyślałem, że może on niczego papudze nie ukradł, tylko naprawdę stchórzył. Bo ani nas policja nie ścigała, ani gazety nie pisały o napadzie.

Olek łapał się za głowę, krzyczał i jęczał na przemian. Kiedy mnie dostrzegł, ruszył w moją stronę.

– To twoja wina! – wycelował we mnie palec. – Mieliśmy go tylko nastraszyć.

– Zamknij się, bo jeszcze ktoś usłyszy! – rozejrzałem się, ale byliśmy sami. Tylko my dwaj. I trup.

On jojczał, a ja saperką wydłubywałem zakrwawiony śnieg i rzucałem głębiej w las. Ktoś musiał mieć łeb na karku. Płynem do spryskiwaczy opłukałem pień. Potem zapakowaliśmy Jądro do wozu i odjechaliśmy. Ja prowadziłem, bo Olek twierdził, że nie da rady. „Może to i lepiej”, pomyślałem. Musieliśmy ochłonąć. Jak chcesz pozbyć się trupa, musisz myśleć trzeźwo.

*

Gdy było już po wszystkim, otrzepałem ręce z piachu. Pęcherze rosły na dłoniach, bo ziemia była twarda jak kamień.

Dziękowałem Bogu za gęsty śnieg, który pomagał w ukryciu świeżo rozkopanej ziemi i innych śladów.

Wkurzało mnie tylko to, że wszystko było na mojej głowie, a Olek, taki twardziel, zachowywał się jak baba. Znowu ja prowadziłem, a on wpatrywał się w stalowe niebo przez boczną szybę. Wstawiłem jego wóz do blaszaka, zamknąłem bramę na pordzewiałe kłódki.

Nie patrzył na mnie, nie ściągnął rękawiczek, nie uścisnął mi graby, tylko odebrał kluczyki i poczłapał do domu.

*

Rodzina, gliny i media szukały Jądra, podobno szukał go też ten dziennikarz, któremu kiedyś zaginęła żona. Ale musieliby mieć niezłego farta, żeby trafić na jego zwłoki. Może kiedyś. Więc na razie mogłem spać spokojnie, Olek chyba też.

Spotykaliśmy się rzadko, poza tym nic z tych naszych spotkań nie wynikało. Był cieniem dawnego Olka. Dopiero przed świętami zadzwonił do mnie i mówił, że musimy się spotkać. Pomyślałem, że mój stary kumpel wrócił.

W Piwniczce Gagarina było ciepło, Olek siedział przy stole, na którym stały w kuflach dwa browary z gęstą pianą. Usiadłem i wypiłem duży łyk.

– Wyjeżdżam z kraju. – Olek pocierał palcem rysy na blacie.

Nie odpowiedziałem, bo mnie to zaskoczyło.

– Potrzebuję kasy – dodał i dopiero podniósł wzrok.

– Nie mam – odparłem i dalej spokojnie piłem piwo.

– Musisz znaleźć. Trzy tysiące.

Zaśmiałem się.

– Masz czas do jutra.

– Jutro to są święta – nie przestawałem się uśmiechać.

– Trzy tysiące to niewiele.

– Posrało cię? Za co?

– Za to, że nikt nigdy nie sprawdzi odcisków palców na kierownicy mojego samochodu, na kluczykach i narzędziach, którymi kopałeś grób dla Jądra.

Chciałem mu rozbić kufel na łbie, ale tylko wstałem i wyszedłem z Piwniczki.

*

Pierwszego dnia świąt zadzwoniłem, że mam kasę, ale nie dam jej ot tak, tylko odkupię ten jego zasrany samochód. Nie był wart tej ceny, jednak za własny spokój mogłem zapłacić sporo. Umówiliśmy się na wieczór.

Siedziałem w pubie, a on nie przychodził. Denerwowałem się. Wypiłem trzy piwa, wpatrując się w zegarek. Wskazówki obracały się sennie. Raz jeszcze przeczytałem umowę kupna samochodu, sprawdziłem wszystkie detale, a potem znowu gapiłem się w tarczę zegarka. W końcu wyszedłem, zrobiłem rundkę do pętli autobusowej na końcu ulicy. Mróz szczypał w policzki. Chciałem ochłonąć. Kiedy wróciłem, Olek siedział w Piwniczce razem z paczką znajomych. Przypadkowo potrąciłem jakąś laskę, która wstawała od ich stolika. Olek udawał, że mnie nie zna. Zwymyślał mnie, więc dałem mu fangę w nos, żeby sobie nie myślał, kutas jeden. Szybko nas rozdzielili. Przeprosiłem, grzecznie usiadłem przy stoliku obok, tak by go mieć na oku. W pewnej chwili skinął na mnie i wyszedł na mróz. Odczekałem chwilę, żeby nie budzić niczyich podejrzeń.

Przeszedłem przez ulicę na opustoszały parking przed uniwerkiem. Kiedy go dogoniłem, odwrócił się i powiedział, że stawka wzrosła. Wyciągnąłem pieniądze i chciałem mu wepchnąć kopertę za pazuchę, kazał mi jednak wsadzić ją sobie

w dupę. Umowę też. Chciał dziesięć tysięcy. To była nowa cena za mój spokój.

Niepotrzebnie te piwa wypiłem. A może niepotrzebnie zabrałem z domu kosę, bo ręka natychmiast ją odszukała. I potem już nic nie pamiętam. Tylko to, że ręce miałem we krwi, że Olek jęknął i że ktoś zaczął mnie gonić.

Biegłem więc przed siebie, aż drogę zajechał mi samochód. Było ciemno, kierowca uchylił drzwi i krzyknął coś, czego z początku nie zrozumiałem. Myślałem, że to policja.

Byłem w pułapce.

Pamiętam tylko, że nogi wrosły mi w ziemię, obejrzałem się za siebie i w głowie zadudniło mi to pytanie.

O czym pomyślisz, jeśli już wiesz, że zaraz umrzesz?

*

Morderca już w rękach policji

Toruńscy kryminalni zatrzymali nożownika podejrzewanego o zabójstwo Marcina O. i rozwiązali sprawę tajemniczego zaginięcia Jędrzeja Wolskiego. Niestety mężczyzna nie żyje, a jego ciało znaleziono w podtoruńskim lesie.

– W złapaniu podejrzanego pomogli torunianie, którzy rozpoznali go po opublikowaniu w lokalnych mediach zdjęć z monitoringu – chwalił postawę mieszkańców podkomisarz Leon Brodzki z tutejszej komendy, który był obecny na wczorajszej konferencji prasowej. – W ciągu kilku dni nasze telefony rozgrzały się do czerwoności, zebraliśmy wiele sygnałów, z których każdy musiał być skrupulatnie sprawdzony.

Tak brzmi wersja oficjalna. Nieoficjalnie mówi się jednak, że Brodzki, którego koledzy nie bez przyczyny nazywają Gwiazdą, sam odnalazł i zatrzymał niebezpiecznego przestępcę. Na

sukces Brodzkiego, szykującego się powoli do odejścia na emeryturę,cieniem kładą się podejrzenia. Z naszych informacji wynika, że aresztowany mężczyzna został dotkliwie pobity. Brodzki nie komentował tej sprawy, bo trudno brać za komentarz tajemniczy uśmiech funkcjonariusza.

Z kolei Gromosław Halicki, komendant miejski policji, odnosząc się do sprawy, podkreślił tylko, że nie ma żadnych zastrzeżeń do pracy podkomisarza Brodzkiego i że zatrzymanie odbyło się zgodnie z policyjnymi procedurami, co poświadcza wewnętrzne dochodzenie komendy wojewódzkiej w tej sprawie.

ALDONA TERLECKA

*

– Marek…

Bener wyraźnie słyszał w słuchawce matowy głos, mimo że nad Wisłą gwizdał wiatr. Zimowy świt wstał z mozołem, wychylał się wolno znad czarnych drzew. Bener patrzył na szerokie zakole rzeki i napływający nurtem śryż. Oddychał ciężko. Z jego ust wydobywały się kłęby gęstej pary.

Brodzki.

Znał tego glinę od lat, pomogli sobie w kilku sprawach. Nie byli przyjaciółmi, nie stukali się pokalami w toruńskich knajpach, ale wiedzieli o sobie wystarczająco dużo, by traktować się z respektem. Znali się na swojej robocie i od czasu do czasu wyświadczali sobie drobne przysługi. Właściwie to było ich trzech, bo był jeszcze Ivo Strauss. Ale tym razem sprawa dotyczyła tylko Brodzkiego i Benera. Dwaj panowie B.

– Marek… Wiem, że tam byłeś.

Bener westchnął.

– Szukałeś Wolskiego i trafiłeś na trop, który zaprowadził cię do tych chłopaków. Ale jeden z nich wykrwawił się, a drugiego nie możemy namierzyć.

Nie odzywał się, bo musiałby kłamać. Było tak, jak mówił Brodzki. Dostał zlecenie od rodziny Wolskiego. Po nitce do kłębka i przy wsparciu Iva Straussa namierzył dwóch leszczy. Śledził jednego z nich, tego Łysego, i tak dotarł do pubu przy Gagarina. Siedział w samochodzie i obserwował to, co działo się wewnątrz. Z początku ziewał z nudów, potem zauważył przepychankę. Najpierw jeden wypadł na zewnątrz, zaraz za nim drugi. Obaj przeszli nawet koło jego wozu, ale żaden nie zwrócił na Benera uwagi. Dziennikarz ustawił lusterko wsteczne tak, by mieć ich na oku. Wtedy kolejna osoba przemknęła obok jego samochodu. Był to znajomy Marcina „Olka" Oleksiejuka.

Łysy dogonił kolegę, doszło do szamotaniny i nagle Olek leżał już na parkingu przed rektoratem, a Łysy zaczął uciekać. W pościg za nim ruszył ten trzeci, który wyszedł za nimi z pubu. Bener zareagował natychmiast. Uruchomił samochód i wystrzelił z parkingu jak z procy. Sunął Gagarina, obserwując Łysego. Skręcił w lewo przy akademiku. Uciekinier niemal wpadł mu pod koła. Wtedy Bener uchylił drzwi.

– Wskakuj! – krzyknął. – Zmywamy się.

I ten idiota to zrobił. Liczył na to, że Bener uratuje mu życie.

Brodzki odezwał się ponownie. Nie podnosił głosu, nie rozkazywał. Może wiedział, że nie warto.

– Kamery przy Gagarina zarejestrowały twój wóz. Widać w nim dwie osoby – stwierdził spokojnie.

Wiatr znowu zawył.

– Nie rób tego – brzmiało jak zwykła prośba, jakby Brodzki prosił tylko o papierosa. – Zostaw śmiecia.

Bener odwrócił wzrok od zamarzającej Wisły i spojrzał na leżącego na śniegu skrępowanego mężczyznę. Zabrał go spod akademika przy Gagarina tylko po to, by dowiedzieć się, gdzie zakopali Jądro. Ale Łysy zgrywał twardziela, więc Bener musiał go nastraszyć.

Sznur wbijał się w nadgarstki Łysego i ciasno opinał nogi w kostkach, a następnie tonął w śniegu i prowadził do obwiązanych płyt chodnikowych. Bener obiecał mu przyspieszony kurs pływania w Wiśle. Z betonowym kołem ratunkowym. To rozwiązało mu usta i teraz Bener mógł go przekazać policji.

Zdradził Brodzkiemu, jak dojechać do miejsca, w którym się znajdowali. I rozłączył się.

Potarł zimne dłonie. Kiedy zginał palce, bolały go kłykcie i otarcia na kostkach.

Wrócił do samochodu, usiadł za kierownicą i zwiesił głowę. Długie włosy jak kotara zasłaniały mu widok. Odpoczywał z półprzymkniętymi powiekami. Czas płynął, a ciszę przerywały jedynie krzyki mew dochodzące z oddali i głośne pojękiwania wiatru. Wszystko w smutnej tonacji moll.

Bener długo trwał bez żadnego ruchu. Wreszcie podszedł do leżącego na śniegu, rozciął nożem więzy i pociągnął go za nogi do samochodu. Oparł go plecami o przednie koło. Mężczyzna zawył, grymas bólu wykrzywiał mu usta, a strużka świeżej krwi wypłynęła z napuchniętej wargi.

Bener kucnął przed nim.

– Ej! – warknął w chwili, gdy usłyszał narastający dźwięk silnika.

Mężczyzna na chwilę otworzył jedno oko, bo drugie pozostało zamknięte przez opuchliznę.

– Powiedz, o czym się myśli, kiedy już wiesz, że zaraz umrzesz, co? – Bener spytał go, ale nie uzyskał żadnej

odpowiedzi.

Zadał to pytanie jeszcze raz, i kolejny, aż wreszcie zaczął się śmiać jak opętany.

I śmiał się tak nawet wtedy, gdy obok niego stanął Brodzki.

*

Od autora

Inspiracją było prawdziwe zdarzenie kryminalne, które miało miejsce w Toruniu, w nocy z 26 na 27 grudnia 2015 roku. ■

MAŁGORZATA ROGALA

CÓRA KORYNTU I PRAWICZEK

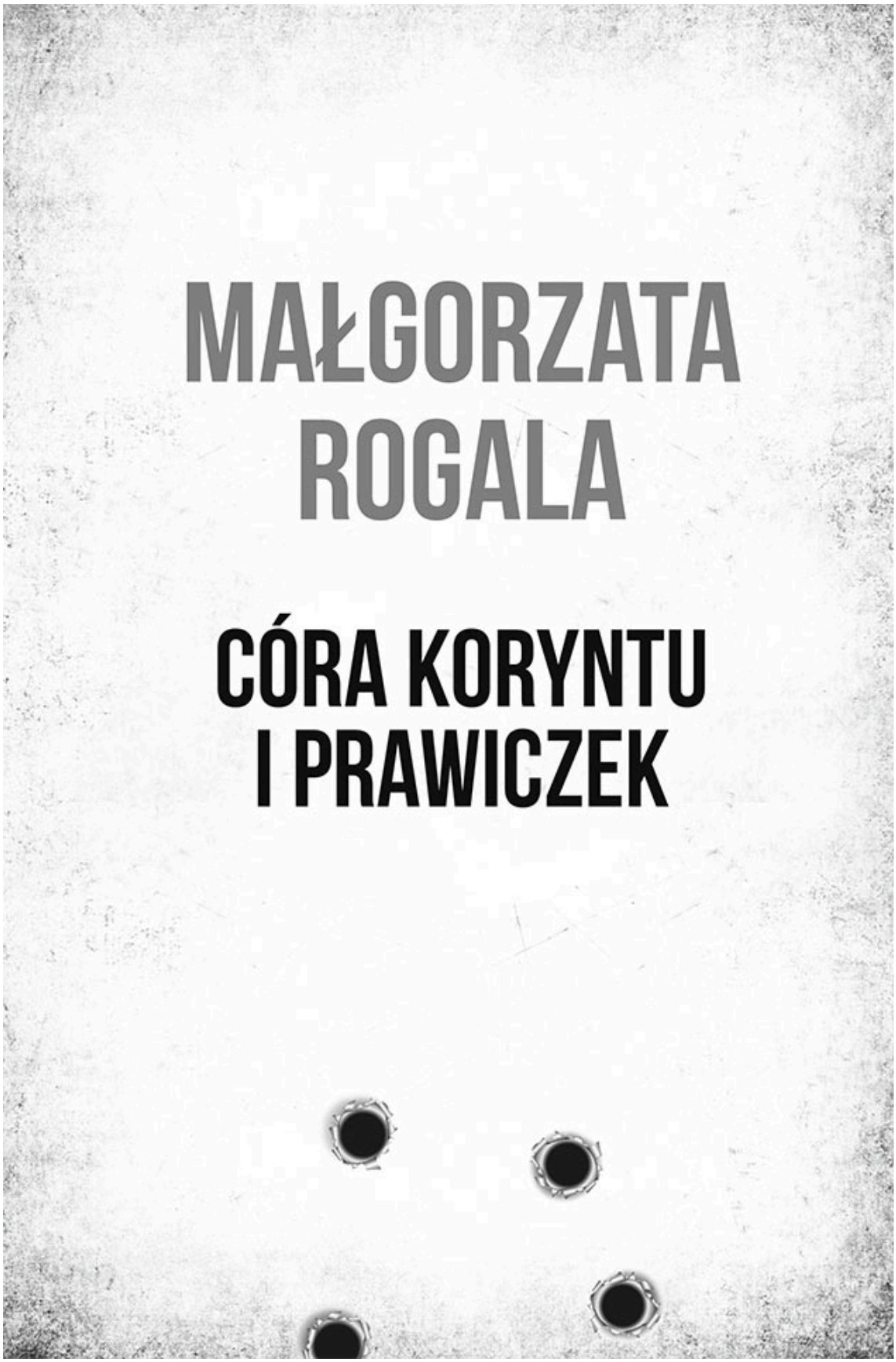

Fot. Wydawca

MAŁGORZATA ROGALA
Introwertyczka, miłośniczka języka francuskiego i muzyki jazzowej. Nałogowa czytelniczka. Lubi wstawać wcześnie rano, pić kawę z kardamonem i wsłuchiwać się w ciszę. Ma słabość do powieści Marca Levy`ego i domowych słodyczy wegańskich. Jest autorką powieści obyczajowej „To, co najważniejsze” (2012) oraz powieści kryminalnych: „Kiedyś cię odnajdę” (2014), „Zapłata” (2015), „Ważka” (2017), „Zastrzyk śmierci” (2017), „Grzech zaniechania” (2018).

Ściskając pistolet, obserwował powiększającą się kałużę krwi i myślał o egzaminie na aplikację. Dziadek często powtarzał, że przepisy są pełne luk, a dobry adwokat to nie ten, który postępuje zgodnie z literą prawa, tylko ten, który te luki potrafi wykorzystać i rozumie, że czasem trzeba wziąć sprawiedliwość w swoje ręce.

*

Tydzień wcześniej

Wreszcie nadeszła wymarzona chwila, gdy opuścił szacowne mury warszawskiej Alma Mater jako świeżo upieczony adept Temidy. Z dyplomem w kieszeni czuł, że świat stoi przed nim otworem. Jego przyjaciele postanowili uczcić ten fakt i przygotowali niespodziankę. Miał o nic nie pytać, dobrze się bawić i wykazać ułańską fantazją. Wziął sobie do serca te przykazania i postanowił otworzyć się na nowe doświadczenia.

Impreza zaczęła się w akademiku, gdzie swoje cztery kąty miał jeden z uczestników zabawy. Tam wypili coś mocniejszego, a kiedy wybiła godzina duchów, przyjaciele zasłonili mu oczy ciemną szarfą i wyprowadzili na zewnątrz. Razem wsiedli do samochodu i jechali około kwadransa, często skręcając raz w prawo, to znów w lewo. Na początku próbował zapamiętać trasę, ale po kilku minutach zrezygnował, ponieważ zakręciło mu się w głowie. Wreszcie zaparkowali i jeden z przyjaciół pomógł mu wyjść z samochodu. Trzymany pod ramię, zrobił kilkanaście kroków i usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi.

Wyciągnął rękę i trafił na futrynę. Odruchowo przesunął po niej palcami i wyczuł chropowatość drewna. Przekroczyli próg budynku, a następnie został wprowadzony do ciepłego, pełnego gwaru i muzyki pomieszczenia.

– Jesteśmy na miejscu – usłyszał. – Możesz zdjąć opaskę z oczu.

Powoli sięgnął do paska materiału, pociągnął i jego oczom ukazał się niezwykły widok. Na pluszowej, czerwonej kanapie i na jednym z dwóch okrągłych, barowych stołków siedziały w kuszących pozach trzy kobiety. Blondynka, ruda i brunetka. Każda z nich była ubrana w sukienkę podkreślającą to, co w niej najatrakcyjniejsze: nogi, pośladki, piersi. Wszystkie były zjawiskowo piękne i uśmiechnięte. Barman skinął na niego, żeby podszedł. Usiadł na drugim wolnym stołku i rozejrzał się, oszołomiony. Nie miał wątpliwości, że trafił do domu pod czerwoną latarnią, a zgromadzone dziewczyny to prawdziwe córy Koryntu.

Trzeba przyznać, że do tej pory nie zadawał się z kobietami. Nie dlatego, że był brzydkim, nudnym introwertykiem i miał słaby charakter. Nic z tych rzeczy. Był prawiczkiem, w którego żyłach płynęła błękitna krew i czekał na dobrze urodzoną damę swojego serca. Mimo że chodził w dżinsach, studiował w państwowej uczelni i miewał kosmate myśli, nie mógł ryzykować poczęcia dziecka z nieprawego łoża. Taki warunek postawił dziadek, gdy sporządzał akt ostatniej woli.

Trochę spięty, spojrzał na barmana, który przesunął w jego stronę kieliszek na wysokiej nóżce. Po chwili wahania wypił duszkiem boski trunek i rozluźnił się. Z odzyskaną na nowo pewnością siebie wyciągnął do barmana rękę z pustym szkłem.

– Jeszcze raz to samo.

Powtórzył ten gest trzy razy, aż poczuł, że zaszumiało mu w głowie. Wtedy dwie siedzące na kanapie kameliowe damy

chwyciły go za ręce i zaprowadziły w głąb sali. Za grubą, aksamitną kotarą w kolorze czerwonego wina były ukryte drzwi. Zanim zareagował, wepchnęły go do drugiego pokoju.

Potrzebował chwili, żeby przyzwyczaić wzrok do widzenia w przyćmionym świetle, a potem zaparło mu dech w piersiach. Na łóżku leżała naga, ruda piękność o kształtach panny O'Murphy z obrazu François Bouchera. Z trudem przełknął ślinę i poczuł, że jego spodnie zrobiły się ciasne.

Rudowłosa wbiła w niego hipnotyzujące spojrzenie. W półmroku nie mógł dostrzec koloru jej oczu, ale żywił przekonanie, że były zielone.

– Zdejmij ubranie – poleciła niskim, lekko zachrypniętym głosem.

Drżącymi z emocji palcami rozpiął guziki garderoby i wkrótce stanął przed nią w stroju Adama, ściskając w rękach swoje męskie klejnoty. Przez twarz kobiety przemknął uśmiech.

– Chodź do mnie. – Skinęła dłonią i przesunęła się na łóżku.

„Słodkie igraszki z Wenerą" było zbyt skromnym określeniem szaleństwa, które stało się jego udziałem po tym, jak opadł na atłasowe prześcieradła. Rudowłosa córa Koryntu okazała się istnym diabłem wcielonym o niespożytej energii i pozbawionym zahamowań. Jako nowicjusz, mimo ekspresowej lekcji, której mu udzieliła na początku, ledwo dotrzymywał jej kroku. W pewnym momencie pomyślał nawet, że jeśli nie wyzionie ducha z nadmiaru emocji, to zwariuje z rozkoszy i zamkną go w domu bez klamek. Ale to wszystko było warte największych poświęceń, a nawet wstydliwej choroby *post factum*.

Wreszcie, kiedy już zupełnie zabrakło im sił, przytulił twarz do białej piersi rudowłosej dziewczyny i szczęśliwy zapadł w objęcia Morfeusza.

Na drugi dzień obudził się w swoim łóżku, ubrany w luźną, kraciastą piżamę. Rozciągając leniwie ciało, mruczał z zadowoleniem na wspomnienie minionej nocy. Ale miał sen! To był chyba znak, żeby wreszcie znalazł sobie dziewczynę, pomyślał. Pogoda była barowa, więc do popołudnia snuł się po domu nakręcony jak budzik, wspominając rudą córę Koryntu ze snu i swoje łóżkowe popisy.

Około szesnastej włączył komputer i zalogował się na swoim profilu na Facebooku. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to liczba powiadomień. Kliknął ikonę i przeczytał, że siedemdziesiąt sześć osób polubiło jego film. Zdezorientowany, zmienił tablicę aktualności na profilową.

Treść dwuminutowego nagrania ścięła mu krew w żyłach. Siedział bez ruchu i wciąż na nowo odtwarzał zmontowany filmik, który był dowodem, że przeżycia ostatniej nocy nie tylko nie były snem, lecz stały się facebookowym przebojem dnia. Z każdą minutą liczba polubień niebezpiecznie zbliżała się do setki, pojawiły się też komentarze, z których „Nie wiedziałam, że masz TAKIEGO!”, czy „Stary, niezły z ciebie kozak” należały do najłagodniejszych.

Siedział osłupiały, niezdolny do jakiegokolwiek działania, a wstyd palił go żywym ogniem. Stało się jasne jak słońce, że jego – teraz już byli – przyjaciele igrali z nim jak kot z myszką, a ich zapewnienia o przyjaźni można było między bajki włożyć.

Rozmyślania przerwał dzwonek do drzwi. Niechętnie ruszył do przedpokoju, po drodze zerkając w lustro. Był tak blady, jakby nie miał w sobie kropli krwi. Szok spowodowany bolesnym upadkiem z obłoków na ziemię sprawił, że otworzył bez patrzenia przez wizjer. W progu stał Iwan, który oficjalnie był kierowcą dziadka, ale z pewnością zakres jego obowiązków przekraczał wykonywanie tak prostych czynności, jak

prowadzenie auta. Za sam wygląd należała się Iwanowi kilkuletnia odsiadka.

– Pan mecenas chce cię widzieć – rzucił i wszedł do mieszkania, nie czekając na zaproszenie. – Ubierz się porządnie. – Pełnym obrzydzenia wzrokiem zlustrował kraciastą piżamę.

*

Mecenas czekał na wnuka w swojej kancelarii. Kiedy ów wszedł do środka, starszy pan odłożył trzymaną w ręku tekturową teczkę i podniósł się z fotela.

– Dzień dobry, dziadku – powiedział chłopak.

– Nie taki dobry – mruknął mecenas i wskazał boczne drzwi, które prowadziły do małej sali konferencyjnej.

Chłopak przekroczył próg i znieruchomiał. Na krześle siedziała rudowłosa dziewczyna ubrana w szorty i koszulkę z krótkim rękawem.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – odparł, tkwiąc bez ruchu w otwartych drzwiach.

– Nie poznajesz mnie? – Uśmiechnęła się domyślnie.

Sięgnęła do włosów zebranych w koński ogon i ściągnęła gumkę. Rude loki opadły jej na ramiona i plecy. Dziadek pchnął wnuka do przodu i zamknął za nim drzwi.

– Siadaj – polecił. – Widziałeś film na Facebooku?

– Tak. – Wnuk spojrzał zaskoczony i zrozumiał, że dziadek też widział.

Poczuł, że robi się czerwony jak burak i ogarnęła go wściekłość na ludzi, których do wczoraj miał za swoich przyjaciół. Pomyślał o kilku latach upokorzeń, które cierpliwie znosił, ponieważ chciał należeć do paczki najpopularniejszych na roku chłopaków. Grał rolę kozła ofiarnego i chłopca do bicia,

biegał na posyłki i robił dobrą minę do złej gry. Pozwalał z siebie drwić, dawał się ośmieszać i wmawiał sobie, że oni tylko żartują.

Odetchnął głęboko i poczuł, że złość dodała mu sił.

– Wreszcie zaczynasz mieć normalny wyraz twarzy – powiedział dziadek, który nie spuszczał z niego wzroku.

– Jak się dowiedziałeś? – spytał wnuk.

– Od Iwana.

– A on?

– To należy do jego obowiązków, żebym wiedział o wszystkim, co istotne. A widok mojego wnuka, który obnosi w internecie swoje przyrodzenie, jest sprawą istotną.

Chłopak zerknął na dziewczynę i zobaczył, że uśmiechnęła się przelotnie.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytał.

– Kierowca pana mecenasa odnalazł mnie i przywiózł – odparła, a on w duchu przyznał, że Iwan zasługiwał na swoją wysoką pensję, którą wypłacał mu dziadek. – Twoi koledzy wynajęli mnie i zapłacili za usługę. Zrobili dekoracje w dwupokojowym mieszkaniu w akademiku i namówili kilka lasek z uczelni, żeby się przebrały – kontynuowała dziewczyna. – Do tego przyćmione światło, alkohol i tak dalej. A potem przyprowadzili cię do mnie. Powiedzieli, że jesteś prawiczkiem i mam cię wprowadzić w życie. Taki prezent od kolegów. Naprawdę się nie zorientowałeś?

Przypomniała mu się chropowata futryna, której dotknął, gdy z zasłoniętymi oczami wchodził do budynku.

– A więc wszystko odbyło się w akademiku?

– Tak – potwierdziła. – Jedynym prawdziwym elementem tamtej szopki byłam ja. Cała reszta to złudzenie.

Z trudem hamując narastającą złość, zwrócił się do dziadka:

– Rodzice też to widzieli?

– Nie. Mój informatyk już zajął się wszystkim. Zaraz nagranie zniknie z sieci, ale pozostanie sprawa do załatwienia. Wychowaliśmy cię na człowieka honoru, więc pytam, co chcesz zrobić?

Gdy był w stanie szoku, nie myślał o tym, co zrobi, ale kiedy miejsce osłupienia zajęła zdrowa, dodająca skrzydeł wściekłość, poczuł chęć zemsty. Sprawcy jego hańby dostaliby co najwyżej wyrok w zawieszeniu i wychodząc z sądu, roześmialiby mu się w twarz. Dotarło do niego, że eksprzyjaciele niewarci są tego, by nosiła ich ziemia. Serce chłopaka zmieniło się w bryłę lodu.

– Chcę ich zabić.

– W porządku. – Dziadek odetchnął. – Iwan ma dla ciebie niezarejestrowaną broń.

– A ona? – Kiwnął głową w kierunku dziewczyny. – Dlaczego wciąż tu jest?

– Pracuję jako dziewczyna do towarzystwa w układzie jeden na jeden – wyjaśniła. – Kameralnie, za zamkniętymi drzwiami. Nie umawiałam się na kręcenie filmu i publikację w internecie. Zrobili ze mnie gwiazdę porno. Pomogę ci.

*

Potrzebował kilku dni, żeby wszystko przygotować. Znalazł miejsce w lesie nad Bugiem i zaczekał na odpowiednią pogodę. Wtedy skontaktował się ze swoimi kolegami, z każdym osobno. Zapewnił, że nie ma do nich żalu i rozumie, że filmik był tylko żartem; usunęliby go, gdyby administrator Facebooka ich nie ubiegł. Powiedział, że chciałby się odwdzięczyć za niespodziankę i zaprosił ich na wyjazdową imprezę, obiecując nieziemskie atrakcje. Połknęli haczyk i następnego wieczoru stawili się w trzech w umówionym miejscu. Razem wsiedli do auta i po drodze wstąpili po rudowłosą. W ciemnościach nie

poznali, że niewysoka dziewczyna w dżinsach i bluzie z kapturem to ich niedawna zleceniobiorczyni. W drodze do celu chłopak zaproponował kolegom piwo w puszkach, do których uprzednio wprowadził środek nasenny. Gdy zajechali na miejsce, była noc. Rozłożył na ziemi dużą płachtę folii, a potem razem z rudowłosą wytaszczyli śpiących z samochodu. Skrępowali im nogi i ręce, zakneblowali i ułożyli obok siebie. Księżyc w pełni wyłonił się zza chmury i oświetlił twarze leżących, którzy po obudzeniu zrozumieli, że czekają ich zgoła inne atrakcje, niż obiecane. Chłopak wygłosił krótką mowę pożegnalną, a następnie wyjął pistolet. Popatrzył z satysfakcją w ich przerażone oczy i strzelił każdemu z nich w tętnicę udową.

*

Dzięki niezawodnemu Iwanowi mecenas mógł śledzić na ekranie komputera poczynania wnuka i dziewczyny. Kiedy już przeciągnęli zawinięte w folię zwłoki i wrzucili do rzeki, wyłączył nagranie. Podszedł do wiszącego na ścianie portretu swojego przodka i uniósł kieliszek wypełniony do połowy rubinowym płynem.

– Twoje zdrowie. – Dotknął ustami brzegu szkła. – I zdrowie nowego pokolenia. ■

MARTA
MATYSZCZAK

TRUP, KTÓREGO NIE MA

Fot. Damian Matyszczak

MARTA MATYSZCZAK
Chorzowianka z urodzenia, dziennikarka z wykształcenia, pasjonatka kryminałów z zawodu. Prowadzi Kawiarenkę Kryminalną, portal poświęcony literaturze kryminalnej. Uczestniczka warsztatów literackich na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu oraz na Festiwalu Conrada w Krakowie. Laureatka konkursów na opowiadanie kryminalne (MFK Wrocław i Kryminalna Piła). Adeptka kursu scenariopisarskiego w Warszawskiej Szkole Filmowej. Autorka scenariuszy do kryminalnych fars teatralnych. Kocha psy i podróże (szczególnie te tropem powieściowych bohaterów).

Obudziło mnie zimno. Solański znowu ukradł mi kołdrę i owinął się nią jak parówka w bułkę do hot-doga. Zszedłem z materaca. Ślizgając się na czterech łapach po wytartym linoleum, dotarłem do pieca kaflowego. Przycisnąłem do niego futrzany zadek. W schroniskowej budzie bywało cieplej. Mojemu panu pewnie nie chciało się zejść do piwnicy i przynieść węgla. Przez niezaznajomione z płynem do czyszczenia szyby przedzierała się burość zimowego poranka. Wlazłem na stos kryminałów, które Szymon wypożyczył z biblioteki pół roku temu i których nie planował oddać. Oparłem się o parapet i wyjrzałem na ulicę 11 Listopada. Opery w Sydney byście stąd nie zobaczyli. Prędzej oklejone gęstą sadzą ceglane elewacje kamienic i śnieg na chodnikach, który litościwie przykrywał psie kupy (na mnie nie patrzcie).

Pomiędzy zaspami szedł stary Cygan z domu obok, ciągnąc za sobą wózek do przewożenia złomu. Pusty. Nie udało mu się złowić choćby kratki ściekowej.

Pod bramą opatrzoną tabliczką z numerem 113, gdzie mieściła się agencja detektywistyczna Solan, zatrzymało się BMW (siódemka). Kolubryna przywaliła w skrzynkę elektryczną stojącą w rogu. Od razu widać, że nietutejszy. Na Cwajce, jak nazywano drugą dzielnicę Chorzowa, gdzie rezydowaliśmy, za niezłe limo uchodziła nasza zardzewiała skoda fabia, a co dopiero takie fikuśne wynalazki przemysłu motoryzacyjnego jak ta beemka i nadjeżdżający właśnie seledynowy lexus.

Trzasnęły drzwi do księgarni Wyrazy mieszczącej się na parterze naszego familoka. Musiało być więc później, niż mi się wydawało. Szymon zaspał, zamiast wraz z pianiem koguta brać się za bary z robotą śledczą. Zleceń Solański miał co niemiara, za to ochoty na ich przyjęcie nieco mniej. Wszystko przez naszą przyjaciółkę Różę Kwiatkowską. Ta dwójka mogłaby się wreszcie zdecydować, kto tu kogo kocha, kogo lubi, i uporządkować ten uczuciowy galimatias. Należało się skupić na kwestiach zasadniczych. Czyli kiełbasie śląskiej na śniadanie.

Zeskoczyłem z parapetu i stanąłem nos w nos ze śpiącym królewiczem. Pochrapywał, a z nozdrzy wyłaziły mu włoski. Naprawdę nie wiem, czym się tu zachwycać. Może i Solański był wysokim patyczakiem o stalowym spojrzeniu, czarnej grzywie i wiecznie niedogolonej mordzie, ale obiektywnie rzecz biorąc, ja byłem o wiele przystojniejszy. Miałem mianowicie smolistą sierść, takiż nochal, rudą krawatkę i uszka jak haczyki. Sami więc oceńcie.

Wgapiałem się wzrokiem hipnotyzera w oblicze mego kiełbasodawcy. W budzeniu pomógł mi rumor, który postawiłby na baczność połowę umrzyków z pobliskiego cmentarza przy kościele Świętego Józefa.

– Pierońskie gumiklyjzy! – wydarła się Brygida Buchta, nasza sąsiadka spod dwójki.

Kluski śląskie również chętnie bym skonsumował, więc zanim Szymon pozbierał się z betów, pognałem do drzwi. Walnąłem w nie łapą i wydostałem się na klatkę schodową. Nie były nam potrzebne żadne zamki czy alarmy. To ja tu robiłem za Gucio Security. Już we dwóch stoczyliśmy się z drewnianych stopni wyślizganych przez pokolenia mieszkających tu niegdyś górników i wypadliśmy na dwór. Ja dysponowałem naturalnym okryciem wierzchnim, ale Solańskiemu chłód musiał dawać się

we znaki, bo wychudzone cielsko miał odziane jedynie w wymiętolony T-shirt z napisem: „Lady Pa_k” i bokserki.

Dodatkowo zmroził go zapewne widok, jaki ukazał się naszym oczom. Na podwórku, którego nierówności widzieliśmy gołym okiem, bo Buchtowa odśnieżyła z rana, leżał trup. A obok jego zalanej krwią głowy zobaczyliśmy przewrócony garnek, z którego wypłynął obowiązkowy składnik każdego porządnego śląskiego obiadu.

*

Szymon Solański patrzył na swoje czerwieniejące z zimna, owłosione uda, bo to był mimo wszystko bardziej znośny widok niż roztrzaskana czaszka jakiegoś faceta. Zza pleców usłyszał pełen przerażenia wrzask. Obrócił się. Obok niedomkniętego kontenera na śmieci, w którym segregacja odpadów nie obowiązywała, stały dwie kobiety. Jedna prowadziła księgarnię. Wydawać by się mogło, że w tej okolicy komercyjny sukces prędzej odniesie mordownia z tanim browarem i śledziem drugiej świeżości na zagrychę. A jednak Wyrazy miały się całkiem nieźle. Druga z przybyłych musiała być klientką. Długie blond włosy opadały jej falami na biały szal we wzorek z czerwonych liści, a u stóp leżało *Pragnienie* Jo Nesbø.

– Pani to podniesie – powiedział. – Szkoda, żeby zamokło.

Posłuchała. Obie wycofały się do księgarni.

– Kaj jest mój garniec? – Brygida Buchta wkroczyła na podwórko i wzięła się pod boki. – Jezderkusie! – ryknęła, widząc śmiertelne pobojowisko. – Jo go nie pizła w dekiel! – zastrzegła się. – Jo mom cela jak baba z wesela! A ty się łobleknij, synek, bo ci rzyć zmarznie – pouczyła Solańskiego.

Szymon podszedł do mężczyzny. Sprawdził puls. Spojrzał w nieruchome, mdławo-niebieskie oczy. Z wewnętrznej

kieszeni płaszcza wyciągnął portfel. Karty kredytowe, wizytówki, prawo jazdy, dowód osobisty.

– Waldemar Kowol – przeczytał na głos.

– Masz – usłyszał za sobą.

Róża Kwiatkowska podała mu swoją żółtą kurtkę puchową w rozmiarze trzyosobowego namiotu.

– Zobaczyłam was przez okno. Pewnie jakieś biznesowe porachunki.

Solański zmarszczył czoło.

– Nie mów, że nie wiesz, kto to. Czy ty w ogóle ogarniasz coś poza tymi twoimi książkami? – gderała dziennikarka. – To jest tuza tego miasta! Najbogatszy biznesmen w województwie. Radny. Filantrop. Przewodniczący Chorzowa dla Nas.

– Co w takim razie tu robił? – zastanowił się detektyw i rozejrzał po rupieciach porozwalanych na podwórku. Namierzył starą kanapę ze sprężynami przebijającymi siedzisko, krzesło bez jednej nogi, obitą muszlę klozetową i sterty szmat, które ktoś wysypał z przewróconego pojemnika PCK. Wrócił wzrokiem do nieboszczyka. – Pani Buchtowa to zostawi – zganił sięgającą po garnek sąsiadkę. – Trzeba wezwać policję.

*

– Czy ty, Solański, myślisz, że ja nie mam co robić, tylko przyjeżdżać na każde twoje wezwanie? – Podkomisarz Matusiak wrzeszczał tak głośno, że i ja słyszałem. – Mecz Ruchu jest – tłumaczył. – Ustawka z Gieksą się szykuje, a ty mi dupę zawracasz jakimiś trupami. Pewnie znowu coś nawymyślałeś, jak z tą Marianną Biel, żeby ośmieszyć nas, policję – marudził, a mnie łapy opadały. – Aspiranta Barańskiego ci wyślę! Tyle mogę.

– To już lepiej sobie daruj. – Szymon zaprotestował. Odpowiedział mu przerywany sygnał.

– Panie Solański, pójdź sam pan tu. – Buchtowa wychynęła z okna swojego mieszkania i naganiała nas warzechą.

Zostawiliśmy umarlaka i weszliśmy na wysoki parter. Brygida zamknęła bramę do kamienicy na klucz, nie musieliśmy się więc bać, że przyjdą menele z ulicy Krzyżowej, żeby załatwić palące potrzeby w zaciszu naszego podwórka, i zatrą ślady zbrodni. Weszliśmy do mieszkania, z którego wiecznie zalatywało trzydaniowym obiadem.

– Wiela pan biere? – Buchtowa otworzyła szufladę w białym kuchennym kredensie. Wyciągnęła stamtąd plik banknotów (same różowe dwudziestki) i przeliczyła.

Ten majątek chciała nam przekazać w zamian za złapanie prawdziwego mordercy Waldemara Kowola. Obawiała się, że policja uzna ją za winną. Tymczasem ona tylko wyrzuciła garnek z kluskami przez okno, bo się wkurzyła, że jej się z nich zrobiła we wrzątku paciaja.

– Sąsiadka to schowa – poradził jej Szymon. A potem zapewnił, że znajdzie zbója.

Najpierw jednak musieliśmy wrócić na nasz kwadrat, żeby się mój pan i władca przebrał i nie siał więcej zgorszenia na dzielni.

*

– Jak jeździsz, baranie! – usłyszał Solański i wyjrzał przez okno.

Zdążył naciągnąć na tyłek dżinsy i zarzucić na ramiona kurtkę moro, ale chłód przedostający się przez nieszczelne, wymalowane czerwoną, górniczą farbą framugi i tak dawał mu

się we znaki. Tegoroczna zima przyczepiła się do Polski jak rzep do psiego ogona.

Na chodniku leżał Toni, mieszkający po sąsiedzku Rom. Obok niego spoczywały szczątki rozwalonego wózka.

– „Panie władzo" się mówi! – Z radiowozu wychynął aspirant Barański i doskoczył do ofiary. Wyciągnął kajdanki i spiął się nimi z mężczyzną. – Tak szybko sprawy kryminalnej nie rozwiązał jeszcze nikt! – ucieszył się.

– Dostałeś kota, Baran? – Detektyw wychylił się z drugiego piętra.

– Solański! Otwieraj wrota! – zażądał pan pała i kopnął w bramę. Zamek zajęczał i puścił. – Awansuję. Będę sławny. Nakręcą o mnie serial. I napiszą w „Pocisku" – mamrotał aspirant, wlekąc się razem z uczepionym doń Cyganem w górę klatki schodowej.

Solański zszedł z Guciem do mieszkania Róży. Dotarli tam też policjant i jego podejrzany. Detektyw niechętnie pokazał Barańskiemu portfel znaleziony przy ofierze.

– To ten burżuj! – skomentował gliniarz. – Bogatego nie zrozumiesz. Miał podobno willę na Arkadach, jacht na Pogorii, kolekcję zabytkowych fur, a do tego raszplowatą starą. Od lat tę samą, choć stać go było na każdą. Może korzystał, gdy żona wyjechała do siostry do Kanady? – paplał jak przekupa.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zainteresowała się Róża.

– „Bez ściemy" czytam. Wolno mi! – zastrzegł. – Dziwny koleś. Nawet hajsu w portfelu nie nosił. A, pewnie ty go ukradłeś! – Wskazał na Toniego.

Tym samym aspirant Barański nie tylko zatrzymał podejrzanego, ale i odnalazł motyw zabójstwa. Wszystko to w niecałe pięć minut od przybycia na miejsce zdarzenia.

– Ty wiesz co? – wtrąciła się Kwiatkowska. – Ciebie nie powinni przyjąć do grupy Tuptusiów w przedszkolu, a co

dopiero do policji! Nie słyszałeś o bankowości elektronicznej?

– Jo was nafutruja – przerwała im Brygida Buchta.

Na stole ustawiła gar, kazała Róży przynieść sztućce i talerze, a potem podała każdemu kluski z partii, która nie zdążyła wyfrunąć przez okno, roladę i czerwoną kapustę. Morderstwo morderstwem, ale o pustym brzuchu nie godziło się siedzieć. Największe kawałki kładła przed nosem aspiranta i nawet raz strzeliła Różę po łapach, gdy dziennikarka chciała przechwycić najbardziej smakowity kąsek.

Szymon zjadł, podzielił się z psem, sięgnął po portfel i przeglądał jego zakamarki. Po chwili leżał przed nim stos karteluszków, plastikowych kart i zdjęcie, a na nim niczym niewyróżniająca się para w średnim wieku pozująca na tle regału. Waldemar Kowol z małżonką.

– Ale bajzel. – Aspirant ziewnął, ukazując światu nieprzeżute pozostałości po obiedzie. – Jakieś to gorzkie – złożył reklamację, po czym przybił przysłowiowego gwoździa.

Umoczył grzywkę w mięsnym sosie i zachrapał. Solański, Róża i Toni popatrzyli po sobie. Jedynie kucharka nie wyglądała na zdziwioną.

*

Buchtowa uśpiła tego pączkarza, dosypując mu do żarcia prochy. Dała nam wolną rękę w prowadzeniu śledztwa. Wpakowałem się na krzesło, strąciłem ze stołu śmieci, które Solański wygrzebał z portfela, i zacząłem w nich niuchać. Musicie wiedzieć, że może i mój weterynaryjny oprawca doktor Dłutko wywróżył mi zaćmę, słyszałem tylko to, co chciałem, ale nos mnie jeszcze nigdy nie zawiódł.

Przeszkodził mi jednak kurz, który warstwami zbierał się na każdej wolnej powierzchni w mieszkaniu Róży. Z cichym

przyzwoleniem właścicielki. Wciągnąłem kreskę i kichnąłem, aż zadrżał glob. Makulatura rozwiała się na cztery strony świata. Jeden kartonik przykleił się Solańskiemu do czoła. Mój pan zdjął tę wątpliwą ozdobę i od niechcenia rzucił na nią okiem.

– Ilona Musialik. Instruktorka narciarstwa – przeczytał i uniósł brwi.

Ja też się zdziwiłem, bo jeśli Waldemar Kowol miałby już koniecznie wyglądać na jakiegoś sportowca, to prędzej na szachistę niż wielbiciela dwóch desek.

– Jesteś pełen uprzedzeń – zganiła Szymona Róża i wyrwała mu wizytówkę. – Mieszka obok! W tym cholernym apartamentowcu! – Popukała palcem w kartonik.

Kwiatkowska również była odrobinę nietolerancyjna, jak większość naszych sąsiadów, którzy z byka popatrywali na bloki otoczone naszpikowanym kamerami płotem. Zamknięte osiedle wybudowano tuż obok naszego, zalatującego w równej mierze uryną i historią, familoka. Nowi lokatorzy przemykali samochodami do swojego azylu ze szkła, drewna i plastiku, a po zmroku nie wyściubiali nosów nawet zza firanki. Strach wśród przybyłych narastał od momentu, gdy mieszkańcom parterowego lokum ukradziono z balkonu, zapewne na złom, suszarkę do ubrań. Wraz z garderobą.

Razem z Różą udałem się na przeszpiegi. Kwiatkowska kroczyła u mojego boku, zostawiając w śniegu ślady godne yeti. W swojej kanarkowożółtej kurtce wyglądała jak cieć przeprowadzający dzieci na pasach. Zajrzeliśmy na podwórko. Trup wciąż leżał i domagał się sprawiedliwości. Przeszliśmy ulicą parę metrów w prawo i stanęliśmy przed furtką prowadzącą do luksusowych włości. Róża odszukała odpowiedni numer i nacisnęła guziczek. Domofon zatrzeszczał, po czym odezwał się piskliwy głosik:

– No tak?

– Prasa! – oznajmiła Kwiatkowska. – W sprawie Waldemara Kowola.

– Z hienami nie gadam – powiadomiła nas Musialik i odłożyła słuchawkę.

Róża wypróbowała zatem sprawdzoną metodę „na listonosza”. Wybrała pierwszy z góry przycisk.

– Kto tam?

– Poczta.

– Akurat! – padło i znów zostaliśmy z niczym.

Kwiatkowska, międląc pod nosem litanię pod adresem kapitalistycznych, nowobogackich świń, skorzystała z kolejnego guzika.

– Co?

– Policja!

– 113 jest obok! Tam jest siedlisko meneli! – usłyszeliśmy, a w głośniku ponownie nastała cisza.

Kwiatkowska nie poddawała się tak łatwo. Powtórzyła manewr z domofonem. Zanim ktokolwiek się odezwał, wypaliła:

– Kim dla pani jest stwórca? Czy chciałaby pani zapoznać się z naszą wspaniałą wiarą?

– Mariola? – Męski głos. – Nie drocz się już. Chodź na górę do swojego stwórcy – zabrzmiał lubieżny charkot.

– Oblechu! – ryknęła Róża i oparła rozpostartą dłoń na panelu.

Wychodziło na to, że większość tych krezusów musiała prowadzić jakieś lewe interesy, bo odnoszącymi finansowy sukces freelancerami wszyscy być nie mogli. W przeciwnym razie nie siedzieliby przecież w środku dnia i tygodnia w domu i nie odpowiadali na wszczęty przez dziennikarkę alarm kakofonią:

– Co jest? Czego? Kto? Co znowu? No? Z czym do ludzi?

– Z Różą Kwiatkowską, gamonie! Otwierać! – rozkazała dziennikarka.

I otworzyli.

*

Róża przemierzała korytarz i z nieuświadomioną zazdrością zastanawiała się, na co komu te wszystkie wyglancowane posadzki, pozłacane poręcze, lustra i żyrandole, które mogłaby pomylić z eksponatami w galerii sztuki współczesnej, gdyby tam kiedyś trafiła przez przypadek. O wiele przytulniej czuła się w sieni swojego familoka, gdzie na półpiętrach, w miejscu dawnych latryn, kryły się spiżarnie na przetwory, a sufity pstrzyły przypalone zapałki, które ktoś, pstrykając dla zabawy, tam umieścił. Przynajmniej nie bała się, że coś stłucze albo ubrudzi. Wszystko już tam było potłuczone i pobrudzone.

Oddając się takim pseudosocjologicznym myślom, dotarła pod odpowiednie drzwi i załomotała w nie pięścią. Czas cackania się dobiegł końca.

– Otwieraj, Ilonka! – wydarła się. – Wiem, że miałaś romans z tym starym prykiem!

Drzwi uchyliły się. Ktoś chwycił Różę za kołnierz i wciągnął do mieszkania. Gucio w ostatniej chwili zdołał wślizgnąć się za nią.

– Ciiicho! – zażądała Ilona Musialik gdzieś na wysokości biustu Róży.

Narciarka nie tylko miała dziecięcy głosik, ale i nie odrosła specjalnie od ziemi. Za to siłą dysponowała taką, że spokojnie byłaby w stanie zdzielić chłopa czymś ciężkim w łeb. Ze skutkiem śmiertelnym.

– Twój kochaś nie żyje – oznajmiła Róża.

– Słucham? – Musialik zbladła i klapnęła na zydel.

– Słuchaj, słuchaj – zgodziła się Kwiatkowska. – Leży na podwórku pod 113. I ty mi teraz powiedz, czy miałaś coś z tym wspólnego.

– Ja?

– Nie udawaj głupszej, niż jesteś, Ilonka. Nie wmówisz mi, że uczyłaś Waldka popylać na tej twojej boazerii. – Róża wskazała na sprzęt narciarski ustawiony w przedpokoju.

– Skąd o nas wiesz?

– Z wizytówki. Była dzisiaj randka?

– Mylisz się! Poza tym żona go nie rozumie. A ten głuptasek wciąż przy niej trwa. Taki szlachetny ma charakter.

– A jednak! – ucieszyła się Róża. – Miał charakter. Czas przeszły.

– Mącisz mi w głowie! – poskarżyła się Musialik i tupnęła nóżką w rozmiarze trzydzieści pięć. – Mówiłam, że z gryzmołami nie gadam!

– To się jeszcze okaże – rzuciła Róża i wraz z psem opuściła niegościnne progi.

W drodze powrotnej powtarzała pod nosem:

– Jeden kijek. Tam stał tylko jeden kijek.

*

Solański przyjrzał się potrąconej skrzynce elektrycznej. Zważywszy na liczne kolizje, w których regularnie brało udział to pudło, już dawno powinni być bez prądu pod 113.

Drzwi od strony kierowcy w BMW wyglądały na niedomknięte. Szymon spróbował szczęścia. Gdyby kradł radia samochodowe, to by się obłowił. Bardziej jednak zainteresował go GPS. Urządzenie mogło tłumaczyć obecność Kowola na 11 Listopada. To cholerstwo już niejednego wyprowadziło w pole. Detektyw i nowe technologie nie byli z tej samej bajki, jednak

Solański nacisnął guziczki na chybił-trafił i ku jego zdziwieniu odezwał się znany kierowca rajdowy.

– Do celu zostało ci 260 metrów – powiedział Hołek, a Solański spojrzał na siatkę ulic wyświetlającą się na ekraniku.

Ruszył w stronę ulicy Krzyżowej. To tam, jeśli wierzyć nawigacji, wybierał się Waldemar Kowol. Skręcił w prawo. Na końcu ulicy dojrzał przesłoniętą rusztowaniem wieżę Józefki, jak nazywano tutejszy kościół. Minął gabinet dentystyczny, potem salon fryzjerski, aż wreszcie stanął przed blokiem, który wskazywał GPS. Zwykły budynek z pstrokatą elewacją w dzielnicy Chorzowa, gdzie nawet wczesnym rankiem można było dostać w zęby za kibicowanie niewłaściwej drużynie. Przecisnął się pomiędzy samochodami ciasno zaparkowanymi na chodniku. Przez ostatnie lata Chorzów zmienił się w wielki parking. A jedynymi zadowolonymi, jak przypuszczał Solański, były te skurwysynki ze straży miejskiej biegające z bloczkami do wypisywania mandatów.

Nazwiska na domofonie nic mu nie mówiły. Znał jednak kogoś, kto kręcił się po mieście i orientował w towarzystwie. Wyciągnął swoją upstrzoną taśmą klejącą nokię.

– Róża?

– Nie, Melania Trump – usłyszał w odpowiedzi.

– Kojarzysz kogoś o nazwisku Nowak, Giz, Knas, Brożek, Mikrut, Waszut – odczytywał ze spisu lokatorów. – Kowol miał się prawdopodobnie spotkać z jedną z tych osób. Przynajmniej tak mówi nawigacja.

– A Giz to nie jest radny? – zastanowiła się Róża. – W redakcji nabijaliśmy się, że gizd. Czy on przypadkiem nie chciał być przewodniczącym Chorzowa dla Nas? Rozwieszał plakaty wyborcze z hasłem: „Dość bajzlu”. – Kwiatkowska zarechotała.

– Czyli Kowol wygryzł Giza ze stołka? – Solański przypomniał sobie wcześniejsze doniesienia przyjaciółki.

– Mogło być i tak – zgodziła się. – Wracaj już, bo ten cholerny Barański się budzi. Sam posłuchaj, jak płytko chrapie. – Przyłożyła smartfona do otworu gębowego aspiranta.

Solański rozłączył się. Przecisnął się bokiem między autami. Biodrem zahaczył o samochodowe lusterko.

Należało do seledynowego lexusa.

*

Nie było rady. Aspirant Barański powoli, acz nieubłaganie wybudzał się z przymusowej drzemki. Mój pan wrócił ze spacerku, na który mnie nie zabrał (za co planowałem policzyć się z nim w późniejszym terminie). Za pomocą wytrycha z kompletu, który zawsze miał przy sobie, zdjął kajdanki z ręki Toniego. A potem wspólnie z naszym sąsiadem zataszczył glinę do mieszkania Buchtowej, gdzie zamknęli go w garderobie. Na klucz. Wymiar sprawiedliwości mieliśmy więc chwilowo z głowy.

Zanim dokonaliśmy tego obywatelskiego zatrzymania, zgarnęliśmy z kieszeni policjanta służbową krótkofalówkę. Solański jako eksmundurowy wiedział, co robić. Połączył się z chorzowską komendą przy Moniuszki.

– Sprawdźcie mi właściciela lexusa, numer SH 47569 – powiedział zmienionym głosem.

Szkoda jeszcze, że nie przyłożył do słuchawki chusteczki. Jak na filmach.

– Ryszard Giz – dobiegło z głośnika. – Halo, Baran, słyszysz mnie?

– Chrrr – wydał z siebie Solański i się rozłączył.

– O co chodzi? – chciała wiedzieć Róża.

– Tak mi się wydawało, że widziałem przed naszą bramą tego lexusa. A potem jeszcze na Krzyżowej.

Dwa detektywistyczne orły ustaliły, co następuje: Rychu Giz nie dość, że miał powód, by kropnąć Kowola, bo wściekł się pewnie, że ten go wygryzł z ciepłej posadki prezesa Chorzowa dla Nas, to jeszcze nie brakowało mu sposobności do czynów karalnych.

I wszystko byłoby pięknie, gdyby Róża nie wyskoczyła z Iloną Musialik. Narciarka także mogła pałać żądzą mordu na kochanku, który naobiecywał jej, że zostawi żonę, ale wcale nie zamierzał tego robić. Kowol przyjechał do Musialik w odwiedziny. Zaparkował przy familoku, żeby nie rzucać się w oczy sąsiadom Ilony. Według Kwiatkowskiej Musialik zaczaiła się na Waldemara i ukatrupiła go kijkiem narciarskim.

No ja nie wiem.

– Kamery – wtrącił się Tony. – Na płocie.

– Rzeczywiście! – Chorzowskie wcielenia Sherlocka i Poirota doznały oświecenia.

– Idziemy! – zarządziła Róża.

Zaczailiśmy się pod ogrodzeniem oddzielającym nasz familok od nowego osiedla. Przesadziliśmy płot. To znaczy oni przesadzili, ja zostałem przeniesiony na tak zwanego barana. Solański machnął raz jedną, raz drugą nogą i już byliśmy po drugiej stronie. Kwiatkowska także machnęła kończynami, a następnie wylądowała na zadzie. Szczeknąłem na zachętę.

– No dawaj – mruknął Solański, ale szybko się zamknął, widząc wściekłe błyski w oczach naszej przyjaciółki.

Będę na tyle litościwy, że oszczędzę wam szczegółowego opisu wybryków tej tyczkarki, co to ją tylko wysłać na olimpiadę. Wspomnę jedynie, że na szczycie płotu pozostały żółte strzępki ortalionu oraz ślady puchu, do których wykrycia nie potrzeba by nawet tych sławnych ekspertów ze Szkoły Policji w Pile.

– Tam! – Róża wskazała budkę w rogu. – Serwerownia – wyjaśniła. Po minie Solańskiego widziałem, że równie dobrze mogłaby do niego przemówić w suahili. – Otwieraj – nakazała.

Szymon uwinął się z zamkiem w trymiga i już po chwili Róża grzebała przy komputerze podłączonym do jakichś skomplikowanych urządzeń. Kwiatkowska miała łeb nie od parady. Gdyby przyszła jej na to ochota, włamałaby się na serwery sejmowe i dokonała puczu.

– Szybciej! – marudził Solański. – Bo nas ktoś zobaczy.

Stałem na czatach i pilnowałem, czy nie nadciąga wróg.

– Data, godzina, cofnij. – Stukała w klawiaturę, jakby to był fortepian, a ona była finalistką konkursu Chopinowskiego. – Ha! – ryknęła tak, że nawet ja, pies zaczepno-obronny, się zestrachałem. – Dzisiaj rano – omawiała odnalezione nagranie. – BMW Kowola, Toni, lexus Gizy, Ilona Musialik. Wszyscy tędy leźli.

– Hau! – dałem ustalony znak, bo zobaczyłem, że na parking pod apartamentowcem wjeżdża jakieś auto.

– Wiejemy – zawtórował mi Solański.

Po chwili byliśmy już na naszym podwórku. Ponieważ zaczął padać śnieg, nieboszczyk został już prawie w całości przysypany. A co za tym idzie, także ewentualne ślady mordercy.

Zamiast do kamienicy, łapy poniosły nas do Wyrazów. W księgarni panowała przytulna atmosfera. Książki zajmowały tu każde wolne miejsce (zupełnie jak kurz w mieszkaniu Róży). Czerwone, pluszowe fotele zachęcały, by się w nich zapaść i przenieść do fikcyjnego świata. Szczególnie, że ten prawdziwy wiązał się z kopiącymi w kalendarz biznesmenami, zimą wiosną i zawyżonymi cenami kiełbasy śląskiej. Róża i Szymon usadowili się na tronach, mnie pozostawiając podłogę. Taki psi

los. Odwróciłem się do nich ogonem i udawałem, że wcale nie podsłuchuję.

– To ta lafirynda – zaopiniowała Róża. – Może i Giz wygląda podejrzanie i głupio się nazywa, ale ja bym stawiała na kobietę. W ogóle uważam – rozwijała swoją teorię – że kobiety są niedoceniane. Także w aspekcie morderczym. Myślisz, że baba nie miałaby jaj, żeby kropnąć taką pokrakę? – Kwiatkowska nakręcała się, chociaż Solański z nią nie polemizował. – Bo chyba nie sądzisz, że to zrobił Toni albo Buchtowa? – monologowała.

Mój pan gapił się na regał opatrzony tabliczką: „kryminały", a jego mina nie świadczyła o zbyt wysokim IQ.

– Dociera coś do ciebie? – Kwiatkowska kopnęła go w piszczel.

Skrzywił się, ale dalej przypatrywał się półkom z takim zainteresowaniem, jakby tam stały co najmniej tomy opowiadające o moich przygodach. Przeniósł wzrok na przeszkloną witrynę księgarni i obserwował ulicę. Zacząłem się obawiać, że dostał kręćka.

– Te drzewa – powiedział i machnął ręką w nieokreślonym kierunku, czym tylko potwierdził moje przypuszczenia. – Co to za gatunek?

– Odbiło ci? – Kwiatkowska nie po raz pierwszy dowiodła, że potrafi czytać w moich myślach.

– Te takie z takimi liśćmi – pogrążał się Solański.

Dziennikarka zmarszczyła brwi, a ja zakryłem pysk łapami.

– Nie wiem. Klony czy coś – burknęła Róża na odczepnego. – Biologii w szkole nie miałeś?

Szymon bez słowa podniósł się i podszedł do lady, za którą urzędowała nasza sąsiadka prowadząca księgarnię.

– Duży dzisiaj utarg? – zagadnął.

– Całkiem spory. W ogóle trochę zamieszania. Jeden klient przyjechał po książkę, którą dla niego zamówiłam, ale jeszcze nie przyszła. Upierał się, że dzwoniłam do niego z informacją, że już jest. A hurtownia wciąż zwleka z przesyłką, więc nie wiem, skąd mu się to wzięło.

– Ten? – Solański pokazał zdjęcie, które wyciągnął z portfela.

– Skąd wiesz?

– To jest nasz trup z podwórka.

Kobieta przysiadła na taborecie i zakryła usta dłonią.

– Chcę zobaczyć rachunki – mruknął Solański.

Ja bym mu na taką uprzejmą prośbę niczego nie pokazał, ale kobiety, z nieznanych mi przyczyn, były gotowe zrobić dla tego gburowatego patyczaka wszystko. Wystarczyło, że mruknął, łypnął stalowym okiem i zmarszczył czoło. Teraz też otrzymał stertę druczków, które przeglądał z zainteresowaniem.

– Biercie mi tego pierona, bo nie strzymia larma – usłyszeliśmy od progu.

Brygidzie Buchcie nie podobało się, że aspirant Barański wrzeszczy z szafy i nie daje jej w spokoju przygotowywać podwieczorku.

Zanim uwolniliśmy sąsiadkę od krzykacza, Solański wykonał telefon.

*

Podkomisarz Matusiak siedział na kanapie w mieszkaniu Buchtowej rozwalony jak Rosja na mapie.

– Oby to rzeczywiście było coś ważnego – zastrzegł. – Ja tu żadnego trupa nie widzę.

– Bo go śnieg przysypał – wyjaśniła Róża.

– Gdzie Barański?

– Tam gdzie jego miejsce – burknął Szymon.

Podkomisarz zmarszczył czoło, ale nie drążył.

Solański wolał milczeć niż nadaremno strzępić język, ale tym razem musiał wyjaśnić swojemu dawnemu koledze z pracy kilka spraw. A mianowicie, że Waldemara Kowola nie zabiła Brygida Buchta garnkiem z kluskami. Nie był to też Toni, który może i czasem połaszczył się na kratki ściekowe, ale cudzej forsy nie tykał. Również Ilona Musialik pozostawała poza podejrzeniem, bo choć uchwyciły ją kamery, to nie było w tym nic dziwnego. Kobieta wracała z zakupów, ze sklepu po drugiej stronie ulicy. Solański wpadł tam przed przyjazdem Matusiaka. Sprzedawczyni rozpoznała narciarkę na zdjęciu. Nie było też powodu, by Ryszard Giz trafił za kratki. Mężczyzna był umówiony na dzisiaj z Kowolem. Jadąc do domu, zobaczył samochód znajomego zaparkowany na 11 Listopada. Zatrzymał się, by zagadać, ale Waldemara nie było w wozie. Giz pojechał więc do domu. Tego Solański dowiedział się z rozmowy telefonicznej z Ryszardem.

– Kto więc zabił tego trupa, którego nie ma? – Matusiak ziewnął.

– Ona – Róża pokazała policjantowi kadr z osiedlowego monitoringu, który zapisała na smartfonie.

– Kto to?

– Żona – odpowiedzieli chórem ten nadęty detektyw i jego wiecznie rozdrażniona koleżanka.

– Czyja?

– Kowola – padła wspólna odpowiedź i nawet ja zawtórowałem im wyciem.

– Ta, co pojechała do Kanady? – Matusiak przypomniał sobie, że coś już mu na ten temat wspominali.

– Do Azot i nazołd chyba – wyraziła wątpliwości Róża. – To znaczy pojechała, ale już wróciła. W nowej odsłonie. Odkryła, że mąż ją zdradza i postanowiła się zemścić. W Kanadzie

przeszła metamorfozę. Schudła, przefarbowała się na blond, zaczęła się modnie ubierać. A potem wróciła do Chorzowa. Przyszła pod mieszkanie swojej rywalki, zwabiła tam męża rzekomym telefonem z księgarni i kropnęła go wykradzionym Ilonie kijkiem narciarskim, mając nadzieję, że podejrzenia padną na kochankę.

– Skąd wy to wszystko wiecie? – zaciekawił się Matusiak.

– Sam ją widziałem – przyznał detektyw. – Była w Wyrazach, kiedy odkryłem zwłoki. Skojarzyłem, gdy przypomniałem sobie jej szalik. Biały w czerwone liście klonowe. Symbol Kanady. Poza tym kupiła *Pragnienie* Jo Nesbø. A to jest jedyny tom, którego brakuje w kolekcji widocznej na tym zdjęciu. – Pokazał fotkę przedstawiającą małżeństwo Kowolów. Za parą stał regał z książkami, a na nim wszystkie powieści z Harrym Hole. Prócz najnowszej.

– Poza tym te cycki są sztuczne! – oznajmiła Róża i wskazała wydruk z monitoringu, na którym widać było piękną blondynkę zmierzającą ku kamienicy numer 113.

– Jesteście nienormalni – oświadczył podkomisarz Matusiak.

I wziął się za sprawdzanie tych rewelacji drogą służbową.

*

Chorzów nie jest wielkim miastem. Plotka przemieszcza się tu niczym tlen w krwiobiegu. Dlatego już w następną sobotę między straganami targowiska przy ulicy Barskiej kumochy wymieniały się najnowszymi sensacjami dotyczącymi trupa znalezionego na podwórku familoka przy 11 Listopada.

Chorzowska policja pod wodzą podkomisarza Matusiaka z pewnym opóźnieniem zabrała się za poszukiwanie mordercy. Wynikało ono podobno z faktu, że wysłany na miejsce zdarzenia śledczy zamiast prowadzić czynności służbowe,

siedział w szafie i żarł kluski, którymi jedna z podejrzanych uciszyła jego protesty. Na obronę Barańskiego trzeba dodać, że Brygida Buchta gotowała znakomicie.

Dzięki współpracy z operatorem komórkowym stróże prawa namierzyli podejrzaną o morderstwo. Współrzędne wskazywały, że żona zmarłego przebywa u siebie w domu. I rzeczywiście, kiedy patrol zadzwonił do drzwi willi na osiedlu Pod Arkadami, otworzyła im kobieta w średnim wieku legitymująca się dowodem osobistym wystawionym na nazwisko Krystyna Kowol.

– To nie ona! – wydarł się podkomisarz Matusiak, gdy podejrzana została przywieziona na komisariat. – Tamta wyglądała jak Pamela! A ta przypomina jej ciotkę!

Baby na Barskiej gadały, że Kowolowa nie wiedziała, o co chodzi. Tłumaczyła, że dopiero co wróciła od siostry z Kanady i naprawdę nie ma nic wspólnego z ponętną blondynką, która czyta norweskie powieści kryminalne. Ona, jeśli już stróże prawa bardzo chcieli wiedzieć, preferowała Agathę Christie. Informacją o śmierci męża była zdruzgotana. O kochance nie miała pojęcia i nie uwierzyła w zdradę męża. Poprosiła, by funkcjonariusze dali jej święty spokój i pozwolili przygotować pogrzeb.

I nawet pies z kulawą nogą nie zauważył, że opuszczająca komisariat kobieta pod spłowiałym płaszczem nosiła biały szalik w czerwone liście. ■

TOMASZ
SEKIELSKI

...ŻE CIĘ NIE OPUSZCZĘ AŻ DO ŚMIERCI...

Fot. Rafał Meszka

TOMASZ SEKIELSKI
Pisarz, dokumentalista, reporter telewizyjny i radiowy, felietonista. Karierę dziennikarską rozpoczynał w bydgoskim radiu VOX. Pracował w radiu Wawa i Radiu dla Ciebie. Od 1997 roku współtworzył „Fakty” TVN i był ich głównym reporterem politycznym. Autor wielu programów telewizyjnych m.in. „Prześwietlenie”, „Teraz MY”, „Czarno na Białym”; obecnie twórca programu „Po prostu” (TVP 1). Laureat m.in. nagrody Grand Press, Dziennikarz Roku, Wiktorów i Telekamer. Autor trylogii: „Sejf”, „Obraz kontrolny” oraz „Sejf 3. Gniazdo kruka”.

Spokojna, kojąca biel salonu kontrastuje z niepokojąco wyzywającą brunatną czerwienią, którą widać na ścianach, meblach i posadzce. Miejscami są to gładkie tafle surrealistycznych rozlewisk, gdzie indziej jedynie krople i smugi. Są też ślady stóp kroczących w śmiertelnym tańcu i rąk wołających o pomoc.

Na mokrej, lepkiej od krwi podłodze bez ruchu leży kobieta. Jej drobne półnagie ciało upstrzone jest sińcami ciosów, ranami cierpień i poznaczone bliznami poniżeń. Mroczne znaki i wzory, będące zapisem ludzkiego nieszczęścia i upodlenia. Spomiędzy obrzękłych warg ozdobionych bruzdami głębokich ran wydobywa się cichy niepokojący świst. Brzmi, tak jakby każdy kolejny oddech mógł być tym ostatnim. Krótki, nierówny wdech, a potem wydech. Charczący cykl podtrzymuje gasnące życie. Ona balansuje na jego krawędzi. Niebyt kusi nicością, czarną otchłanią, bez bólu i trosk, bez wyzwisk i poniżania, bez cierpienia i strachu. W jej sytuacji śmierć zdaje się wybawianiem, jest obietnicą wiecznego zapomnienia.

I pewnie wybrałaby nieistnienie, gdyby nie płacz dziecka, który rozlega się gdzieś w oddali i przebija do oszołomionego mózgu. Jest na tyle głośny, że przedziera się przez oddzielającą ją od świata barierę szumów i pisków, którymi rezonuje jej głowa. Dźwięk, którego matka nie pomyli z żadnym innym.

Zapuchnięte, sine powieki rozchylają się nieznacznie, ciało przebiega dreszcz. Potrzebuje jednak dłuższej chwili, nim zebrawszy resztki sił, dźwignie się na drżących rękach i podniesie na tyle, że jest wstanie usiąść, oparłszy się o ścianę.

Dyszy ciężko, wypluwając z wyraźnym trudem krwiste plwociny. Gęsty śluz ścieka jej po brodzie i kapie na unoszące się rytmicznie nagie piersi.

– Mama!

Słychać wyraźny krzyk. Zaraz, zaraz wstanie. Taką ma nadzieję, ale najpierw musi odpocząć, aby zachować świadomość i nie dać się wessać otchłani. Przez czerwoną mgłę, która niczym woalka przesłania jej oczy, patrzy prosto przed siebie, na ścianę, gdzie wiszą rodzinne zdjęcia. Wspomnienia dobrych chwil, przebłyski normalności. Skupia wzrok na największym z nich, umieszczonym centralnie pośrodku. To fotografia ślubna. Jest na nim ona i on. Wyglądają na szczęśliwych, zakochanych. Wspomnienia z przeszłości mieszają się teraźniejszością.

*

Pocałował ją delikatnie, ale na tyle namiętnie, że nie chciała się od niego oderwać. Pocałunek będący wyznaniem miłości i obietnicą rozkoszy. W takich chwilach jak ta świat nie istniał, byli tylko oni we dwoje. Choć ona dobiegała trzydziestki, a on był starszy od niej o dekadę, to swoim zachowaniem przypominali zakochanych nastolatków, gotowych zapomnieć się w sobie bez reszty, żyjących tu i teraz. Uczucie, które wypełnia człowieka, zapierając dech i sprawiając, że wszystko inne wydaje się nieważne.

– Przestańcie natychmiast – powiedziała korpulentna farbowana blondynka z udawanym oburzeniem. – Jesteście tacy słodcy, że chyba się zaraz porzygam tęczą – oznajmiła, popijając białe wino. – Wstrętni zakochańcy – dodała i zrobiwszy naburmuszoną minę, pokazała im język.

– Haniu, nie dąsaj się.

Filigranowa brunetka o szerokim uśmiechu i radosnych piwnych oczach położyła dłoń na ręce koleżanki. Ta dopiero teraz zauważyła tkwiący na jej palcu pierścionek zaręczynowy.

– Chcemy z Arturem prosić cię, żebyś była świadkiem na…

Nie zdążyła dokończyć, bo Hania wydała z siebie przeciągły pisk.

– Bierzecie ślub! O Jezu, ale news – krzyczała rozradowana. – Państwo młodzi, Artur i Wioletta Tomasikowie. Ależ to brzmi – dodała wyraźnie podekscytowana i przysunęła sobie przed twarz dłoń przyjaciółki ozdobioną okazałym brylantem w złotej oprawie.

– Wciąż się jeszcze nie zdecydowałam – rzuciła Wiola, jakby od niechcenia.

– Nie zdecydowałaś na co? – spytała Hanka, nie odrywając wzroku od pierścionka.

– Chyba zostanę przy swoim nazwisku. Wiesz, w pracy dziennikarza trudno wyrobić sobie markę, a mi się udało – oznajmiła i spojrzała z uśmiechem w oczy narzeczonego.

Przez ułamek sekundy dostrzegła w nich gniew i mrok. Poczuła bijący od nich chłód, którego się przestraszyła.

– Porozmawiamy o tym później – zakomunikował Artur, łapiąc ją za rękę.

Uścisk był zdecydowanie zbyt silny jak na czuły gest, którym mógł się wydawać obserwującej ich Hance.

– Poza tym twoi czytelnicy muszą zrozumieć, że teraz jesteś moja – dodał zaraz i pocałował ukochaną w policzek.

Nie było w nim jednak namiętności i czułości.

– Ależ ty masz szczęście, Wiola. Dlaczego ja nie mogę trafić na takiego faceta. Arturze, gdyby moja przyjaciółka zbyt długo się zastanawiała, ja chętnie przyjmę twoje nazwisko – powiedziawszy to, zaśmiała się głośno.

– On jest mój – oznajmiła Wiola, wtulając się w ramię Artura.

Szybko zapomniała o złu, które dostrzegła w oczach narzeczonego, a może tylko się jej wydawało.

*

Przez mgławicę jasnych wspomnień wraca do mrocznej teraźniejszości. Dyszy ciężko, napina obolałe mięśnie, ale jej zmaltretowane ciało odmawia współpracy. Nie może się podnieść, chce, ale jest bezsilna, jakby ktoś odłączył napięcie i poprzecinał nerwy. Musi jeszcze odpocząć.

Powtarza sobie, że niemoc zaraz zniknie, to jedynie chwila słabości. Przecież tyle razy już sobie radziła, tyle już wytrzymała, tym razem także da radę. Wszak nie o nią tu chodzi, a o maleństwo, które płacze w pokoju obok, czekając na matczyne czułości. Ono nie jest niczemu winne, niczego jeszcze nie rozumie, chce tylko być kochane. Ona też chciała. I co? Krzyk dziecka wbija się w głowę, drażniąc zmysły rzewną melodią lamentu. Jest esencją strachu i smutku. Znowu słuchać głośne:

– Ma-ma!

Słowo wyrzucone histerycznie w martwą ciszę mieszkania odbija się od ściany korytarza i wybucha z całą mocą pod białym sufitem salonu. Bezradność przyprawia ją o mdłości. Kaszle więc krwawo, konwulsyjnie, jakby jej organizm chciał wyrzucić z siebie słabość, która zagnieździła się w niej przez lata cierpień. A teraz paraliżuje i przyprawia o niemoc. To nic, to nic, ona wie, że jest silniejsza. Trwa walka ducha z materią. Jeszcze jedna próba. Ręce po omacku szukaj podpory, aby dźwignąć konające ciało i wyrwać je śmierci. W pobliżu nie ma jednak niczego, na czym mogłaby się oprzeć. Chwilę jeszcze walczy, zostawiając krwawe ślady na nieskazitelnej bieli ściany za sobą. Czerwone smugi wyglądają jak rozpostarte,

postrzępione anielskie skrzydła, na których zaraz uleci w podróż donikąd.

Czy to już koniec? Nie chce dopuścić do siebie myśli o przegranej. Nie jest gotowa. Tyle razy się udawało, teraz też będzie dobrze, nikt nie musi wiedzieć, co się stało. Tylko to głupie słabe ciało stawia opór. Znowu kaszle, wyrzucając przed siebie krwawe bryzgi. Ręką zakrywa usta monstrualnie nabrzmiałe od ciosów twardej i bezwzględnej męskiej pięści. Jakby bała się, że zaraz wypluje z siebie ostatnie tchnienie, żałosne resztki życia, które krążą po jej ciele, szukając drogi ujścia. Powstrzymuje torsje i łapie oddech. Ale każdy drogocenny wdech sprowadza ją na skraj omdlenia, połamane żebra uciskają płuca. Oddycha więc płytko, ostrożnie. Siedzi zrezygnowana z opuszczoną głową, długie włosy pokryte krwawym balejażem opadają na twarz.

– Mama!

Krzyk, który świdruje czaszkę i doprowadza umęczony umysł do szaleństwa. Przewraca się na bok, syczy z bólu i niezdarnie zaczyna pełznąć w kierunku, z którego dobiega dziecięce wołanie.

– Mamusia już idzie – szepcze ledwie słyszalnie, aby uspokoić siebie samą i dodać sobie animuszu.

Czołga się powoli po terakotowej podłodze pokrytej krwawą mazią. Ślizga się bezradnie, ale centymetr po centymetrze posuwa się naprzód. Zapomina o bólu, o żebrach wbijających się w płuco, o poharatanych klamrą od paska plecach, o zwichniętym stawie biodrowym, o połamanych palcach, o opuchniętej wątrobie i śledzionie, o obitych nerkach i poprzypalanych żelazkiem nogach. To wszystko teraz nic nie znaczy. Musi zająć się dzieckiem, a później posprząta cały ten bałagan.

*

– Ależ ty jesteś niezdarna – wysyczał Artur przez zaciśnięte zęby, a w jego oczach pojawił się mrok.

Skarcona Wioletta, nie czekając na ciąg dalszy, kucnęła, aby szybko pozbierać kryształowe drobinki, które chwilę wcześniej były szklanką wypełnioną lodem i whisky. W proporcjach, które on uważał za idealne.

– Ale… ale – chciała się wytłumaczyć, powiedzieć, że przecież to on ją potrącił, ale nie zdążyła.

– Ale, ale, ale… co się jąkasz, kocmołuchu, tępa dzido. – Mężczyzna się nakręcał, oczy zaszły mu bielmem nienawiści. – Nie nadajesz się do niczego, jesteś pieprzoną kula u nogi – krzyczał, krążąc wokół zalęknionej żony.

Wiola skuliła się i zacisnęła pięści. Ostre kryształy przebiły skórę, a na białą posadzkę spadły pierwsze krople krwi.

– Noż kurwa mać. Co ty wyprawiasz – warknął Artur, szarpiąc ją za ramię i wskazując na podłogę. – Kto to, kurwa, posprząta, głupia flejo? – spytał, a jego twarz wykrzywił grymas odrazy.

– Ja. Proszę, nie denerwuj się – odpowiedziała Wiola, patrząc błagalnie w oczy męża.

Ten jednak nie zamierzał się uspokajać.

– Kto ci, kurwo, pozwolił ryj otworzyć? No kto? – wrzeszczał, plując spienioną śliną.

Wioletta wiedziała, że teraz nie może się odezwać. Wystarczy pomilczeć, a złość minie, byle nie wdawać się w dyskusje – to go napędzało. Już dawno temu wytłumaczyła sobie, że i tak nie jest źle. Artur był cholerykiem, ale nigdy jej nie uderzył. Tylko werbalnie odreagowywał stres związany z pracą. Miał przecież tyle na głowie, był tylko człowiekiem. Kierowanie ministerstwem obrony, odpowiedzialność za bezpieczeństwo

państwa i jego obywateli, partyjne gierki oraz sejmowe układanki wywoływały stres, któremu trudno było podołać. Ona wiedziała, że taki nie jest, że to tylko okoliczności sprawiają, że czasem przemawia przez niego Zły. Po każdym napadzie furii przychodził spokój. On przepraszał, padał do stóp, prosił o wybaczenie, obdarowywał kwiatami i drogą biżuterią. Gdy było ciężko, przypominała sobie słowa swojego spowiednika księdza Leona:

– Wybraliście siebie na dobre i na złe, w dostatku i biedzie, w zdrowiu i chorobie. Święty sakrament małżeństwa to wielkie zobowiązanie, to droga, na której napotyka się przeszkody, ale po ich pokonaniu znowu nastaje czas radości wypełniony uświęconą bożą miłością.

Tłumaczyła sobie, że nie ma małżeństw idealnych, bo te zdarzają się tylko w filmach. Musiała być silna za siebie i niego, tym bardziej że jako głęboko wierzący katolicy nie dopuszczali do siebie myśli o rozwodzie. Co Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela. I to ona musiała zrobić wszystko, aby ich małżeństwo przetrwało. Tak bowiem wyobrażała sobie powinność kobiet, do tego bowiem była przygotowywana przez babki, ciotki i matkę. To one utwierdzały ją w przekonaniu, że każdy dźwiga swój krzyż, a jej nie jest wcale tak ciężki. Co by pomyślała teściowa, która samotnie wychowała Artura, gdyby Wioletta się poddała, gdyby dla własnej wygody odeszła. Tego nie wybaczyłaby jej rodzina i wszyscy święci.

– Zaniemówiłaś, szmato? Nie masz już nic do powiedzenia. – Artur miotał się po białym salonie. – Zamiast szlajać się po mieście jak suka w rui i łazić do roboty, lepiej zrobiłabyś porządki w mieszkaniu, które ja utrzymuję. Z tej twojej pisaniny nie ma ani sławy, ani pieniędzy. Gdyby nie ja, byłabyś nikim – krzyczał, wymachując rękoma.

Wioletta zaczęła się modlić, prosząc Boga, by ten powstrzymał szalejącą w głowie Artura burzę i zesłał na męża spokój. Modliła się tak zapamiętale, że nie czuła wbijających się w jej dłonie ostrych kawałków popękanej kryształowej szklanki. W tej chwili bardziej bolały słowa rzucane w złości przez Artura. Pozostawiały po sobie głębokie, niewidoczne rany, sięgające do samej duszy.

– Jesteś obleśną nieudacznicą, karykaturą kobiety. Wstydzę się ciebie i żałuję, że wziąłem sobie ciebie za żonę. Trzeba było cię zostawić na tym śmietniku, na którym cię znalazłem. – Wciąż krzyczał, ale wyraźnie opadał z sił. Oczy nadal lśnił groźnie, ale nie było już w nich furii. – Szkoda na ciebie słów, pieprzony kocmołuchu – rzucił na koniec.

Usiadł w skórzanym fotelu i zamilkł wyczerpany.

*

Nagle otaczająca ją rzeczywistość wypełnia się ciszą, która rozlewa się po całym mieszkaniu, jakby okryła je dźwiękochłonna kotara. Cisza jest tak głośna, że aż szumi w uszach i wyrywa ją z odrętwienia.

Coś jest nie tak. Dlaczego nie słyszy płaczu i krzyków dziecka? Wznawia swoją mozolną wędrówkę po białej terakotowej posadzce. Pełza jak ranny wąż, który zostawia za sobą krwawe ślady przeżywanej udręki. Układają się one w historię niebyłej miłości i zmarnowanego życia, przeplatanego kłamstwami, nigdy niespełnionymi obietnicami, naiwną wiarą w lepsze jutro oraz samotnością gorszą od śmierci. Są niczym wymaz utraconej raz na zawsze nadziei.

Sycząc z bólu, dociera do przedpokoju. Widzi już uchylone drzwi do sypialni malucha. Jeszcze dwa metry. Skupia się na celu, aby tylko zapomnieć o fizycznych katuszach, których

doświadcza jej umęczone ciało. Nikt nie zna granic swoich możliwości, dopóki ich nie przekroczy. Kto to powiedział? Zresztą jakie to ma teraz znaczenie. Byle tylko się nie zatrzymać. Boi się, że jeśli przystanie i zamknie choćby na chwilę oczy, zabierze ją odchłań. Otuli snem bez snów, ukoi tępy ból istnienia, ukołysze w niebycie. Właściwie czuje na sobie tę nicość, ociera się o nią w tej niemal metafizycznej wędrówce, którą odbywa, sunąc się jękliwie po gładkiej, śliskiej podłodze.

W przedpokoju posadzka zmienia kolor, chłodną biel zastępuje ciepły piaskowiec. Na nim krwawe smugi nie wyglądają już tak upiornie, stają się ciemnobrązowe i przypominają naniesione z dworu błoto, jakby ktoś ciągnął po podłodze mokry worek z ziemniakami. A może wcale nie… Nie ma teraz czasu, aby się nad tym zastanawiać. Dyszy ciężko, próbując skoordynować oddech z przełykaniem napływającej do ust i krtani krwi. Co jakiś czas dławi się i odkasłuje, tracąc tak potrzebną jej teraz energię. Pulsująca w uszach krew niesie echo tętniącego serca, które rozpaczliwie próbuje utrzymać życiodajne krążenie w poranionym ciele. Wybija rytm uciekającego czasu, który zmierza ku przeznaczeniu. Nikt nie żyje wiecznie. Ta banalna konstatacja na swój sposób przynosi ukojenie.

Czas odpocząć. I tak nie da rady pełznąć dalej korytarzem zawieszonym między życiem a śmiercią. Bardzo by chciała, ale nie ma sił. Z opuchniętych powiek sączą się łzy. Nie płacze nad sobą, ale nad dzieckiem, które zostawi. Już nigdy nie spojrzy w tę ufną, uśmiechniętą buzię, nie przytuli drobnego ciałka i nie wycałuje go, wywołując radosny chichot. „A kiedy przyjdzie także po mnie… – powtarza w myślach słowa znanego szlagieru. – Zegarmistrz światła purpurowy…”. Nagle wszystko przyspiesza. Jej dryfujący między świadomym istnieniem a niebytem umysł odbiera sygnał, który wyrywa go ze strefy

szarości. Rytmiczna muzyka i charakterystyczny głos Edith Piaf brzmi jak pobudka:

Non, rien de rien
Non, je ne regrette rien
Ni le bien qu'on m'a fait
Ni le mal tout ça m'est bien égal

Uwielbia ten utwór. Przetłumaczony tekst piosenki zna na pamięć.

Nie, nic, a nic,
Nie, nie żałuję już nic,
Ani dobra, co dano mi,
Ani krzywd, to obojętne już mi.

Otępiały umysł potrzebuje chwili, aby uświadomić sobie, że jest to dzwonek telefonu. Sama ustawiła sobie ten kawałek jako sygnał w smartfonie. Dopiero teraz dostrzega leżący na podłodze aparat. Wyświetlacz migocze nową nadzieją. Z tej odległości nie widzi, kto dzwoni, ale to nie ma teraz znaczenie. Wystarczy wyciągnąć rękę.

Cholerny telefon nie dawał jej spokoju nawet późnym wieczorem. „Pewnie znowu, ktoś z gazety" – pomyślała Wioletta i spojrzała na ekran. Dzwonił przyjaciel męża, odebrała.

– Halo, cześć, Robert. Coś się stało? – W jej głosie słychać było niepokój. – Nie, Artura nie ma w domu. Mówił, że gracie dziś wieczorem w squasha – oznajmiła, po czym wysłuchała zawiłych tłumaczeń, że pewnie Artur gra z kimś innym, bo on, Robert, ma kontuzję. A w ogóle to zapomniał, że mieli dzisiaj grać i przeprasza za zamieszanie. – Cześć, dobranoc – powiedziała, rozłączając się.

Cisnęła telefon na kuchenny stół, przy którym po raz kolejny w tym tygodniu jadła samotnie kolacje. Cholera jasna! Miała dość samotności, wyobcowania, życia w klatce. Prawie nie pojawiała się w redakcji, swoje teksty pisała w domu i przesyłała mailowo. Nie spotykała się z przyjaciółkami, bo Artur nie lubił tych babskich nasiadówek. „Nie trać czasu na te głupie kretynki. Masz co robić w domu – mawiał niemal za każdym razem, gdy chciała wyjść z dziewczynami do knajpy na plotki. – Jak wracam po zapierdolu w pracy, to chcę, żeby żona czekała na mnie z posiłkiem, gotowa zaspokoić moje potrzeby, a nie szwendała się po mieście i wystawiała tyłek każdemu chętnemu jak jakaś tania dziwka". Nie krzyczał. Wypowiadane z namaszczeniem okrutne słowa sączyły się z jego ust niczym jad zatruwający jej umysł. Czuła się winna. Jako żona wpływowego polityka powinna znać swoje miejsce w szeregu. To ona była tą złą.

„Miałaś takie szczęście, że Artur cię chciał. Doceń to i przestań się mazać" – mawiała matka Wioli i wbijała córkę w poczucie winy, gdy ta tylko próbowała się żalić na męża. Jeszcze gorsza była teściowa wpadająca na niezapowiedziane kontrole. „Przyszłam zobaczyć, czy dbasz o mojego syna". Sprawdzała porządek w całym domu, zaglądała do szafek, lodówki, a nawet do kosza z brudami do prania. „Ależ ty jesteś leniwa, dziewucho – wzdychała ciężko i kręciła przy tym głową. – Co ten mój syn w tobie widzi. Ogarnij się trochę, jesteś panią domu, żoną ministra obrony – mówiła oskarżycielsko, wbijając przy tym palec w pierś Wioletty. – Dziękuj Bogu za takiego męża. Bez Artura jesteś nikim. Nawet dziecka nie potrafisz mu urodzić". Początkowo, słysząc takie słowa, Wiola próbowała protestować, ale jej opór topniał równie szybko co poziom samooceny. „Jesteś do niczego. Ogarnij się. Takie jest życie. Przestań się nad sobą użalać".

Coraz częściej, gdy jadła samotnie kolacje, zastanawiała się, dlaczego Artur się z nią ożenił. Nigdy wcześniej nie był widywany z kobietami, a przynajmniej nie odnotowały tego brukowce i prasa kolorowa. Gdy go o to pytała odpowiadał wymijająco. „Jesteś moją pierwszą i jedyną miłością" – mawiał, patrząc jej prosto w oczy.

Wzięli ślub, gdy on kończył czterdzieści lat, a jego polityczna kariera nabierała tempa. Miesiąc miodowy skończył się tak naprawdę, nim na dobre się zaczął. Szara proza życia uderzyła w nią z impetem, który zachwiał całym jej światem. Wywrócił istniejący porządek, ubezwłasnowolnił i sprowadził do bycia służącą.

Czasami myślała, że małżeństwo było potrzebne Arturowi tylko po to, aby dostać ministerialną nominację. W mocno konserwatywnej prawicowej partii, która rządziła Polską, było w dobrym tonie, aby polityk miał żonę i normalne życie rodzinne. Aby nikt nie spekulował na temat jego rozwiązłości albo, nie daj Boże, homoseksualizmu. Tego oczekiwali partyjni bossowie, kościelni hierarchowie i wyborcy. Bowiem rodzina jest wszystkim dla prawdziwego Polaka-katolika, jest wyznacznikiem życiowej uczciwości i wierności wielowiekowej tradycji. Tym właśnie różnili się prawi patrioci od lewackiej hołoty żyjącej w nieformalnych związkach i propagującej seksualne dewiacje oraz wszelkiej maści pedalstwo. Wioletta nie miała nic przeciwko gejom, ale też nie popierała pomysłu, by pary homoseksualne mogły zawierać małżeństwa, a już nie daj Boże, adoptować dzieci.

Rodzina to święty związek mężczyzny i kobiety – co do tego Wiola nie miała wątpliwości. Dlatego mimo trudności robiła, co mogła, aby zaspokoić potrzeby męża. Była na każde zawołanie czy skinięcie, z pokorą znosiła awantury, które urządzał. Jako ciężko pracujący człowiek miał przecież prawo być

zdenerwowany, gdy rano na wieszaku nie było wyprasowanej koszuli, gdy nie oddała garniturów do prania, nie wyrzuciła śmieci, nie posprzątała po sobie w łazience, gdy zabrakło piwa w lodówce i jego ulubionych bekonowych przekąsek. Jak mógł się nie zdenerwować, gdy widział jej smutną minę, słuchał narzekania, że nigdzie razem nie wychodzą albo orientował się, że wydaje jego ciężko zarobione pieniądze na jakieś fatałaszki, w które się stroi, by zaciągnąć go do łóżka.

Kochali się rzadko, z obowiązku, bez radości, czułości i pożądania. Ale wolała ten beznamiętny seks od napadów jego rozbuchanej chuci, gdy rozpalały go żądze, których nie rozumiała i którymi się brzydziła. Nienawidziła, gdy wracał do domu dziwnie pobudzony, jak na haju, pachnący alkoholem i cygarami. Wtedy bywał brutalny, brał ją od tyłu i gwałcił analnie. Czuła się brudna i poniżona, wstydziła się tego, co jej robił, ale milczała, a może właśnie dlatego nie potrafiła opowiedzieć o tym, co się dzieje, nawet najbliższej przyjaciółce.

Nauczyła się ukrywać swoje emocje, problemy i cierpienie. Stawała się żoną idealną, w pełni oddaną mężowi i pogodzoną ze swoim losem. Ale im bardziej stawała się uległa, tym bardziej poniewierał ją jej pan i władca. Coraz częściej wychodziła z domu w ciemnych okularach, maskując podbite oko. Nauczyła się kłamać. „Uderzyłam się o szafkę. Jestem niezdarna. Potknęłam się i spadłam ze schodów”. Sama nie wierzyła, jak łatwo wcieliła się w rolę ofiary, krocząc ścieżkami bólu i upokorzeń, którymi przed nią szły tysiące kobiet. Zaklęty krąg domowej przemocy, który wydawał się nie do przerwania.

Gdy w końcu zaszła w ciążę, Artur przestał ją bić. Jej łono stało się nagle święte i błogosławione. Jednak przemoc psychiczna nie ustała. Prawie codziennie wysłuchiwała bolesnych obelg i raniących wyzwisk. „Ty gruba krowo, aleś się spasła! Wyglądasz jak utuczona maciora! Rzygać się chce na

twój widok!” – wykrzykiwał mąż minister, by po krótkiej przerwie i kilku łykach whisky kontynuować swój monolog, tym razem skupiając się na wydumanych pretensjach i bezpodstawnych oskarżeniach. „Czyje to dziecko, szmato? Znam cię, kurwiszonie, na pewno się puściłaś z jakimś osiedlowym żulem! Jak się urodzi ten bękart, zrobimy badania DNA”. Nie odpowiadała, bojąc się dyskutować z rozgniewanym mężem. Nie płakała, bo łzy doprowadzały go do furii. Stała się jeszcze bardziej milcząca i zamknięta w sobie. Utrzymywała kontakt już tylko z Hanią i rodzicami.

Po porodzie ku swojemu zaskoczeniu zaznała spokoju i wytchnienia. Artur nie awanturował się i nie podnosił na nią ręki. Obiecał nawet, że pójdzie na terapię dla osób nieradzących sobie z gniewem i przemocą. „Zmienię się dla ciebie i naszego maleństwa” – zapewniał, a Wiola chciała w to wierzyć. Czuła się wspaniale, była znowu kochana i spełniona jako kobieta.

Idylla w rodzinie Tomasików nie trwała długo. Wrócił Zły, a ona stała się dla niego workiem treningowym. Wyżywał się na niej z byle powodu. Niepowodzenie w pracy, źli dziennikarze, głupi partyjni liderzy, przegrany mecz z kolegą, nieudane polowanie albo brzydka pogoda za oknem. Nauczyła się schodzić mu z drogi i chronić dziecko. Milczała, godząc się na wszystko, po prostu dla świętego spokoju. Czasami, gdy tak jak teraz jadła samotnie kolację, wzbierała w niej złość, ale tłamsiła ją w sobie i nie pozwalała jej wybuchnąć ognistym, nigdy niewypowiedzianym na głos żalem. Jednak tym razem coś w niej pękło z cichym jęknięciem, które słyszała tylko ona. A może się jej zdawało. Wzięła do ręki telefon i wybrała numer. Nerwowo czekała na połączenia. W końcu usłyszała głos Artura.

– Gdzie jesteś? – spytała, starając się zachować spokój. Słuchała odpowiedzi, potakując głową. – Grasz z Robertem? A to

ciekawe, bo Robert nie gra z tobą. Jesteś parszywym kłamcą, chcę rozwodu – wykrzyczała i cisnęła telefon na stół.

Aparat przejechał po gładkiej powierzchni kuchennego blatu i wylądował z łoskotem na podłodze.

*

Opuchnięte i zakrwawione palce ledwie trzymają telefon. Drżące dłonie podsuwają go bliżej twarzy. Edith Piaf wciąż śpiewa, że już nic się nie liczy i niczego nie żałuje. Wioletta z trudem skupia wzrok na wyświetlaczu pomazanym krwią. Obraz rozpływa się, ale w końcu nabiera ostrości. Widzi, że dzwoni Hanka, przyjaciółka, pomoc, wolność, życie. Musi tylko odebrać przychodzące z zaświatów połączenie. Wystarczy trafić w świecącą zieloną nadzieją ikonę z symbolem podniesionej słuchawki. To jednak okazuje się zbyt trudne. Zmasakrowane palce nie są wystarczająco sprawne, aby trafić w niewielki punkt, wirtualny przycisk mogący ją przenieść w inną, lepszą rzeczywistość. Edith Piaf milknie, a wyświetlacz gaśnie.

– Cholera – szepcze, dysząc rozpaczliwie.

Jej płuca, oskrzela i gardło rzężą ciężko. Z ust sączy się cuchnąca maź będąca mieszaniną śliny, krwi i żółci. Kobieta zerka na leżący tuż obok głowy telefon, wyświetlacz jest wygaszony, martwy, pochłonięty przez ciemność. Tę samą, która i ją zaczyna osaczać. Samodzielnie nie jest wstanie wybrać jakiegokolwiek numeru, nawet nie próbuje. Czeka, sama nie wie na co. Przecież nie na cud, ten zdarza się tylko w bajkach albo przytrafia obcym osobom. Miłościwy, wszechmogący Bóg ma gdzieś jej życie, jej cierpienia, a nawet jej dziecko. Co z maleństwem? Ta myśl wyrywa ją z egzystencjalnych rozważań. W odpowiedzi mieszkanie znowu

rozbrzmiewa dziecięcym płaczem, ponownie słychać rozpaczliwe wołanie.

– Mama, mama!

Gdyby tylko mogła wstać, podbiec do dziecięcego łóżeczka i pochwycić w ramiona najbardziej ukochaną istotę w całym wszechświecie. To nic, że jest to owoc brutalnego małżeńskiego gwałtu, a nie miłosnych uniesień. Dziecko nie jest niczemu winne, dla niego jest gotowa oddać swoje życie albo zabić w jego obronie. W jej przypadku nie są to jedynie puste słowa odnoszące się do jakichś hipotetycznych, niezaistniałych wydarzeń. Wtedy łatwo o bohaterskie deklaracje. Ona nie rzuca słów na wiatr. Patrzy za siebie, na ciało męża leżące bezwładnie w salonie. Z jego piersi sterczy nóż wbity aż po rękojeść. Ale to jest już nieważne, dalekie i niebyłe. Nagle w płacz dziecka wkrada się tak dobrze znana jej melodia. To Edith Piaf śpiewa swój nieśmiertelny przebój. ■

Redaktor prowdzący
Iwona Krupińska

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie
Agnieszka Kielak

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2018

© Copyright by Rafał Bielski, Łukasz Orbitowski, Remigiusz Mróz, Jakub Małecki, Joanna Opiat-Bojarska, Małgorzata Rogala, Wojciech Chmielarz, Olga Rudnicka, Katarzyna Puzyńska, Marta Guzowska, Magdalena Knedler, Bartosz Szczygielski, Ryszard Ćwirlej, Robert Małecki, Marta Matyszczak, Tomasz Sekielski, Warszawa 2018

Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-63842-81-9

Zdjęcia na okładce
fotolia.com

Wydawca
Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 205
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl

Dystrybucja:
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki
ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl
tel. 22 733-50-10
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com